



MISTY COPELAND

Przejmujące wspomnienia,
które poruszają jak jej taniec.
„The Washington Post”

Balerina
Zywie
w tańcu

MISTY COPELAND

Balerina
Życie
w tańcu

Z angielskiego przełożyła Małgorzata Maruszkin





*Dla wszystkich baletnic i tancerek na świecie.
Nasza sztuka jest niezbędna. Niech żyje, rośnie i się rozwija!*

Prolog

Jest rano. Ósma rano, dokładnie rzecz biorąc. Budzik dzwoni jakieś pięć sekund, zanim usiądę, żeby wyłączyć dokuczliwy dźwięk.

Przeciągam się i czuję, że boli mnie całe ciało. Jednak to cudowny ból, znany wszystkim tancerkom.

Podobnie jak wielu zabieganych mieszkańców Nowego Jorku, naciskam kilka klawiszy na komputerze i w sklepie na rogu zamawiam poranną kawę – czarną, bez cukru – oraz muffinkę z jagodami. Dostarczą mi je pod drzwi mieszkania na Upper West Side. Zajęcia w Met rozpoczynają się o 10.30.

Zwykle codzienne czynności nie zapowiadają wspaniałego wieczoru. Pragnę, by ten dzień już się rozpoczął, bym znów mogła podnieść się, później, tym razem na scenie Metropolitan Opera House.

Dzisiaj wieczorem jako pierwsza czarna kobieta zatańczę słynną partię w balecie Strawińskiego w zespole American Ballet Theatre, jednym z najbardziej prestiżowych na świecie. Wystąpię jako Ognisty Ptak.

Robię to dla małych ciemnoskórych dziewczynek.

Tego ranka rozgrzewka przy drążku będzie taka sama, jaką robi każda baletnica, niezależnie od tego, czy jest uczennicą w Moskwie, czy siedmiolatką na pierwszej lekcji baletu w Detroit. Powolna i podzielona na części, doskonale zaplanowana, aż zaprowadzi mnie na środek, gdzie zatańczę swobodnie i bez drążka, a każdy ruch będzie niedoskonałą wersją tego, co pokażę podczas wieczornych solówek. Zaczynam od *plies*, coraz

głębiej uginam kolana, co rozgrzewa mięśnie nóg, jednocześnie dając niezbędne podparcie. Przechodzę do kolistych ruchów nóg, zataczając *ronds de jambe* i zginając je w *fondu*, stopniowo rozciągając biodra i kolana. Kończę na *port de bras*, robiąc skłony tułowia do przodu i na boki.

Przechodzę na środek sali, gdzie jedno ćwiczenie aerobowe gładko przechodzi w następne, już bez ograniczeń narzucanych przez drażek. Wiem, że każde wdzięczne *glissade* – gdy skaczę w pierwszej pozycji z trzepotaniem stóp, kończąc pozycją piątą – wywodzi się z powolnego ruchu nogą, gdy odrywam stopę od podłogi, co z kolei wychodzi od *battement tendu*, pojedynczego, wyprostowanego palca u stóp, rozciągniętego, gdy dotykałam podłogi.



Balet jest stylizowaną wersją tych pozornie podstawowych ruchów, tyle że na większą skalę. Siła i elegancja płynące z zajęć przy drażku są jak zakładanie małej czarnej, natomiast wyzwanie, jakie niesie odtańczenie pełnych trzech aktów baletu, to nauka dobierania strojów na każdą okazję. Muszę się zastanowić, czy chcę dodać dzikości, tęsknoty czy – jak zrobię wieczorem – egzotyki z innego świata, energii mitycznego Ognistego Ptaka.

Trzeba wiedzieć, jak własnym ciałem ozdobić każdą postać i każdą historię. Na przykład Śpiąca królewna jest elegancka i królewska, ma płynne ruchy, z nielicznymi akcentami. Sposób, w jaki trzeba trzymać tułów, pozycja głowy i ruchy ramion mogą różnić się od tego, co poznaję na zajęciach. Różnica między doskonałym technicznie wykonawcą a solistą czy pierwszym tancerzem polega na udoskonaleniu właśnie ozdobników wykonania, aby jak najlepiej opowiedzieć daną historię. Bez tego nie można zostać baleriną – pozostaje się jedną z wielu tancerek. Nieważne, ile ma się lat ani jak długo tańczy – zawodowi tancerze baletowi wiedzą, że by utrzymać siłę i czyste pozycje, zasadnicze w pracy tancerza, trzeba

codziennie powtarzać podstawowe kroki. Pracuję nad techniką bezustannie. Nawet jeden dzień przerwy może sprawić, że mięśnie zapomną to, co umysł zna na pamięć. Ćwiczę siedem dni w tygodniu, mimo że szkoła działa tylko przez pięć dni. Wiem, że nigdy nie opanuję techniki baletowej do perfekcji. I dlatego tak to kocham. Nigdy mnie to nie nudzi, mimo że przez trzynaście lat w studiu powtórzyłam te same ruchy milion razy. To moje schronienie, tu mogę eksperymentować. Oblewam się potem, narzekam i robię miny, na jakie nigdy bym sobie nie pozwoliła na scenie Metropolitan Opera. Tu mogę przekraczać własne granice, by później sprawiać wrażenie, że tańczę lekko i bez wysiłku.

Nie każdy decyduje się posuwać do granicy załamania, ale tak trzeba, jeśli jest się profesjonalistą: doświadczyć w praktyce, że można się jednak złamać zamiast zgiąć.

Dzisiaj nie ćwiczę skoków. Boli mnie lewa goleń, a nie chcę ryzykować, że naciągnę mięsień przed wieczornym występem. Skoki zawsze szły mi dobrze, potrafię wzbić się wysoko i wylądować na scenie lekko jak piórko. Ognisty Ptak trzepocze i wzlatuje. W ciągu ostatnich tygodni niełatwo mi przychodziło ćwiczenie skoków. Ból w nodze nasilał się, a wszystkie siły muszę oszczędzać na występ. Jestem teraz tak oswojona z dzikimi gestami Ognistego Ptaka, jak z własnym oddechem czy biciem serca. Wiosenny sezon w American Ballet Theatre trwa już sześć tygodni, potrwa jeszcze dwa, a jako Ognisty Ptak występowałam wcześniej dwukrotnie w Południowej Karolinie, raptem godzinę drogi od mego rodzinnego miasta.

Około południa mam lekką próbę w Met, aby na miejscu sprawdzić choreografię i poczuć scenę. Chcę mieć pewność, że trafiam w odpowiednie punkty i podczas wariacji nie zderzę się z grupą baletową ani nie wypadnę z rytmu, kiedy z partnerem będę tańczyć *pas de deux*.

Gdy widzowie wchodzą do poświęconych wewnątrz Metropolitan Opera, widzą błyszczące *foyer*, luksusowe łóżce i wielką scenę. Jednak za kulisami są sale do prób, gdzie wykonawcy ćwiczą magię i doskonałą swą sztukę,

zanim rozpocznie się przedstawienie.

Część popołudnia spędzam w jednym z pokoiów przeznaczonych na prywatne ćwiczenia w towarzystwie Aleksieja Ratmańskiego, choreografa *Ognistego Ptaka*. Aleksiej, wizjoner i perfekcjonista, do ostatniej chwili zmienia choreografię. Tu dopracowuje skok, tam – obrót. Przechodzimy przez każdą moją partię solową, by mieć pewność, że wszystko jest dobrze wyliczone.

Takt pierwszy: na czubkach palców.

Takt drugi: szybki ruch w prawo.

Takt trzeci: wyskok w powietrze.

Aleksiej kilkakrotnie zmienia moje wejście na scenę, zanim uzgodnimy, które kroki najbardziej mi odpowiadają. Mamy jeszcze dwie wersje, a w każdej z nich pojawienie się Ognistego Ptaka jest inne, trudne, wyjątkowe. Przepęlnia mnie energia. Jestem gotowa.

Robię to dla małych ciemnoskórych dziewczynek.

Spacerkiem wracam do domu, kilkanaście przecznic od Met. Biorę prysznic i włączam kanał kulinarny, żeby coś brzęczało w tle, kiedy staram się zrelaksować umysł i odprężyć ciało. Kilka godzin później jestem z powrotem w Met. Kurtyna podniesie się dopiero o wpół do ósmej, ja wchodzę na scenę o dziewiątej, ale wolę być wcześniej, by uniknąć pośpiechu.

To specjalny wieczór, i to nie tylko dla mnie. Kevin McKenzie obchodzi dwudziestą rocznicę pracy jako dyrektor artystyczny American Ballet Theatre. Będą przemówienia, nagrane wcześniej filmy z gratulacjami od dyrektorów artystycznych niemal wszystkich wielkich zespołów tańca klasycznego na świecie i występy najznamienitszych tancerzy ABT.

Zbliża się pora przedstawienia. Od pięciu lat jestem solistką. Jedenaścioro spośród nas ma własne garderoby. Mojej nigdy nie używam. Wolę kojące towarzystwo *corps de ballet*. Sześć lat do niego należałam i przygotowując się do mojej pierwszej głównej roli w balecie klasycznym, chcę pozostać wśród kochających przyjaciół. Między nami nic się nie

zmieniło, choć tańczę główną rolę. Przynajmniej to zachowuje normalność tego niezwykłego wieczoru.

Od dawna mam własny kąt w garderobie. Błat jest tak zapełniony kwiatami, bombonierkami i fotografiami, że z trudem znajduję miejsce na komórkę. Są bukiety moich ulubionych orchidei i tuziny róż. Arthur Mitchell, założyciel Teatru Tańca w Harlemie, nagrał mi wiadomość z życzeniami szczęścia. Dostałam dziesiątki e-maili, SMS-ów i kartek – od przyjaciół, rodziny i wielbicieli z całego kraju.

Patrzę na piękne prezenty i ogarnia mnie wzruszenie. Ale nie mogę się dekoncentrować. Nie mogę dać się porwać emocjom.

Robię to dla małych ciemnoskórych dziewczynek.

Pół godziny po otwarciu wieczoru czeszę się i nakładam makijaż. W lustrze widzę, jak znika Misty, a jej miejsce zajmuje tajemnicza postać z twarzą połyskującą czerwienią, pokrytą dziwnymi czerwonymi spiralami wychodzącymi z kącików oczu. Nawet moje długie na dwa centymetry sztuczne rzęsy są czerwone. Charakteryzator ściąga mi włosy w gładki kok, by przymocować czerwono-złote pióro.

– Powodzenia, Misty! – krzyczy jeden z tancerzy.

– Połamania nóg! – woła inny.

– Wszystkiego dobrego! – rzuca trzeci.

Wiem, że z całego serca są mi przychylni. Ale to zwykłe życzenia, jakie można usłyszeć przed każdym występem. Nie oddają przełomowej natury tego wieczoru, jego znaczenia dla mnie i całej afroamerykańskiej społeczności.

Być może żadne słowa nie są w stanie tego opisać.

Jeszcze kwadrans.

Sfruwam na parkiet w holu przy garderobie, rozciągając się, wyginając, przeglądając się w lustrze. Myślę sobie: „O to chodziło. To moja wielka chwila”. Chwila, kiedy zabłysnę, pokażę, na co stać czarnych tancerzy na najwyższym poziomie baletu.

Robię to dla małych ciemnoskórych dziewczynek.

Jednak goleń drga mi w niekontrolowany sposób.

Wiem, że dłużej nie zniosę takiego bólu. Dzisiaj wieczorem po raz pierwszy wystąpię w Nowym Jorku jako Ognisty Ptak. Modłę się, by nie był to jednocześnie ostatni raz. Zanim rozpocznie się *Ognisty Ptak*, American Ballet Theatre zdąży pokazać kilka innych kawałków i będzie miał dwie przerwy w programie.

Kieruję się w stronę sceny. Kevin McKenzie, dyrygent i reszta zespołu artystycznego ABT już tam są, za kurtyną, życząc mi szczęścia.

Przypominam sobie, jak pierwszy raz stanęłam na scenie Metropolitan Opera. Miałam dziewiętnaście lat, wciąż jeszcze walczyłam o miejsce w zespole baletowym. W baletkach przemierzałam błyszczące posadzki, wyobrażałam sobie siebie na scenie nie jako jedną z baletnic, lecz odtwórczynię głównej roli. To było miłe uczucie. Jak obietnica: któregoś dnia to nastąpi.

Dziesięć lat później jestem tu, czekam na chwilę, kiedy rozbłysznię na scenie czerwono-złotą iskrą.

Na zewnątrz zgromadził się największy tłum, jaki kiedykolwiek widziałam. Są wybitni przedstawiciele społeczności afroamerykańskiej i pionierzy świata tańca, którzy nieczęsto otrzymywali to, co im należy: Arthur Mitchell, Debra Lee, Star Jones, Nelson George... Jednak będę tańczyć nie tylko dla tych, którzy dzisiaj tu są, ale i dla tych, którzy nigdy nie widzieli baletu, którzy mijają gmach Metropolitan Opera i nawet nie wyobrażają sobie, co dzieje się w środku. Może są biedni – jak ja kiedyś, może są niepewni siebie – jak ja kiedyś, może niezrozumiani – jak ja kiedyś. Będę tańczyć także dla nich.

Zwłaszcza dla nich.

Robię to dla małych ciemnoskórych dziewczynek.

Kiedy kurtyna idzie w górę, stoję w odległym zakątku sceny. Po księżcu Iwanie najpierw pojawia się całe stado Ognistych Ptaków. Czuję oczekiwanie publiczności, kiedy prezentują się i czyszczą piórka. Wszyscy spodziewają się, że będę wśród nich. Biorę głęboki oddech. Rozbrzmiewa

muzyka, a wraz z nią odzywa się zachęcający, pełen miłości aplauz widzów.

W tym momencie zdaję sobie sprawę, że nieważne jest to, czego zaraz dokonam na scenie. Wszyscy przyszli tu dla mnie, dzisiaj wieczorem są ze mną, taką, jaka jestem i co sobą reprezentuję. Wbiegam na scenę i czuję przemianę. Kiedy zbliżam się do środka, stado rozprasza się i zostaję sama. Krótka chwila ciszy... i znów wybuchają szalone oklaski, tak głośne, że prawie nie słyszę orkiestry.

I przedstawienie się zaczyna.

Rozdział 1

Od kiedy skończyłam dwa lata, żyłam w bezustannym ruchu. Właśnie wtedy mama spakowała mnie, moją siostrę oraz braci i opuściliśmy ojca.

Byłam wówczas najmłodsza z rodzeństwa; miałam usta i nos ojca, ale przez wiele lat nawet nie będę tego wiedzieć. Nie mam wspomnień z nim związanych, żadnego jego zdjęcia, a ponownie go zobaczę, kiedy skończę dwadzieścia dwa lata i będę podróżować po świecie z American Ballet Theatre, a Doug Copeland stanie się panem w średnim wieku z siwiejącymi skroniami.

Urodziłam się w Kansas City w stanie Missouri, jako druga córka z czworga dzieci mojej mamy. Dwóch mężów później było nas już sześcioro. Kiedy mama zmieniła nasze życie, wsiadając do autobusu jadącego na zachód, rodzina zaczęła żyć w rytmie, który naznaczy dzieciństwo moje i rodzeństwa: pakowanie, przepychanki, wyjazd – niekiedy ratujący życie.

Nie pamiętam samej podróży, ale trwała dwa dni. W końcu zatrzymaliśmy się w Bellflower, robotniczym przedmieściu Los Angeles. Zaczęliśmy wszystko od nowa i w krótkim czasie – zbyt krótkim, jak się potem okazało – mieliśmy nowy, wygodny i ciepły dom oraz nowego tatusia.

Miał na imię Harold. Był przyjacielem mamy z dzieciństwa, powitał nas na dworcu i nieco ponad rok później został jej trzecim mężem. Pracował jako szef sprzedaży na kolei Santa Fe, ale charakterem zupełnie nie pasował do sztywnego tytułu. Wyglądał jak bejsbolista Darryl Strawberry,

zaliczający wszystkie bazy i zdobywający punkty: wysoki, muskularny, czarnoskóry. Przez najbliższe trzy lata, dopóki nie urodziła się moja siostra Lindsey, byłam beniaminkiem rodziny... Harold podrzucał mnie silnymi ramionami – a byłam drobna jak na swój wiek – i łaskotał tak długo, aż płakałam ze śmiechu.

W moich najwcześniejszych wspomnieniach nie widzę mamy, lecz właśnie jego. Jako dzieci wiecznie wpadaliśmy do domu i wypadaliśmy na dwór, a jeśli nasz dom niekiedy przypominał cyrk, to Harold był bardziej szefem widowiska niż ojcem usiłującym nad nami zapanować. Taki wesolek o zaraźliwym śmiechu. Kiedy mama chciała, by nas zdyscyplinował, potrafił wszystko zamienić w zabawę: „Nie dam wam klapsa, ale krzyczcie, jakbym dał” – szeptał, zaganiając nas do sypialni i zamykając drzwi. Potem wielką dłonią uderzał w łóżko. – „Nie, tatusiu, nie!” – darliśmy się, tłumiąc chichot i odstawiając przedstawienie godne Oscara.

Mama, zadowolona, siedziała w salonie, nie zdając sobie z tego sprawy.

Chociaż rodzina była tak liczna, Harold znajdował czas dla każdego z nas i sprawiał, że czuliśmy się wyjątkowi. Ja tak bardzo lubiłam pestki słonecznika, że reszta rodzeństwa przezywała mnie „ptaszek”. Moje upodobanie wzięło się chyba z tego, że kiedy byliśmy sami, siadywałam z Haroldem na kanapie i opychaliśmy się pestkami, gryząc ich słone skorupki. Mama tego nie znosiła, bo ziarenka wpadały między poduszki i robił się bałagan. Jednak wspomnienia tych popołudni zachowuję w najmilszej pamięci.

My, dzieci, widzieliśmy takie właśnie oblicze Harolda: pogodnego, kojąco wpływającego na nas taty. Jednak za fasadą śmiechu i zabawy mama zauważała coś zupełnie innego. Harold był alkoholikiem. Do nas docierały jedynie przebłyski, dostrzegane kątem oka, na przykład puszka piwa wiecznie obecna na nocnym stoliku przy łóżku rodziców. Później odkryłam, że to, co dla nas niewidoczne, dla mamy było jasne.

Gdy miałam osiem czy dziewięć lat i mieliśmy kolejny nowy dom

i nowego tatę, mama opowiedziała nam, że z powodu alkoholu Harold nie zawsze zdawał sobie sprawę z tego, co robi, i to ją przerażało.

Kiedy kończyłam podstawówkę, Lindsey, biologiczna córka Harolda, często – kilka razy w tygodniu – u niego zostawała, a ja z nią. Moją najlepszą przyjaciółką była wtedy Jackie Phillips. Byłyśmy nierozłączne. Uważałam, że jest śliczna: szczupła, o ciemnobrązowej karnacji, wyższa ode mnie. Większość czasu spędzałyśmy razem.

Jackie mieszkała blisko szkoły, tuż za rogiem, i mama nie miała nic przeciwko temu, żebym u niej czekała, aż Harold po mnie przyjedzie. Pewnego wieczoru świetnie się bawiłyśmy, słuchając nowego albumu TLC *CrazySexyCool* i odrabiając lekcje. Zadzwoił telefon, mama Jackie odebrała i zawołała, że to do mnie. Dzwoniła Lindsey.

– Tata jest pijany – mówiła przez łzy. – Powiedziałam mu, że nie powinien prowadzić. Możesz jakoś inaczej dojechać?

Odłożyłam słuchawkę. Rozbolał mnie brzuch, nie wiedziałam, czy mam powiedzieć mamie Jackie, o co chodzi, czy zadzwonić do mojej mamy,

Wróciłam do pokoju przyjaciółki. Czas leciał, a ja myślałam, co robić. Rozległ się dzwonek do drzwi. W progu stała Lindsey. Harold czekał w aucie. Chyba wiedział, że nie powinien pokazywać się pani Phillips w takim stanie. Kiedy wsiadłam do samochodu, śmierdziało w nim papierosami i piwem. Harold włożył kluczyk do stacyjki, wcisnął pedał gazu i pognaliśmy przez most Long Beach. Serce mi waliło, kiedy przejeżdżaliśmy przez światła. Lindsey i ja mocno trzymałyśmy się za ręce, kuląc się na tylnym siedzeniu. Po raz pierwszy pojęłyśmy, o czym tak często mówiła mama. Samochód z wielką prędkością przejeżdżał z pasa na pas, zbliżając się do barierki mostu zawieszzonego kilkadziesiąt metrów nad oceanem. Bałyśmy się o życie. Jednak obraz ciepłego i miłego Harolda tak mocno tkwił w duszy Lindsey i mojej, że starałyśmy się mu nie okazywać, że wiemy, iż jest pijany, ani że zmieniliśmy zdanie na jego temat.

Kiedy kolejny raz Lindsey zadzwoniła z informacją, że Harold jest

pijany, poprosiłam, by przekazała mu słuchawkę i oświadczyłam, że przenocuję u Jackie i żeby po mnie nie przyjeżdżał. Jednak nie umniejszyło to mojej miłości do niego. Pozostanie jednym z moich najlepszych wspomnień z dzieciństwa: tatusiem, który w sobotę rano robił nam gofry i podawał je na plastikowych tackach, a my w piżamach oglądałyśmy kreskówki. Pamiętam, jak siedział przy mnie w łazience, kiedy miałam cztery lata, trzymał mnie za rękę, kiedy płakałam, skręcając się z bólu brzucha. Wspomnienia związane z Haroldem nigdy nie są zamglone, zawsze czyste i jasne. A on od piętnastu lat nie pije.

Jednak pięć lat po tym, jak zjawiliśmy się w mieszkaniu Harolda, mama znów zdecydowała, że nadszedł czas, by spakować się i ruszyć w drogę. Zapięła Lindsey w foteliku, a my wcisnęliśmy się do jej błękitnego mercedesa kombi, starając się znaleźć najlepsze miejsce. Kiedy ruszaliśmy Bóg wie dokąd, obyło się bez płaczu i krzyków. Byliśmy zbyt skołowani, żeby się śmiać, i zbyt przestraszeni, by się bawić.

Wyjeżdżaliśmy jak zawsze: w dramatycznych okolicznościach, w pośpiechu i bałaganie.

Nasza szczupła, ponętna, opanowana rodzicielka długo wyglądała bardziej na starszą siostrę niż matkę szóstki dzieci. W Kansas City występowała jako czirliderka tylko przez jeden sezon, ale na całe życie zachowała energię i żywotność, pomagając dzieciom, nie przestając się uśmiechać mimo zbyt licznych nieudanych małżeństw i niekiedy depczących nam po piętach wierzycieli.

Do dzisiaj usiłuję zrozumieć mamę, pojąć, co ją ukształtowało i przede wszystkim rozgryźć motywy wyborów, jakich dokonywała. Nie mówiła dużo o własnym dzieciństwie, ale z tego, co słyszałam, było pełne bólu. Jej matka była Włoszką, ojciec – ciemnoskórym Amerykaninem, ale nigdy nie poznała rodziców. Oddali ją do adopcji, nie wyjaśnili czemu, ale jestem pewna, że w czasach, gdy za małżeństwo z osobą o innym kolorze skóry groziło więzienie, po prostu zadbali o własną przyszłość i uznali, że wychowanie dziecka ich przerasta.

Mamę zaadoptowało starsze małżeństwo Afroamerykanów, pracownica opieki społecznej z mężem, ale oboje zmarli, kiedy była mała. Od tej pory była przerzucana od jednych krewnych do drugich, właściwie wychowując się sama.

Po rozstaniu z Haroldem mogłam zacząć mierzyć czas wiecznie zmieniającymi się kochankami mamy i zależnością od nich. Jednak zrozumiałam to dopiero, kiedy dorosłam. Gdy opuściliśmy Harolda, miałam siedem lat i nie wiedziałam, co przyniesie życie. Pojechaliśmy do San Pedro, portowej osady w pobliżu Los Angeles, i tam będziemy zawsze wracać, po każdorazowym pakowaniu i wyjeździe, a we wspomnieniach wszyscy będziemy nazywać to miejsce domem.



Nawet nie wiem, czy Harold był świadom, że żona z dziećmi go zostawiają. Jednak nasz kolejny ojczym wiedział, że już jesteśmy w drodze. Robert, który wkrótce miał zostać czwartym mężem mamy, był zupełnym przeciwieństwem jej trzeciego małżonka: pulchny, dobrze prosperujący radiolog, podobnie jak moja w połowie włoska, a w połowie czarna matka, miał mieszaną krew – jego przodkowie pochodzili z Hawajów, Korei, Filipin, Portugalii i Japonii.

Sto lat wcześniej rybacy z Japonii, podobnie jak ci z Chorwacji, Grecji i Włoch, przemierzali wody w okolicach San Pedro, poszukując sardynek oraz tuńczyków, i sprawili, że port rybacki Los Angeles w latach dwudziestych XX wieku stał się największy w kraju. Rybołówstwo to była ciężka harówka. Kiedy dorastałam, słyszałam też opowieści o tragarzach i robotnikach zabitych w dokach. Praca zapewniała jednak dobre zarobki i wielu miejscowych mężczyzn – ojców, braci i wujków moich kolegów ze szkoły – odpowiedziało na zew morza.

Nasze życie w San Pedro również było naznaczone przez morze i to tak bardzo, że nawet nie pamiętam, kiedy nauczyłam się pływać: wiem

jedynie, że od pierwszych dni bez wysiłku śmigałam po wodzie. Kiedy byłam nastolatką, ubranie miałam przesiąknięte zapachem drewna z ognisk, które rozpalaliśmy na plaży. W szkole organizowano nam wycieczki do latarni w Angel's Gate, zbudowanej w 1913 roku i nadal wskazującej drogę do portu.

Gdy trzeba poprowadzić statek do portu, syrena mgłowa przecina ciszę dwoma sygnałami, nadawanymi co trzydzieści sekund. Kiedy byliśmy dziećmi, dźwięk ten przerywał nam grę w gumę, zakłócał lekcje modlitwy. Jednak rozlegał się tak często, że w końcu przestaliśmy go słyszeć: brzmiał gdzieś tam, w tle, jak bicie serca. Byliśmy częścią Los Angeles, ale tak oddaloną od Hollywood, migotliwego serca miasta, jak to tylko możliwe. Gdyby nie palmy, San Pedro wyglądałoby jak Mayberry, fikcyjne prowincjonalne miasto z czarno-białego telewizora. Całe pokolenia rodziły się tu i umierały, nie chcąc wrywać korzeni, zapuszczonych przez dziadków w piaszczystym podłożu. Nie było wieżowców. Centrum miasta przypominało ożywioną starą pocztówkę z gazowymi latarniami i sklepami w wiktoriańskim stylu. W San Pedro liczyło się to, co proste i znajome. Większość moich starych sąsiadów nie pamięta nawet, że zdobyłam nagrodę, która zmieniła moje życie: za rolę Kitri w *Don Kichocie*, którą zatańczyłam w Centrum Muzycznym w Los Angeles, w Dorothy Chandler Pavilion, chociaż „Daily Breeze” zamieścił moje zdjęcie na pierwszej stronie. Za to wszyscy ciągle mówią o konkursie talentów w szkole podstawowej Point Fermin, gdzie byłam ubrana w białą suknię ślubną, a chudy Aaron z mojej klasy na kolanach śpiewał mi serenadę. W San Pedro wspomina się takie rzeczy: Aarona, który niemiłosiernie fałszował, moją sukienkę z falbanami i wzruszającą pieśń miłosną.

Po drodze do domu Roberta musieliśmy pokonać tyle wzniesień i zakrętów, że wydawało się nam, iż wjedziemy do samego Oceanu Spokojnego, ale nagle samochód szczęśliwie skręcił i pokonał kolejny zjazd. Dom był parterowy, w stylu śródziemnomorskim, z dużym podjazdem.

Był to doskonały dom w doskonałym osiedlu i wydawał się wstępem do

doskonałego życia. Z ganku można było nawet dostrzec wyspę Catalina, wylaniającą się z porannej mgły niczym zjawą. Jednak to, co wydaje się doskonałe, często okazuje się złudzeniem, jak tancerka z naciągniętym ścięgnem stawu skokowego, która nosi na twarzy uśmiech zamiast grymasu bólu, kiedy mimo cierpienia delikatnie jak motyl ląduje na deskach sceny.

Jako dzieciaki nie zwracaliśmy szczególnej uwagi na otaczające nas piękno. Byliśmy zbyt zajęci, starając się zrozumieć, dlaczego tu przyjechaliśmy, co poszło nie tak, a przede wszystkim czy jeszcze kiedyś zobaczymy Harolda. Jednak teraz naszym domem miało być to miejsce i szybko weszliśmy w rytm nowego życia.

Po raz pierwszy mieliśmy obowiązki: wynoszenie śmieci, zmywanie naczyń, zamiatanie okruszków z podłogi po śniadaniu. Skończyło się jedzenie na kanapie z talerzem na kolanach. Do posiłków zasiadaliśmy w jadalni, przy stole: rano, w południe i wieczorem.

To było w porządku. My, Copelandowie, przypominaliśmy wędrowną plemię: twardzi, dziko broniący własnej grupy i szybko przystosowujący się do otoczenia. Byliśmy bardzo zżyci i trzymaliśmy się razem. A ponieważ było nas tak dużo, sami robiliśmy sobie przyjęcia i organizowaliśmy zabawy – nieważne, gdzie i w jakim otoczeniu wylądowaliśmy ani jakie obowiązywały tam zasady.

Kiedy wprowadziliśmy się do Roberta, Erica, moja starsza siostra, miała dwanaście lat. Była najbardziej podobna do mamy – pełna życia i otwarta. Codziennie odprowadzała nasze stadko do szkoły, usiłowała zapanować nad moimi bujnymi włosami, ściągając je ciasno w koński ogon lub prostując podczas suszenia po kąpielu.

Doug junior, nasz najstarszy brat, miał lat jedenaście i był nie tylko imiennikiem, ale – jak mieliśmy się kiedyś przekonać – także i żywym odbiciem naszego ojca. Bardzo inteligentny i żądny wiedzy, związał się w fotelu i czytał słownik, tak jak inni chłopcy w jego wieku czytają komiksy.

Jak wielu Afroamerykanów, mieliśmy rozmaitych przodków. Była włoska babcia ze strony mamy, a ojciec był synem Niemki i ciemnoskórego Amerykanina. Jednak Doug junior chciał być czarny.

Pewnego dnia, kiedy byłam w trzeciej klasie, wróciłam do domu, a Doug siedział na ganku. Marszczył brwi i bawił się czymś małym i białym, co trzymał w dłoniach.

– Co robisz? – zapytałam.

– Czytam o naszych dziejach – o niewolnictwie – i chcę się dowiedzieć, jak się czuli nasi przodkowie, więc skubię bawełnę.

W odróżnieniu od piasku czy muszelek, surową bawełnę niełatwo było znaleźć w San Pedro. Jakimś cudem jemu to się udało i wydłubywał ziarenka z białych pęczków. To był cały Doug: dokładny, skupiony, świadomy i ciekawy.

Następny w kolejce był nasz brat Chris, którego zdolności adwokackie – zostanie prawnikiem – przejawiały się w tym, że kłócił się o wszystko i z największym przekonaniem. Jeśli nie miał racji, lepiej było mu tego nie mówić. Był nieustraszony, uprawiał rozmaite sporty: grał w tenisa, w koszykówkę, w piłkę nożną. Energia go rozsadzała do tego stopnia, że niekiedy po prostu biegał dookoła domu, dosłownie obijając się o ściany.

Nasza siostrzyczka Lindsey, która wybiegała sobie stypendium na kalifornijskim uniwersytecie stanowym w Chico, była córką mamy i Harolda. Miała promienny uśmiech i wielkie poczucie humoru, jak jej ojciec. A nasz najmłodszy braciszek Cameron, który urodził się ze związku mamy z Robertem, głośno szedł przez życie, grając w T-ball, ale prawdziwe powołanie odkrył, gdy usiadł przy fortepianie.

A w środku byłam ja, spokojna, zamknięta w sobie i szczęśliwa, gdy ginęłam wśród naszego hałaśliwego stadka.

Byłam nerwowym dzieckiem. Nieśmiałość, połączona z nieustannym dążeniem do perfekcji, bardzo utrudniała mi życie.

Chyba przyszedłam na świat ze skłonnością do zamartwiania się. Nie było dnia, bym nie odczuwała niepokoju, zwłaszcza w szkole, a strach

towarzyszył mi od wstania z łóżka: drżałam, że spóźnię się na lekcje, a gdy po południu wracałam do domu, po prostu denerwowałam się życiem i kropka. Czułam się dziwnie, jakbym nigdzie nie pasowała, i trwałam w ciągłej obawie, że rozczaruję mamę, nauczycieli czy samą siebie.

Nie znaczy to, że mama narzekała, ale trzeba było zasłużyć sobie na pochwały z jej strony, a ja ogromnie ich pragnęłam. Przy tylu siostrach i braciach trudno było przyciągnąć jej uwagę, a mój głos, stłumiony przez wielką nieśmiałość, z trudem przebijał się przez gwar głosów rodzeństwa.

Usiłowałam być doskonała także w szkole. Sama myśl o spóźnieniu się przyprawiała mnie o bicie serca. Przez całe lato poprzedzające rozpoczęcie roku szkolnego w szkole w Dana, gdzie już chodzili Erica, Doug i Chris, bezustannie przypominałam mamie, że musimy iść do szkoły, bym mogła zapamiętać wszystkie korytarze i zakręty: którymi schodami idzie się na matematykę, a gdzie jest klasa angielskiego. Przerazała mnie myśl, że zabłądzę i będę musiała przejść przed całym morzem wpatrzonych we mnie twarzy, bo dotrę na lekcję po dzwonku.

Mama nie chciała się zgodzić na wakacyjną wizytę w szkole. Zawsze usiłowała mnie uspokajać. Jednak w szkole średniej, kiedy już sama mogłam decydować, nikt nie mógł mnie powstrzymać przed odwiedzinami w budynku szkolnym, tak na próbę, ani odwieść od stosowania innych strategii pozwalających nabrać pewności, że się nie spóźnię. Do ostatniej klasy zjawiałam się w szkole godzinę wcześniej, siadałam przed szafką w szatni i uczyłam się aż do rozpoczęcia pierwszej lekcji. Nigdy się nie spóźniłam, ani razu.



Pamiętam, jak pierwszy raz stanęłam na scenie. Miałam pięć lat, ale w odróżnieniu od późniejszych występów najbardziej wryło mi się w pamięć nie to, że czułam się pewnie przed widzami ani nie gromkie oklaski, lecz reakcja mamy po przedstawieniu.

Mieszkaliśmy jeszcze w Bellflower, z Haroldem, a mama zaprowadziła Chrisa, Ericę i mnie do szkoły podstawowej imienia Thomasa Jeffersona na konkurs talentów.

Sama przygotowała nam stroje, ćwiczyliśmy całymi tygodniami, kręcąc biodrami i udając, że śpiewamy *Please Mister Postman*. Szybko złapałam rytm i bardzo mi się to podobało, więc każdego dnia biegłam po szkole do domu na próby w salonie. Najbardziej mnie cieszyło, że mama była taka podekscytowana, zwłaszcza kiedy szykowała nas do występu.

Oh, yes, wait a minute, Mister Postman.

Przedstawienie się zaczęło. Erica i ja włączyłyśmy piosenkę Marvelettes, a siedmioletni Chris, w granatowych krótkich spodenkach i białej koszuli, miał przewieszoną skórzaną torbę listonosza i rzucał listy publiczności.

Zrobiliśmy wielkie wrażenie, zwłaszcza na mamie.

– Byliście wspaniali! – wybuchnęła entuzjazmem, robiąc nam zdjęcia i promieniejąc, gdy widzowie podchodzili do niej, gratulując naszego występu. – Macie wrodzony talent! Misty, scena jest twoim żywiołem!

Zostałam zauważona. Mimo że dzieliłam chwałę z Ericą i Chrisem, nareszcie poczułam, że wyróżniam się z tłumu małych Copelandów, że uwaga mamy była skupiona tylko na mnie.

Zdarzało się to rzadko, na przykład wtedy, gdy dostałam dobry stopień albo wybrano mnie na dyżurną w szkole średniej Dana. Mama przynosiła mi torebki nasion słonecznika, papeterię ze słonecznikami albo mdląco słodkie perfumy dla dzieci, które nazywały się – jakżeby inaczej – „Słonecznik”. Z radością przyjmowałam nagrody, starając się jak najdłużej skupiać mamina uwagę.

Nie czułam się szczególnie mocna z żadnego przedmiotu. Pracowałam więc wyjątkowo ciężko, ucząc się równań, zaimków i dat bitew z wojny domowej, dopóki nie wykułam wszystkiego na mur. Bez trudu zdawałam wszystkie egzaminy, ale dopiero, kiedy jako nastolatka odkryłam balet, doceniłam, jakim darem była dobra pamięć wzrokowa: widziałam ruch i od razu potrafiłam go powtórzyć.

Moim pierwszym wzorem poruszania się wcale nie była baletnica, lecz gimnastyczka, Nadia Comaneci. Nie było mnie jeszcze na świecie, gdy w 1976 roku Comaneci przeszła do historii igrzysk olimpijskich jako pierwsza kobieta, która uzyskała dziesięć punktów w gimnastyce, zdobywając złoty medal za siłę, elegancję na równoważni i drążkach. Odkryłam ją, kiedy miałam siedem lat i obejrzałam film o niej w telewizji Lifetime. Zachwycona, nagrałam program na magnetowidzie i siedząc na podłodze, oglądałam go w nieskończoność. Ogarnęła mnie obsesja na punkcie gimnastyki, śledziłam wszystkie zawody i pokazy, jakie tylko mogłam znaleźć. Jednak od początku bardziej pociągały mnie ćwiczenia na parkiecie, a nie akrobacje w powietrzu: prawdopodobnie dlatego – teraz to rozumiem – że były najbliższe baletowi klasycznemu i tańcowi.

Zacząłam sama trenować gimnastykę, a moje ciało już wiedziało to, czego jeszcze nie zrozumiał umysł: ruch w określonym rytmie przychodził mi tak samo naturalnie, jak oddychanie. W naszym nowym domu, u Roberta, mieliśmy ogromny teren przed domem i za nim, więc rozciągałam się na trawie, na bosaka, ucząc się wykonywać przewroty w tył i gwiazdy oraz stać na rękach. Już umiałam robić szpagat, choć nikt nigdy mnie tego nie uczył. Nogi same wiedziały, co robić. Stojąc na głowie, utrzymywałam równowagę z taką samą łatwością, jak inni to robią, chodząc. Nie zastanawiałam się, czemu potrafię od razu wykonywać ruchy, które inni ćwiczą miesiącami, ani czemu moje ręce i nogi są tak elastyczne jak gumowa taśma. Tak po prostu było, a ja to po prostu wiedziałam.

Po szkole i w weekendy ćwiczyłam godzinami. Kiedy kończyłam, wyginałam plecy, wyrzucałam ramiona w powietrze i pławiłam się w okrzykach aplauzu, którego nie słyszał nikt poza mną. Jak Nadia.

W końcu zrozumiałam, że tak naprawdę to nie chcę zostać gimnastyczką. Pociągały mnie ćwiczenia na parkiecie, a nie wszystkie te koziołki i wymyki. Jednak uświadomiłam sobie potęgę ruchu i po raz pierwszy poczułam jego medytacyjny czar. W nim znalazłam drogę ucieczki.



Mniej więcej wtedy zaczęły mnie męczyć migreny. Mama powiedziała, że miała tak samo, kiedy była w moim wieku. Dolegliwość znajdowała więc podłoże w genach, ale sądzę, że obezwładniający ból, wymioty i zamglone widzenie były następstwem stresu. Byłam jednym wielkim strachem. Zdarzało się, że wcześniej wychodziłam ze szkoły, bo czułam się tak chora, że nie mogłam ani się uczyć, ani bawić, i padałam na łóżko od razu po przyjściu do domu, zasypiając w ubraniu. Światło wzmagало cierpienie, więc musiałam leżeć w zaciemnionym pokoju. Kiedy Robert wracał z pracy, budził mnie i pomagał mi przebrać się w piżamę. Przez te wszystkie lata przyzwyczaiałam się do bólu, ale nie stał się przez to łżejszy.

W domu nigdy nie było chwili spokoju. Na każdym krześle ktoś się rozwalał, w każdym kącie piętrzyły się zabawki i książki. Rano budziliśmy się w potopie dźwięków, dzieci krzyczały, muzyka wyła, telewizor ryczał na całego. Telewizor stał się domowym ołtarzykiem, bo oglądaliśmy w nim sport. Nieważne, jaki sport, jakie rozgrywki ani jaka drużyna: Chicago Bulls czy San Francisco 49; każdy miał swojego faworyta – to znaczy każdy z wyjątkiem mnie. Ale Kansas City Chiefs należeli do nas wszystkich. Zanim mama zaczęła rodzić dzieci, była ich czirliderką, więc mogła liczyć na darmowe bilety, by oglądać ich w akcji. W weekendy i poniedziałkowe wieczory w zasypywanym popcornem domu wszystko się trzęsło, a rodzina – beze mnie – gromadziła się w salonie i rykiem komentowała każdy zdobyty metr boiska i udane wypuszczenie piłki. Mamę i rodzeństwo to pasjonowało. Ja chowałam się w sypialni, włączałam piosenki Mariah Carey i tworzyłam. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to się nazywa choreografia.

Wymagało to mocniejszego wyginania bioder i wykręcania głowy niż cokolwiek innego. Naśladując tańce, które widziałam w muzycznych klipach bezustannie pokazywanych w telewizji, odstawiałam pantomimę

i udawałam, że śpiewam.

I've been thinking about you – śpiewała Mariah. A ja przykładałam czubki palców do skroni, a potem wyciągałam ręce w stronę wymaginanego kochanka, poruszając biodrami i ramionami w rytm muzyki.

Potem nuciła, że się zakochuje, a ja trzepotałam ramionami i opadałam na podłogę.

Nie był to George Balanchine, ale mogłam sobie wyobrazić, że reżyseruję wideo dla MTV.

Czasem do zabawy wciągałam Lindsey, by zobaczyć, jak moje pomysły realizuje cudze ciało. Powiedzieć, że podchodziła do tego niechętnie, to za mało – chyba jako jedyna z nas nie odziedziczyła poczucia rytmu. Bezlitośnie drażniliśmy się z nią, pytając, czy aby bocian nie podrzucił jej do niewłaściwej rodziny albo czy nie jest białą dziewczynką ukrywającą się w kakaowej skórce.

– Lindsey, zatańcz to dla mnie – błagałam.

– Neeeeee chceeeee – wyła, zalewając się łzami.

– Poproszę, żeby Chris i Doug odczepili się od telewizora i dali ci pooglądać *Jak dwie krople czekolady* – kusiłam.

To zwykle wystarczało. Lindsey uwielbiała Tię i Tamerę Mowry. Ale grymasiła przy każdym kroku. Chociaż odkryłam taniec, kiedy mieszkaliśmy z Robertem, prawdziwą rolę jego domu jako mego sanktuarium miałam dostrzec dopiero później. Prowadziliśmy nieuporządkowane życie. Mieliśmy domy i okresy stabilności, gdy mama miała męża, oraz małe zagracone mieszkania w przerwach między ojczymami.

Ooh, child, things are gonna get easier,

Ooh, child, things are gonna get brighter.

Dumnie przechadzałam się wokół maminego łóżka, słuchając Tupaca i mając nadzieję, że przyznam mu rację.

„Bam” – rozkładałam dłonie przed twarzą i wykręcałam biodra w lewo,

kiwając się w rytm piosenki Salt'n'Pepa *Whatta Man*.

„Pop” – wyrzucałam głowę w prawo, falując ramionami, kiedy Craig Mack śpiewał mi *Flava in Ya Ear*.

Kiedy byłam dzieckiem, uwielbiałam oglądać powtórki *The Brady Bunch*. Sześcioro dzieci dzieliło pokoje w nieskazitelnym domu, a jedyne nieszczęścia, jakie je dotykały, polegały na tym, że w przeddzień obrony dyplomu Marcii wyskoczył pryszcz, a głos Grega zmienił się tuż przed konkursem talentów.

Kiedy w końcu zostawiliśmy Roberta, jak wcześniej Harolda oraz mego ojca, i rodzina musiała pozbyć się błękitnego kombi, jeździłam autobusem i na jawie śniłam o wszystkich rzeczach, które mała dziewczynka powinna mieć, a których mnie brakowało: o mamusi, która gotuje obiad dla całej rodziny, o wielkim, lśniącym czystością domu i o problemach nie większych niż krostka na nosie.

Ale kiedy tańczyłam, kiedy tworzyłam, miałam jasny umysł. Nie myślałam o tym, że śpię na podłodze, bo nie mam łóżka, ani o tym, kiedy nowy kochanek matki zostanie następnym ojczymem, ani o tym, czy wykrobiemy tyle pieniędzy, by kupić coś do jedzenia. Problemy znikwały w tańcu; nie było kłopotu, którego nie rozwiązałyby piosenka Mariah Carey.

Moje umiłowanie występów było szczególne. W szkole wciąż tak się bałam wywołania do odpowiedzi, że aż bolał mnie brzuch.

– Misty! – to ryczała pani Schwebble, nasza nauczycielka angielskiego z szóstej klasy. – Przeczytaj następne zdanie.

Drżącymi rękami sięgałam po *Buszującego w zbożu*.

„Życie jest grą – czytałam, a słowa grzęzły mi w gardle, zanim wydobyłam z niego żaloszny skrzek. – Życie jest grą, której prawideł należy przestrzegać^[1]”.

Dla małej dziewczynki, dygocącej w ciągłym strachu, że popełni błąd, żyjącej w nieustannej obawie, że ktoś ją skrytykuje w obecności innych, scena była swego rodzaju azylem. Zrozumiałam czemu, kiedy weszłam do

zespołu American Ballet Theatre, występowałam w Metropolitan Opera w Nowym Jorku, w Teatrze Bolszoi w Moskwie, w Bunka Kaikan w Tokio.

Każdy profesjonalny tancerz musi znosić ogromną dawkę krytyki i osądów, przygotowując się do przedstawienia. Na próbie wystarczy tylko zrobić niewłaściwy krok, a nauczycielka zaklaska, każe przestać i skrytykuje.

Jednak podczas występu, kiedy muzyka narasta, a publiczność okazuje zachwyty, wszystko zależy od ciebie: jak wysoko podskoczysz, kiedy odetchniesz. Nie ma czasu na zamartwianie się ani na ulepszanie. Albo wychodzi, albo nie. Łądujesz z gracją albo potykasz się i przewracasz. Ta absolutność, krańcowość, to wolność. Czułam ją tylko na scenie.

Wiedziałam to wszystko już jako dziecko. Co prawda wtedy scena nie chroniła mnie przed nauczycielką baletu ani krytykami. Pozwalała mi natomiast zapomnieć o zmartwieniach, o tym, że nigdzie nie pasuję, o wstydzie, że mama miała tylu mężów, o bólu, jaki czułam, kiedy nie widywałam Harolda. Kiedy byłam w szóstej klasie, postanowiłam, że ułożę choreografię dla moich dwóch najlepszych przyjaciółek Danielle i Reiny oraz dla siebie, a następnie że wspólnie wystąpimy na corocznym pokazie talentów w szkole podstawowej Point Fermin. Danielle, z długimi brązowymi włosami, mająca w sobie mieszankę krwi meksykańsko-amerykańskiej i białej, była najwyższa z nas trzech.

Reina, pochodzenia meksykańsko-amerykańsko-azjatyckiego, była drobna i ciemnoskóra jak ja. Byłyśmy nierozłączne. Codziennie po szkole odwiedzałam Danielle, razem wychodziłyśmy, odrabiałyśmy lekcje i tańczyłyśmy przy New Edition i Boyz II Men. Danielle, Reina i ja byłyśmy jak siostry. Nie pozwoliłam jednak, by nasze przywiązanie naruszyło twarde reguły, jakie narzuciłam podczas obowiązkowych prób, które organizowałam przed pokazem. Ustawiałyśmy się w salonie Danielle, ja na przedzie, i ćwiczyłyśmy układy. Niestety Danielle i Reina nie podzielały mojej pasji i w piątkowy wieczór, kiedy w końcu stanęłyśmy na scenie konkursu talentów, ich mniej niż entuzjastyczne podejście

bezlitośnie objawiło się w przytłumionych światłach audytorium.

Kiedy poruszałam ustami, naśladowując Mariah Carey w *I've Been Thinking About You*, Reina i Danielle śmiesznie podrygiwały, myśląc kroki. Trudno opisać, jak się czułam – rozczarowanie to najdelikatniejsze słowo, jakie przychodzi mi na myśl.. Ani przez chwilę nie wątpiłam jednak w doskonałość własnego występu. Stojąc przed tłumnie przybyłą publicznością, pod obstrzałem światel w szkole podstawowej, poczułam się pewnie.

Mój kolejny występ miał miejsce podczas następnego roku szkolnego. Byłam nowa w gimnazjum Dana, starałam się iść śladami Eriki i zakwalifikować się do szkolnej drużyny czirliderek.

Drużyna czirliderek szkoły Dana była legendarna. Pokonywała wszystkich konkurentów w całym stanie, a moja siostra Erica była jedną z jej gwiazd. Zawsze była moją idolką: piękna, lubiana, nigdy nie wątpiła w siebie, podczas gdy mnie niepewność wręcz paraliżowała. Chciałam być taka jak ona. A ponieważ obawy, które dręczyły mnie w każdym innym momencie, znikwały podczas występów, nie tylko dążyłam do tego, by wejść do zespołu – chciałam zostać jej kapitanem. Zabiegając o to, musiałam przygotować dwa układy: jeden mieli wykonać wszyscy starający się o wejście do drużyny, a drugi miałam ułożyć samodzielnie i odtańczyć solo. Erica zgodziła się pomóc mi przy choreografii, ale uprzedziła, że prawdopodobnie nie będzie to legendarny zespół z jej czasów. Instruktor, która poprowadziła go do tyłu zwycięstw, opuściła szkołę rok wcześniej, a jej miejsce zajęła Elizabeth Cantine, nowa nauczycielka historii.

Mimo to chciałam spróbować. Cała nasza rodzina uwielbiała George'a Michaela z czasów po *Wham* i postanowiliśmy, że będę tańczyła do *I Want Your Sex*. Ćwiczyłam z Ericą codziennie po szkole. Nie była zadowolona. Chyba nie odtwarzałam jej twórczych wizji tak, jak chciała. W końcu frustracja wzięła górę.

– Niczego nie potrafisz zapamiętać! – wykrzyknęła któregoś popołudnia,

zanim wybiegła z salonu, zostawiając mnie we łzach. Dziwna krytyka, skoro lata później choreografowie starali się pracować właśnie ze mną, ponieważ wręcz instynktownie zapamiętywałam i naśladowałam ich kroki. Jednak wtedy, gdyby zależało to od Eriki, nie weszłabym do obsady niskobudżetowego klipu muzycznego, nie mówiąc już o *Korsarzu*.

Błagałam, by wróciła i dalej mi pomagała, ale była nieustępliwa, więc sama dopracowałam układ. Dwa dni później poszłam na eliminacje, które odbywały się w szkolnej sali gimnastycznej. Pierwszy raz poddałam się sprawdzianom, podczas których musiałam udowodnić swe umiejętności, co później stanie się codziennym elementem mego życia.

Kiedy stanęłam przed komisją, czułam się trochę onieśmielona. Za stołem siedziały trzy szkolne „primadonny”, które z upodobaniem starały się, bym posmakowała tego, co przechodziły rok wcześniej, kiedy same były zdenerwowanymi nowicjuszkami, zabiegającymi o wejście do drużyny. Obok nich siedziała nowa trenerka, Elizabeth. Przypominała ptaszka: była drobna jak ja, z brązowymi lokami okalającymi delikatną porcelanową buzię z pełnymi spokoju oczyma. Tańczyłam z dziesiątkami innych dziewczynek, także chcących dostać się do zespołu. Potem nadszedł czas mojej solówki.

Stanęłam prosto, ze spuszczonej oczami i złożonymi rękami, jedno kolano wysunęłam do przodu i czekałam, aż ruszy taśma.

Baaaaby! – zawołał George Michael, a ja wystartowałam. Tupałam, wirowałam i kręciłam biodrami przez pełne trzy minuty, kończąc pokaz ześlizgiem do szpagatu z ramionami wyprostowanymi do przodu i oczami wbitymi w sufit.

Cisza.

– Dziękujemy – usłyszałam oschły głos diwy o kasztanowych włosach, która skrobała coś w żółtym notatniku. Ale Elizabeth się uśmiechała.

Wróciłam do domu wieczorem, tłukłam się po salonie, w brzuchu fruwały mi motylki, czekałam na wiadomość, czy się zakwalifikowałam. Zadzwoił telefon.

Nie tylko weszłam do zespołu – zostałam kapitanem. Od razu moje życie nabrało innego rytmu. Treningi odbywały się podczas zajęć z gimnastyki – i bardzo dobrze, bo miałam dużo pracy w szkole. Byłam skarbnikiem szóstej klasy i komandorem, jak w szkole Dana nazywano dyżurną.

Trzydzieści dziewcząt tworzących drużynę spotykało się w pomieszczeniu przylegającym do sali gimnastycznej. Podczas treningów nosiłyśmy kostiumy z WF-u, ale na zawody wkładałyśmy barwy szkolne: skąpe żółte spódniczki z niebiesko-białym wykończeniem, które jeszcze podwijaliśmy, chcąc je skrócić. Miałyśmy wydekoltowane żółte topy na grubych ramiączkach i białe sznurowane tenisówki na gumowych podszewkach. Na koszulce miałam wyhaftowane białą nicią „Kapitan Misty”.

Kiedy zostałam kapitanem drużyny, od razu zyskałam popularność, ale w rzeczywistości nie czułam, że pasuję do innych członkiń zespołu. Niektóre dziewczyny były ode mnie starsze, gdyż jako urodzona we wrześniu należałam do najmłodszych uczennic w klasie. Wciąż jeszcze byłam dzieciakiem, bawiłam się Barbie i dręczyły mnie koszmarne sny: przychodzę nieprzygotowana na ustny egzamin z hiszpańskiego, bo o nim zapomniałam.

Z kolei koleżanki z zespołu to były – jak je określała moja mama – „stare-malutkie”: wypacykowane różowymi i fioletowymi szminkami, z oczami grubo obwiedzionymi czarną kredką. Kiedy zgodnie z moimi obowiązkami pilnowałam, by wszyscy punktualnie szli do klasy, ociagały się, oparte o szafki w szatni, rozmawiając o koszykarzach, których chciałyby poderwać na meczu. Nigdy z nimi nigdzie nie chodziłam, spotykałyśmy się jedynie na próbach i rozgrywkach. Ciągle przyjaźniłam się z Jackie, która tak jak ja była w samorządzie uczniowskim. Siedziałyśmy razem podczas lunchu, a w weekendy u niej nocowałam.

Koleżanki z drużyny traktowały mnie przyjaźnie, a nawet okazywały mi szacunek. Nie było wątpliwości, że tańczyłam najlepiej i dlatego to właśnie JA zostałam kapitanem. W sali ćwiczeń odzyskałam głos.

– Uwaaaaa...! – ryczałam. – W lewo zwrot!

Byłam najmniejsza w zespole, ale dziewczyny pilnie słuchały i wykonywały moje polecenia. Podobała mi się ta władza, ale pewność siebie, jaką mi dawała, znikwała po treningach i lęki wracały, gdy powracałam do świata, w którym bałam się, że stracę oparcie i się roztrzaskam.

Było jeszcze jedno miejsce, w którym czułam się przynajmniej w jakimś stopniu swobodnie: Klub dla Chłopców i Dziewcząt w San Pedro. Codziennie po szkole szłam do oddalonego o dwie przecznice Klubu i bawiłam się z rodzeństwem, dopóki mama nie przysłała po nas po pracy.



Treningi drużyny czirliderek nie przebiegały tak, jak oczekiwałam. Jako dziecko Elizabeth ćwiczyła balet klasyczny i wprowadziła pewne jego elementy do rozgrzewki i choreografii. Kiedy spotkałyśmy się pierwszego dnia, stanęłam na czubkach palców, jak kazała, zrobiłam krok w prawo z rozpostartymi ramionami, po czy złożyłam je, obracając się dookoła. *Chaine* – tak nazywał się ten krok. Wtedy nie znałam tego określenia, ale świst powietrza, kiedy wirowałam, wywoływał równie miłe uczucia co gwiazdy, które robiłam na podwórku.

Elizabeth nauczyła mnie, jak uginać kolana, jak się obracać i szybko przenosić ciężar ciała na jedną nogę, a drugą unosić pod kątem, zanim wyląduję na czubkach palców. Mówiła na to *piqué*. Myślałam, że kroki mają niezwykle nazwy, ale same ruchy nigdy nie wydawały mi się obce.

Po kilku tygodniach od rozpoczęcia roku szkolnego wymyśliłam, że ułożę choreografię do piosenki Mariah Carey *All I Want for Christmas Is You*. Stało się to moją obsesją. Mama Roberta, babcia Marie, nauczyła mnie trochę szyć, co wykorzystałam w dobrej sprawie: sama przygotowałam kostiumy.

Poprosiłam Elizabeth, by przeznaczyła część budżetu drużyny na

czerwone trykoty, i poświęciłam kilka tygodni na szycie czerwonych spódniczek oblamowanych sztucznym białym futerkiem. Uwielbiałam szycie, robótki, projektowanie, tworzenie. W szkolnej piwnicy znalazłam czerwone laski, pozostawione tam po bożonarodzeniowym przedstawieniu, i owinęłam je białymi taśmami, szykując nam rekwizyty na scenę.

Tym razem grupa miała mieć wszystko wykute na blachę – nie chciałam ryzykować powtórzenia nieszczęsnego występu z Reiną i Danielle na konkursie talentów. Zarządziłam próby nawet w weekendy, by mieć pewność, że wypadniemy doskonale. Ćwiczyłyśmy *piqué*, skoki i piruety z wysuniętymi kolanami – jak układy jazzowe, czego dowiedziałam się później – zamiast idealnie równych obrotów w jednej linii, czego uczyła nas Elizabeth.

Była to mieszanka wszystkich nowych kroków, jakich nauczyłyśmy się od Elizabeth. Ale na finał wykonałyśmy element znany tak dobrze, jak *Jingle Bells*: ustawiliśmy się w szeregu jak słynne Radio City Rockettes, wysoko wyrzucając kolana.

Dostałyśmy owację na stojąco.

Bożonarodzeniowy występ zbiegł się w czasie z zakończeniem semestru. Po nim miałyśmy dwutygodniową przerwę. Kiedy wróciłyśmy do szkoły, Elizabeth wezwała mnie do siebie.

– Masz idealną budowę ciała i wrodzone zdolności do baletu – zaczęła. – Wiem, że po szkole chodzisz do Klubu dla Chłopców i Dziewcząt. Moja przyjaciółka prowadzi tam zajęcia z baletu. Nazywa się Cindy Bradley. Może ci się spodoba?

Zaskoczyła mnie kompletnie. Balet? Czemu miałabym tego chcieć? Nawet nigdy nie widziałam żadnego przedstawienia. Nie pamiętam, czy w ogóle miałam pojęcie, o co w tym chodzi – może to liryczne i powolne, jak taniec z gigantycznymi wstążkami, który Elizabeth kiedyś z nami przygotowała?

Podobało mi się, gdyż każdy ruch sprawiał mi frajdę. Przerazało mnie jednak, że będę musiała wyjść poza strefę, w której czułam się bezpiecznie.

Nie znałam nauczycielki baletu w Klubie, a onieśmielał mnie sam pomysł, że mam poszukać kogoś obcego, żeby zacząć naukę odmiany tańca, o której nic nie wiedziałam. A jednak tego popołudnia posłusznie poszłam do sali gimnastycznej Klubu – ponieważ zawsze robiłam to, co mi polecono – wdrapałam się na odkrytą trybunę i siedziałam, obejmując kolana ramionami i przyglądając się zajęciom. Przez cały tydzień – czy coś koło tego – stanowiłam jednoosobową publiczność dziesięciu dziewczynk i kilku chłopców, przeważnie młodszych ode mnie, stających na palcach, stepujących, wykonujących skłony i rozciągających się. Któregoś dnia ich nauczycielka, Cindy, zauważyła mnie, podeszła i zapytała:

– Siedzisz tu każdego dnia. Dlaczego?

– Elizabeth Cantine, moja instruktorka w drużynie czirliderek, kazała mi przyjść, żeby popatrzeć, co robicie – powiedziałam cichutko. – Uważa, że to może być coś dla mnie.

– Opowiadała mi o tobie – odrzekła Cindy, szerzej otwierając oczy, gdy mnie poznała. – Może dołączysz do nas?

Nie mogłam. Jeszcze nie. Było widać, że inne dziewczynki trenowały już od jakiegoś czasu. I stosownie wyglądały: w baletkach, różowych rajstopach i kolorowych trykotach. Jak bym wyglądała na ich tle?

– Nie mam trykotu ani rajstop – wymamrotałam.

– Tym się nie martw – uspokoiła mnie Cindy. – Włóż strój gimnastyczny.

Siedziałam i patrzyłam jeszcze przez tydzień. Siostrom ani braciom nie powiedziałam, że chodzę na salę, żeby nie usiłowali namówić mnie do zrobienia tego, co mnie przerażało. Co będzie, jeśli wyjdę na głupka? Co sobie pomyślą inne dzieci? Co pomyśli Elizabeth, kiedy Cindy jej o tym opowie?

– Nie potrafiła niczego powtórzyć – w wyobraźni już słyszałam Cindy, kiwającą głową z litości nad tym, jaka jestem żałosna. – Już lepiej niech się trzyma czirliderek.

W końcu któregoś popołudnia powiedziałam sobie, że skoro i tak chodzę

do Klubu, to co mi szkodzi spróbować. Poszłam do szatni, żeby się przebrać. Wyszłam stamtąd, nieco zakłopotana, w niebieskich bawełnianych szortach, wystarczająco długich, by zakryć kolana, w białej koszulce i starych skarpetkach. Zmusiłam się, by wejść na środek boiska do koszykówki.

Znalazłam sobie miejsce, wyprostowałam się, popatrzyłam przed siebie i pierwszy raz w życiu położyłam ręce na drążku.

[1] J. D. Salinger, *Buszujący w zbożu*, przeł. Maria Skibniewska, Warszawa 1993.

Rozdział 2

Rzucam to.

Tak sobie powtarzałam, kiedy wychodziłam po pierwszych zajęciach w Klubie dla Chłopców i Dziewcząt, przekonana, że jestem tu ostatni raz. Spędziłam godzinę, wykręcając tułów, rozciągając ramiona i cały czas nie bardzo wiedząc, co robię. Czułam się jak połamana lalka.

Czy to w ogóle jest taniec? Stałam w szeregu z dziesięcioma innymi dziewczynkami, przez całą godzinę ćwicząc rozluźnianie palców u stóp, trzymanie ramion i zginanie kolan. To zupełnie nie przypominało skoków i tupania, które tak uwielbiałam w drużynie czirliderek.

Nazajutrz przebiegłam obok sali gimnastycznej w drodze na inne zajęcia, podobnie następnego dnia, i jeszcze następnego. Jednak Cindy się nie poddawała. Jakiś tydzień po tym, gdy zdecydowałam, że nie chcę kontynuować ćwiczeń, przyuważyła mnie.

– Misty! – zawołała. – Przyjdź tu na chwilę!

Byłam w potrzasku, więc niechętnie podreptałam za nią do klasy. Było tak strasznie, jak w moich najczarniejszych wyobrażeniach. Podczas tych pierwszych zajęć wszystko mnie przytłaczało. Za dużo informacji napływających zbyt szybko sprawiało, że odstawałam od innych uczniów.

Nienawidziłam być nieprzygotowana i zmieszana. A teraz oczy wszystkich wlepiły się we mnie, a ja nie miałam pojęcia, co robić. Byłam śmiertelnie przerażona.

Ale Cindy łagodnie rozciągała i nagiwała moje ciało w różnych pozycjach,

dając przykład innym dzieciom. Podniosła mi nogę aż do ucha, wykręcała i rozluźniała moje stopy. Jakakolwiek pozycję chciała pokazać, potrafiłam ją utrzymać. Cindy powiedziała, że przez te wszystkie lata, kiedy tańczyła, a potem uczyła, nie spotkała kogoś takiego, jak ja.

Nie jestem pewna, czy jej uwierzyłam. Ale pochwały wzbudziły moją ciekawość i posłusznie dołączyłam do innych ćwiczących przy drążku, postanawiając spróbować jeszcze raz.

Cynthia Bradley miała dar przekonywania.

Od pierwszej chwili czuło się, że jest swobodnym duchem. Ognistorude włosy nosiła ścięte krótko, na gładkiego boba. Ogromne, połyskujące kolczyki były tak ciężkie, że obciągały płatki uszu. Prawie się dziwiłam, że jej szczupła, wysoka sylwetka nie przewróci się pod ich ciężarem.

Później mi powiedziała, że kiedy jako dziewczynka usłyszała *King of the Road* z magnetofonu rodziców, wiedziała, że chce występować na scenie, śpiewać i tańczyć przed publicznością liczniejszą niż rodzina, która podziwiała, jak w salonie wtóruje Rogerowi Millerowi. W dzieciństwie uczyła się baletu, a od kiedy skończyła siedemnaście lat, miała okazję tańczyć zawodowo między innymi z Virginia Ballet Company i Louisville Ballet. Jednak uległa kontuzji i krótko po rozpoczęciu kariery musiała zrezygnować – zanim zdążyła rozkwitnąć.

Przerzuciła się z tańca na muzykę. Zmieniła imię na Cindy Vodo i założyła zespół punkowy Wigs, który jakoś się wyróżnił na punkowej scenie w San Pedro. Wylansowali przebój *Stiff Me*, często puszczano w radio w latach osiemdziesiątych. Jednak to balet wciąż dawał Cindy utrzymanie. Założyła szkołę w Palos Verdes, zamożnej części południowej Kalifornii, niedaleko San Pedro, by w wolnym czasie uczyć baletu. Wyszła za jednego z uczniów, Patricka Bradleya, który – jak później zobaczyłam – był zrównoważony i łagodny, podczas gdy Cindy – zmienna i emocjonalna.

Grupa Wigs wylądowała w końcu w San Pedro, bo stamtąd było blisko do serca muzycznego biznesu Los Angeles i do Laguna Niguel, gdzie członkowie zespołu zarabiali na życie. Podobnie zrobiła Cindy, przenosząc

tu szkołę i otwierając razem z Patrickiem San Pedro Ballet School.

Cindy łączyła elegancję z ekscentrycznością, altruizm ze skupieniem na sobie. Ale ta sama Cindy sprawiła, że ja – dziewczuszka z kolanami, które wykręcały się, nawet kiedy stałam prosto, z dużymi stopami, za wielkimi na moją patykowatą sylwetkę – czułam się jak najpiękniejsza na świecie i uwielbiana przez wszystkich primabalerina. Nigdy nie spotkałam nikogo podobnego do niej.

Na jej pierwsze popołudniowe zajęcia w Klubie dla Chłopców i Dziewcząt szłam prosto ze szkoły i zajmowałam miejsce wśród kilkunastu obiecujących tancerzy. Wszyscy wyginaли się i rozciągali, marszcząc brwi w skupieniu. Ale uważnie patrząca Cindy zdawała się dostrzegać tylko mnie.

Lekcje były łatwe. Uczyliśmy się jedynie podstawowych kroków baletowych.

Pozycja pierwsza: pięty razem, czubki palców skierowane na zewnątrz w przeciwne strony.

Pozycja druga: to samo, ale z nogami rozstawionymi tak, by między pięty można było wsunąć długość stopy.

Pozycja trzecia: pięta jednej stopy, wykręconej na zewnątrz, dotyka środka drugiej.

Pozycja czwarta: jedna stopa wykręcona przed drugą, dzieli je długość stopy.

Pozycja piąta: jedna stopa skrzyżowana równolegle przed drugą, jak znak „równa się”.

Nauczyciele baletu zwykle tworzą kombinacje, łącząc i dopasowując kroki i pozycje, które mają wykonywać uczniowie, ale Cindy trzymała się prostych technik.

Ona prowadziła, a ja niepewnie odchodziłam od drążka, by ją naśladować. Stałam na czubkach palców i wyciągałam ręce, jakbym chwytiała gigantyczny balon. Miałam zaokrąglone ramiona, płynnie nimi poruszałam, trzymając wyimaginowany balon mocno, żeby nie uciekł, ale

też delikatnie, żeby nie pękł. Potem okręcałam się wokół osi, unosząc jedną stopę i opuszczając ją do piątej pozycji, i jeszcze raz, i jeszcze raz – dopóki nie pokonałam połowy sali gimnastycznej. Robiłam pierwsze *pirouettes*.

Pewnego popołudnia podniosłam ręce nad głowę i skoczyłam, z prawą nogą wyprostowaną do przodu, a lewą wyciągniętą w tył. Przypominało to szpagat na podwórku albo podczas występów z czirliderkami, tyle że w powietrzu. Moje pierwsze *grand jeté*.

Po nim przyszło wiele następnych. W tych chwilach, kiedy szybowałam w górę, nabierałam sił, unosiłam się coraz wyżej, czułam się szczęśliwa.

Cindy była zachwycona wszystkim, co robiłam.

– To niesamowite, że już tyle potrafisz – szeptała, kiedy zrobiłam *arabesque* albo dawałam się wyginać w każdą stronę.

Moje ciało poddawało się wszystkim jej sugestiom. Miałam wrażenie, jakbym uprawiała balet całe życie, a moje kończyny instynktownie przypominały sobie to, co zapomniała świadomość. Nie zastanawiałam się nad tym, ale też nie traktowałam tego jako dane raz na zawsze. Jak w przypadku prac domowych, choreografii w zespole czirliderek i wszystkiego, za co się zabierałam, przemożna chęć podobania się, osiągnięcia doskonałości, nie opuszczała mnie również podczas zajęć z baletu.

Towarzyszyła mi także niepewność. Mimo sprawności na ćwiczeniach wciąż czułam się tak, jakby wrzucono mnie do głębokiego basenu, a ja dopiero co nauczyłam się zanurzać głowę. Idąc codziennie na zajęcia, wciąż czułam się obco. Zamiast obowiązkowego trykotu i rajstop nadal miałam stary strój z treningów czirliderek. Kiedy przyglądałam się koleżankom z baletu, stawało się dla mnie jasne, że nie pasuję do standardów baletowych.

Baleriny przeważnie zaczynają tańczyć, kiedy jeszcze piją soczek przez słomkę w przedszkolu. Ja miałam trzynaście lat. Dręczyły mnie wątpliwości: „Jesteś za stara. Odstajesz. Nigdy nie dorównasz”.

Cindy miała inne zdanie. Znalazła to, czego szukała.

Zawsze uważała, że posada w Klubie jest tymczasowa. Jej studio, San Pedro Dance Center, znajdowało się w innej części miasta, znacznie zamożniejszej i mniej zróżnicowanej niż moja. Jednak pragnienie, by dzielić się czarem i dyscypliną tańca z tymi, którzy inaczej nie mogliby ich poznać, zaprowadziło ją na South Cabrillo Avenue. Przyjaźniła się z Mikiem Lansingiem, szefem naszego Klubu dla Chłopców i Dziewcząt, i wspólnie wpadli na pomysł, by przekształcić klub w ośrodek harcerski i doksztalający.

Cindy zaczęła uczyć baletu dzieci z ubogich rodzin, wybierała najbardziej uzdolnione i dawała im szanse rozwijania talentu w swej szkole. Wybrała mnie oraz kilkoro innych dobrze się zapowiadających uczniów.

– Musisz więcej ćwiczyć, i to z dobrymi tancerzami, żebyś mogła się rozwijać – powiedziała mi po 45-minutowej lekcji, podczas której doskonaliłam te same podstawowe pozycje i *plies*. – To jest możliwe w mojej szkole i powinnyśmy zacząć jak najszybciej.

Grzecznie słuchałam, ale w głębi serca wcale tak nie czułam. Niby czemu miałabym jeździć na drugi koniec miasta, żeby uczyć się baletu? I jak tam trafić?

Wiedziałam, że mam talent i lubiłam tańczyć, ale ciągle wolałam czirliderki. Byłam tak podekscytowana, że w końcu idę śladami Eriki, starszej siostry. I mamy też – przecież należała do zespołu Kansas City Chiefs. Drużyna czirliderek – o tym marzyłam.

Kiedy Cindy zorientowała się, że rozmowy ze mną prowadzą donikąd, spróbowała z mamą: wysyłała jej przeze mnie wiadomości, pisała, jak bardzo byłaby zadowolona, gdybym uczyła się w jej szkole. Ale wybrała złego posłańca. Karteczki z wyrazami zachwytu nad moim talentem i możliwościami wsadzałam na koniec zeszytu albo wyrzucałam, kiedy mi się potłuściły, razem z serwetkami, w które miałam zawinięte drugie śniadanie i resztkami jedzenia. Oczywiście nic nie mówiłam Cindy, że jej liściki zazwyczaj nie przeżywały drogi do domu. Zamiast tego wymyślałam

usprawiedliwienia: mama jest zajęta, zastanawia się, nie jest pewna. Cindy nalegała, obiecując mi pełne stypendium, pokrywające koszty ćwiczeń i strojów. W końcu miałabym ten trykot, a ona codziennie zawoziłaby mnie po lekcjach na treningi w swojej szkole.

Teraz już musiałam powiedzieć mamie. To było jak oferta pracy, której tak naprawdę nie chcesz, ale musisz przyznać, choć niechętnie, że dodatkowe wpływy i korzyści są zbyt zachęcające, by propozycję odrzucić. Powiedziałam Cindy, że być może powinna porozmawiać z mamą i ociągając się, dałam jej nasz domowy numer telefonu.

Cindy zadzwoniła od razu tego samego wieczoru. Nie wiedziałam, jak mama zareaguje. Może 25-minutowa jazda do szkoły baletowej ją zniechęci? Miałam taką nadzieję. Ale mama od razu postanowiła, że nauka u Cindy będzie dla mnie korzystna. Nie zważała na moje nerwy ani brak pewności, tylko łapała okazję.

– Kiedy byłaś mała, uwielbiałaś balet – powiedziała z uśmiechem, kiedy odłożyła słuchawkę.

– Naprawdę? – spytałam z niedowierzaniem, bo jakoś nie przypominałam sobie, bym w ogóle wiedziała, czym jest balet, zanim rozpoczęłam zajęcia na sali gimnastycznej Klubu dla Chłopców i Dziewcząt.

– Ależ tak – odpowiedziała mama. – Kiedy miałaś cztery czy pięć lat, kupiłam ci na Halloween taką spódniczkę, jaką noszą baletnice. Nie chciałaś jej zdjąć. Upierałaś się, żeby iść w niej do szkoły, a gdy ci nie pozwoliłam, wkładałaś ją codziennie, kiedy wracałaś do domu. Nawet w niej spałaś. Kiedy już była cała w strzępach, musiałam ją ukradkiem wyrzucić.

Wciąż nie miałam pojęcia, o czym mama mówi.

– Tak czy siak – zakończyła mama – pani Bradley uważa, że masz talent. Spróbujmy i zobaczymy, co z tego wyniknie.

I tak się wszystko zaczęło. Czasami wślizgiwałam się na tylne siedzenie białego suzuki samurai z 1989 roku i Erica, która miała już siedemnaście

lat, i jej chłopak Jeff podrzucali mnie na drugi koniec miasta, do bogatej dzielnicy, w której mieściła się szkoła Cindy. Jednak przeważnie to właśnie ona czekała przed szkołą, aż z tłumu wysunie się chuda sylwetka i wielkie stopy, i zabierała mnie na treningi.

Nie czułam się jeszcze jak baletnica, choć przynajmniej odpowiednio wyglądałam – w czarnym trykocie, różowych rajstopach i różowych baletkach, kupionych za pieniądze ze stypendium. Pięć razy w tygodniu zajmowałam miejsce wśród uczniów reprezentujących znacznie wyższy poziom niż ci, z którymi tańczyłam w Klubie, i starałam się im dorównać.

W odróżnieniu od sali gimnastycznej, gdzie tańczyliśmy na drewnianej podłodze, szkoła Cindy była prawdziwym studiem, choć – podobnie jak jego założycielka – miała swoje dziwactwa.

Studio mieściło się w centrum handlowym, miało przeszkloną ścianę, przez którą było widać małą salkę, usytuowaną na przedzie, gdzie najmłodszy uczniowie uczyli się stepowania. Była też sala z tyłu, gdzie odbywały się próby zespołu baletowego. Patrzyliśmy na szare ściany, sunąc po specjalnej podłodze baletowej na parkiecie, pokrytej winylem. Kilka przebieralni i łazienkę wciśnięto w narożnik. Zwykle podczas prób baletu przy pianinie siedzi akompaniator, ale w San Pedro Center nie było instrumentu, a jedynie przenośny magnetofon i sterta płyt CD oraz taśm.

Przez następne trzy lata poznałam każdy centymetr kwadratowy podłogi sali, spędzając w studiu prawie każdy dzień, kiedy nie miałam przedstawienia czy występów gdzieś daleko. Moje koleżanki i koledzy przeważnie byli biali, ale przychodziło tu też kilkoro ciemnoskórych dzieci.

Catalina, która do dzisiaj jest jedną z moich najbliższych przyjaciółek, to kragła i pełna światła Latynoska. Rozświetlała czarno-różowy kostium, wpinając we włosy jasne kwiaty. Nikt by nie powiedział, że jestem od niej starsza, bo byłam bardzo drobna, ważyłam nie więcej niż trzydzieści pięć kilogramów i mierzyłam ciut powyżej metra dwudziestu. Catalina od razu przejęła rolę starszej siostry.

– Dziewczynko, potrzeba ci czego? – zwróciła się do mnie w moim

pierwszym tygodniu w szkole, kiedy wyciągałam trykot w szatni.

– Nie, dziękuję – odparłam, patrząc na nią z ukosa. „Dziewczynko”?

– Ile masz lat? – zapytałam.

– Dziesięć.

– No cóż – rzuciłam z wyższością. – A ja trzynaście.

Jej migdałowe oczy patrzyły z niedowierzaniem. Ale od tamtej pory niemal się nie rozstawałyśmy.

Był też Jason Haley, Afroamerykanin, z którym bardzo się zaprzyjaźniłam. Wysoki, ciemny, elegancki Jason na wszystkich zajęciach był w centrum uwagi i często zostawał moim partnerem do tańca. On także późno trafił do baletu, korzystał ze stypendium Cindy i należał do Klubu dla Chłopców i Dziewcząt. Zresztą mieliśmy o wiele więcej wspólnego. Balet był dla nas obydwójga wytchnieniem od burzliwego życia.

Jason tułał się od domu do domu: ojciec opuścił rodzinę, a matka klepała biedę. Kiedy się poznaliśmy, mieszkał u ciotki. Miał talent i dużo wdzięku, ale był trochę dziki. Nigdy nie było wiadomo, czy zjawi się na występie i rzadko przychodził punktualnie. W końcu odszedł ze studia.

Jednak wówczas było nas troje brązowych dzieciaków, których obecność oddawała charakter Cindy i jej wizję. Różniła się od innych osób ze świata baletu, przekonanych, że Giselle czy Odettę najlepiej zatańczyć mogą uduchowione gołębice, smukłe i porcelanowo białe. Cindy uważała, że obecność tancerzy różnych kształtów i barw wzbogaca balet. W czasach późniejszej kariery będę o to walczyć, lecz w końcu nabiorę przekonania, że scena, na której tańczę, tylko dzięki mnie jaśniała, choć nie wszyscy – zarówno spośród publiczności, jak i w zespole – zgadzali się ze mną.



Przez pewien czas po prostu uczyłam się ruchów. A potem to się stało.

Nie pamiętam tej chwili – czy było to podczas owego pierwszego tygodnia w studiu Cindy, kiedy poczułam, że zanurzam się w innym

świecie, czy kilka tygodni później, kiedy zajęcia w centrum tańca stały się taką samą codziennością jak wyłączanie budzika, kiedy na dworze panują jeszcze ciemności.

Może spowodował to rygor i rutyna: wraz z koleżankami i kolegami stawałam przy drążku w doskonałej linii; przypominaliśmy wieżyczki minaretów. Może wynikło to z przeglądania się w lustrzanych ścianach śmierzących płynem do mycia, kiedy zdałam sobie sprawę, że odwzajemniająca spojrzenie balerina prezentuje się wdzięcznie, dobrze, że jest MNA. Pamiętam jedynie, że drużyna czirliderek, ucieleśnienie moich szkolnych marzeń, straciła znaczenie, a balet stał się zachwycający. Chciałam – POTRZEBOWAŁAM – tylko tego. Cindy dopingowała mnie od samego początku, przydzielając do klasy dla bardziej zaawansowanych, by sprawdzić, czy poradzę sobie wśród uczniów, którzy trenują od lat. Dałam radę. To był dla niej sygnał, by przesunąć mnie jeszcze wyżej. Techniki, których opanowanie zajmuje młodemu tancerzowi kilka miesięcy czy nawet lat – o dojściu do perfekcji nawet nie wspomnę – chwyciłam w minutę. Przynajmniej Cindy tak mówiła. Po ośmiu tygodniach w studiu pierwszy raz stanęłam *en pointe* (na pointach).

Chodzenie *en pointe*, w baletkach ze wzmocnionymi czubkami, pozwalających balerinie tańczyć na koniuszkach palców, to rytuał przejścia, inicjacja dla młodych balerin. Później dowiedziałam się, że większość początkujących tancerek wręcz błaga nauczycieli przez lata, by pozwolili im choćby przymierzyć pointy. Kiedy już dostaną pierwszą parę, przez kilka lat powtarzają proste ćwiczenia, aby przyzwycząić się do nowych ruchów i upewnić się, że mają stopy wystarczająco silne, by wytrzymały bardziej skomplikowane kroki: *fouettes*, *pirouettes*, *renverses*. Zbyt szybkie działanie jest niebezpieczne. Tancerze, którzy nie są jeszcze gotowi, mogą sobie poważnie uszkodzić stopy, co na lata pogorszy jakość ich występów i technikę, a właściwie zakończy ich karierę, zanim się ona na dobre rozpocznie.

Jednak Cindy wierzyła, że mam wystarczające i siły, i umiejętności, by

stanąć *en pointe* zaledwie po kilku miesiącach od pierwszej lekcji baletu. Była tak pewna, że przygotowała aparat i zrobiła zdjęcie tego najważniejszego kamienia milowego w mej karierze.

To chwila podobna do tej, kiedy matka puszcza rączkę dziecka, aby postawiło pierwsze samodzielne kroczki. Wielu osobom ten moment umyka, lecz nie jej, nie Cindy. Sądzę, że od samego początku wiedziała, planowała, że zostanie gwiazdą, i postanowiła uwiecznić każdy zwrot, krok i przełom na mej drodze do sławy.

– Idealna balerina ma małą główkę, spadziste ramiona, długie nogi, duże stopy i wąską kibić – przeczytała kiedyś na głos opis idealnej tancerki u George’a Balanchine’a. Podniosła wzrok i z uznaniem spojrzała na mnie.
– To ty – dodała z uśmiechem. – Jesteś doskonała.

Cała promieniałam.

– Będiesz tańczyła dla królów i królowych – ciągnęła. – Czeka cię życie, o jakim większość ludzi nie może nawet marzyć.

Zaczynałam jej wierzyć.

Rozdział 3

Balet przydał wdzięku memu życiu i uporządkował je. W Centrum Tańca wszystkie zwroty i obroty zależały ode mnie, znakomicie nad nimi panowałam. Jaskrawo kontrastowało to z resztą mego życia, które wymykało się spod kontroli.

W domu Roberta miałam piękny pokój, który dzieliłam z Ericą i Lindsey. Witrazowe szybki zdobiły jego drzwi, wychodzące na rozległe, zielone podwórze, gdzie mogliśmy tańczyć i bawić się. Panowała tu większa dyscyplina niż przy Haroldzie. Nie można było śmiać się z pełnymi ustami ani trzymać łokci na stole podczas kolacji. Musieliśmy jeść w ciszy, choć niekiedy wysiłki, by zachować spokój, sprawiały, że jeszcze głośniej chichotaliśmy. Spoglądaliśmy na siebie z wykrzywionymi buziami i w końcu wybuchaliśmy śmiechem.

Robert spoglądał groźnym wzrokiem lub krzyczał, przywołując nas do porządku. Nie tolerował też niechęci Eriki do warzyw. Wiele razy było tak, że cała reszta już dawno wymiotła talerze do czysta i oglądaliśmy *Cosby Show* albo *Roseanne*, a Erica tkwiła przy stole, gdzie miała siedzieć, dopóki nie wmusi w siebie ostatniego kawałka marchewki i groszku.

Mimo wszystko sztywne zasady działały kojąco na niespokojne dziecko, jakim byłam. Później doceniłam ten ład, w jakim żyłam przynajmniej przez krótki okres przed niespokojnymi czasami, które nastąpiły, gdy wyprowadziliśmy się od Roberta. Podobnie jak podczas lat spędzonych z Haroldem nigdy niczego nam nie brakowało. Lodówka była pełna

jedzenia, w szafach mieliśmy fajne ubrania i pod dostatkiem zabawek oraz książek. Mama nigdy nie lubiła gotować, więc przygotowaniem posiłków zajmował się Robert. Dbał o to, byśmy czuli się swobodnie w kuchni, uczył nas, jak gotować ryż z suchych ziarenek zamiast podgrzewać gotową mazię kupowaną w pudełkach.

Rozmawiałam z nim częściej niż reszta rodzeństwa. Ponieważ zawsze zależało mi na tym, by wszyscy mnie lubili, więc proponowałam, że z nim pójdę, kiedy brał narzędzia i wosk, i znikał, żeby zająć się swym ukochanym dżipem. Po chwili wracał:

– Bierz skarbonkę, wybierzemy się na przejażdżkę – szeptał.

Jechaliśmy do sklepu i kiedy krążył między półkami, wybierając owoce i wędliny, wydawałam drobniaki na batoniki Snickersa, ciastka i pestki słonecznika.

– „Hej, dziewczynko z Hawajów...” – podśpiewywał, kiedy wracał z pracy, a ja bawiłam się Barbie. Robert też wiązał ze mną wielkie plany. Uważał, że skoro jestem taka mała, byłby ze mnie znakomity dżokej.

– Zapiszemy cię na lekcje jazdy konnej – zakomunikował. – Jesteś nieduża i lekka, jak najlepsi z tych gości od wyścigów. To znakomity sport. Słyszałaś kiedyś o derbach Kentucky?

Często podkreślał, że jestem bardzo podobna do niego i jego krewnych. Z migdałowymi oczami i długimi ciemnymi włosami chyba naprawdę bardziej przypominałam Azjatkę czy Polinezyjkę niż moje rodzeństwo. Zaczęłam rozumieć, że mój wygląd ma ogromne znaczenie dla Roberta i jego rodziny.

Było jasne, że jestem jego ulubienicą, co doprowadziło do kolejnego zgrzytu w nieszkodliwych, lecz nieustannych sprzeczkach, których odgłosy były w naszej rodzinie równie naturalne, jak najnowsze przeboje Mariah Carey albo czołówka programu *Monday Night Football*.

– Przestań! – wydarłam się na Douga juniora, który w zabawie wyrwał mi książkę.

– Bo co mi zrobisz? – zapytał, trzymając książkę za plecami. – Powiesz

Robertowi?

– Tak! – zawyłam w odpowiedzi. Ale rzadko tak postępowałam. Kochałam starszego brata. A Robert był nerwowy.



Byłam przywiązana do mamy Roberta, babci Marie. W czasie wakacji mama podrzucała mnie do jej murowanego domku, a ja pomagałam babci zajmować się młodszymi dziećmi, przebywającymi w ośrodku dziennej opieki, który u siebie prowadziła. To ona nauczyła mnie szyć i czułam się jak artystka, nawlekając błyszczącą igłę, by tworzyć ubranka dla lalek.

Po jakimś czasie zauważyłam, że choć często jeżdżę do rodziców Roberta, moje rodzeństwo rzadko u nich gości. Ojciec Roberta, dziadek Martin, był chmurnym mężczyzną z posępną twarzą i zniknął w swoim pokoju podczas tych nielicznych okazji, kiedy odwiedzaliśmy ich całą rodziną. Nie sądzę, by kiedykolwiek odezwał się do któregoś z nas albo w ogóle raczył nas zauważyć.

To, że byłam ulubienicą Roberta, nie zwalniało mnie od przestrzegania dyscypliny. Jak inni w milczeniu stałam w kącie, jeśli nie posłałam łóżka albo za bardzo hałasowałam. Jednak dziewczynki nie były posyłane do kąta tak często ani na tak długo jak Doug i Chris. Oni musieli wpatrywać się w rysy w ścianie przez godzinę albo dłużej, a zwykle jeszcze utrzymać na głowie ciężką książkę. Bracia cierpieli w kącie, a ja – patrząc na nich.

Kiedy Robert dorastał, zdarzało się, że ojciec go bił. Robert nagle został ojcem pięciorga dzieci i myślę, że starał się wychowywać chłopców tak, jak jego wychowywano. Był dla nich surowy, zwłaszcza dla Chrisa, który był niesforny i hałaśliwy.

Kiedyś Chris gotował ryż na kolację i spalił go na węgiel. Czarna skorupa przywarła do dna garnka. Robert dosłownie przyciągnął Chrisa za ucho do kuchni.

– Posprzątaj to! – wrzasnął, a Chris migiem wziął się do pracy.

Innym razem za jakieś przewinienie, którego nie pamiętam, Robert uderzył Chrisa patelnią. Niekiedy zachęcał do stosowania przemocy, sam jej nie stosując.

W którąś sobotę Chris i Doug, jak często bywało, kłócili się o to, czyja drużyna futbolowa będzie miała lepszy sezon.

– Forty Niners! – krzyczał Chris.

– Chyba oszalałeś! – darł się Doug. – Wiesz, czego Randall Cunningham dokonał dla Eagles w tym roku?

Nagle Robert wtrącił się do sprzeczki.

– Skoro nie możecie dojść do porozumienia, musicie rozwiązać spór pięściami.

Kazał chłopcom iść za sobą na podwórko, przyniósł z garażu szmaty, którymi polerował dżipa, i obwiązał im ręce.

– Dalej! – krzyknął. – Walczcie!

To był straszny rytuał, który co rusz się powtarzał: decydująca rozgrywka, która miała pokazać, jaką ma nad nami władzę. Mama stała z boku, pochlipując. Jednak nigdy nie zabraniała. Walka zwykle kończyła się, gdy jeden z braci oświadczał, że się poddaje, a obaj płakali.

Dorastaliśmy w strachu przed Robertem. Kiedy za rogiem słyszeliśmy warkot jego dżipa wtaczającego się na długi podjazd, przepychaliśmy się, na wyścigi sprzątając zabawki, równo składając gazety, przerażeni, że jeśli w domu nie będzie takiego porządku, jakiego życzył sobie Robert, drogo za to zapłacimy. Erica zaczęła nocować u przyjaciół tak często, jak mogła. A Doug i Chris spędzali większość czasu w swoim pokoju.

Często do nich dołączałam, wczłgując się na górne posłanie piętrowego łóżka, zajmowane przez Douga. Słuchaliśmy nowych nagrań New Edition albo ostatnich przebojów MC Hammer i LL Cool J.

Mr Telephone Man, there's something wrong with my line... Rytmicznie kiwaliśmy głowami w takt muzyki. Razem czuliśmy się bezpieczni, byliśmy tylko my i nasze piosenki.

Jednak nie zawsze udawało się nam unikać Roberta, a byle co budziło

w nim wściekłość. W najgorszej sytuacji była Lindsey: wprawdzie na chłopcach wyzywał się za każdy drobiazg, ale ona nawet nie musiała nic robić, by narazić się na jego naganę.

Lindsey, nasza najmłodsza siostrzyczka, była żywym odbiciem swego ojca, Harolda: miała karmelową karnację i szopę ciemnych loków. Wyglądała na Afroamerykankę bardziej niż którekolwiek z naszego klanu mieszanej krwi. Stłuczona szklanka, zabawka na środku pokoju czy za głośne krzyki w niedzielny poranek – zawsze, ale to ZAWSZE, winna była Lindsey.

Kiedy Robert był zły, często nazywał Lindsey czarnuchem. Wprawiało mnie to w osłupienie. To słowo słyszałam jedynie w czarno-białych filmach dokumentalnych o złych czasach na Południu. Wiedziałam, że to straszne określenie w stosunku do mojej małej siostrzyczki.

W ciągu kilku lat często słyszeliśmy i tę obelgę, i inne. Arab w sklepie był „wytartym czarnuchem”. Robert wspominał też o śmierdzących Indianach. Powtarzał słowa o czarnuchach, kiedy czarnoskóry kierowca zajechał mu drogę na autostradzie, i mówił o „brudasach”, gdy widział bawiące się latynoskie dzieci.

Między nim a mamą działo się coraz gorzej. Opowiadała nam o jego rodzinie rzeczy, o których dzieci naprawdę nie musiały wiedzieć. Na przykład to, że nie wierzyli, iż nasz najmłodszy braciszek Cameron jest dzieckiem Roberta, choć kiedy znikła gładkość niemowlaczka i jego rysy stały się bardziej wyraziste, było jasne, że są do siebie podobni jak dwie krople wody.

Kiedy teraz spoglądam w przeszłość, jasno widzę, że rodzina Roberta nie ufała mamie. Niektórych przepełniała nienawiść, ale ich nie winię. Robert żył sobie wygodnie, sam, a tu nagle wprowadza się do niego jakaś baba z piątką bachorów. I to starsza od niego i wciąż nierozwiedziona. Mieszkają razem przez półtora roku oraz robią kolejnego dzieciaka, jeszcze zanim oficjalnie zostaną mężem i żoną. Wszystko to źle wyglądało i z perspektywy czasu mogę zrozumieć ich czujność. Jednak świadomość,

że niektórzy z nich nienawidzą mamy i nawet nie chcą, byśmy ich odwiedzili, głównie dlatego, że jesteśmy czarni, była szokująca. Pierwszy raz odczułam niechęć innych ludzi z powodu wyglądu mojej rodziny i tego, kim jesteśmy.

W głębi duszy wierzę, że Robert musiał mieć dobre serce, skoro poślubił kobietę z piątką potomstwa i – przynajmniej początkowo – usiłował traktować nas jak własne dzieci. Był ojcem mego ukochanego Camerona i myślę, że chciał, by małżeństwo przetrwało, żebyśmy stworzyli rodzinę. Jednak w jego rodzinie było tyle złych uczuć i zacierzewienia, że chyba ugiął się pod presją i zaczęły z niego wyłazić doświadczenia szpetnego dzieciństwa.

W czasie kariery baletowej często spotykałam się z bigoterią i za każdym razem bardzo mnie to bolało, jednak po latach mieszkania z Robertem już nie zaskakiwało.

Gdy miałam szesnaście lat, przeniosłam się do Nowego Jorku, a inne baletnice przyglądały mi się, nie mając pewności, czy jestem czarna, ale wiedząc, że nie jestem biała. Na wszelki wypadek ignorowały mnie.

Kiedy zgłosiłam się na przesłuchania do sześciu zespołów baletowych szykujących program na sezon letni, dostałam zaproszenia od wszystkich z wyjątkiem jednego, a Cindy wyjaśniła, że odrzucili mnie z powodu koloru skóry.

– Zachowaj to – powiedziała, odnosząc się do suchej odmowy przesłanej mailem. – Pewnego dnia będą tego gorzko żałować.

Nie wiem, czy żałują, ale list nadal mam.



Mama zaczęła coraz bardziej narzekać na Roberta.

– Z taką złością mówi o innych – zaczynała. – A Azjatów też nie wszyscy lubią.

Albo:

– Niech lepiej uważa na to, co mówi. Jeszcze ktoś usłyszy, jak obraża ludzi, i skończy na ziemi, w kajdankach.

Jednak wszystko to mamrotała za jego plecami. Kiedy był w domu i kazał chłopcom walczyć lub, zanosząc się śmiechem, opowiadał rasistowskie żarty, nie reagowała. Nerwowo spuszczała wzrok, jakby szukała schronienia na własnych kolanach. Nie upominała go. Nie broniła nas. Dzieci były pozostawione samym sobie.

Niekiedy Robert poganiał mamę, żeby posprzątała w łazience albo ubrała Camerona. Wtedy chwycił ją za ramię i wrzeszczał na nią. Zaczęłam zauważać siniaki pod koszulką, na którą wkładała bluzkę. Po jakichś czterech latach mieszkania z Robertem mama wyznała nam, że zaczyna się bać o swoje życie. Tak więc, kiedy byłam piąty miesiąc w szkole w Dana, znów nadszedł czas, by się pakować i wyjeżdżać.

Kilka tygodni wcześniej mama zebrała nas wszystkich.

– Musimy się stąd wynosić – powiedziała szeptem, chociaż Roberta nie było w domu. – Robert nie może się zorientować, że go opuszczamy. Kiedy nadejdzie pora, dam wam znać. Bądźcie gotowi.

Mama potrafiła robić teatr. Gdyby sytuacja nie była tak napięta, mogłoby to nawet wyglądać komicznie lub zabawnie. Prawie mogłam udawać, że gramy w filmie szpiegowskim albo jesteśmy spiskowcami planującymi ucieczkę z kolonii karnej.

Erica, Doug i Chris nigdy nie lubili Roberta. Przywiązali się do Harolda, którego uważaliśmy za naszego prawdziwego ojca (i z którym nadal widywaliśmy się w weekendy). Lata, kiedy byliśmy narażeni na wrzaski i przekleństwa Roberta, a czasem przemoc, zmieniły niechęć mego rodzeństwa do niego w nienawiść. Teraz, kiedy krzyczał, uśmiechali się ironicznie, wiedząc że już niedługo nie będą musieli tego znosić. Podczas tyrad Roberta mama też rzucała nam porozumiewawcze spojrzenia, prawie puszczając oko. Potem spuszczała wzrok na kolana i robiła wszystko, co jej kazał. Pewnego ranka Robert jak zawsze wziął dzipa i pojechał do biura. Zwykle jakieś pół godziny po nim mama wychodziła do

pracy w firmie produkującej sprzęt biurowy. Ale nie dzisiaj.

Lindsey, Erica i ja zapinałyśmy bluzeczki i czesałyśmy się, kiedy mama wpadła do naszego pokoju i powiedziała, że nie idziemy do szkoły.

– Nadeszła pora – powiedziała, z trudem łapiąc oddech.

Rzuciliśmy się biegiem, łapiąc walizki i upychając w nich, co tylko wpadło nam w ręce. Z małym Cameronem było nas teraz siedmioro, ale pod każdym innym względem opuszczaliśmy dom Roberta tak samo, jak przybyliśmy: w pośpiechu i zabierając niewiele więcej oprócz ubrań, które mieliśmy na sobie.

Jakąś godzinę później pod dom podjechał samochód.

Ktoś zapukał.

– Czas na nas – powiedziała mama, otwierając drzwi.

W progu stał wysoki, chudy, biały facet w okularach z metalowymi oprawkami i ze zmierzwionymi brązowymi włosami. Nigdy go nie widziałam. Zaczął znosić nasze bagaże do toyoty, którą – jak się potem dowiedziałam – pożyczył od znajomego. Zaparkował za szarym chevroletem mamy.

– To Ray – rzuciła mama, wkładając torby do bagażnika. Chociaż ów tajemniczy Ray odgrywał jakąś rolę w naszej ucieczce, żadne z nas nie chciało jechać z nim w samochodzie. Stłoczyliśmy się w aucie mamy.

Mama siadła za kierownicą, a moi bracia, siostry i ja ostatni raz zjechaliśmy drogą wśród wzniesień, która zdawała się prowadzić wprost do Pacyfiku.



Kocham mamę, ale nigdy jej naprawdę nie rozumiałam. Była piękna. Miała gęstwą kasztanowych włosów spływających na plecy, jak Mariah. W grzywce połyskiwały rubinowe i złote pasemka, rozświetlając pierścionkami loków jej ciemnobrązowe oczy i piaskową skórę.

Mogłaby być siostrą Mariah Carey. To było oczywiste. Może dlatego cała

nasza rodzina tak bardzo kochała złotowłosą piosenkarkę. Erica nazwie jej imieniem swą jedyną córkę. Debiutancki album Mariah Carey puszczaliśmy równie często, jak oglądaliśmy sport. *Visions of Love* stało się nawet kołysanką dla mojego najmłodszego brata. Cameron płakał, dopóki nie usłyszał pięciooktawowego głosu Mariah. Gdy włączaliśmy CD z jej piosenkami, zwijał się w kłębek w łóżeczku i zasypiał.

Mama zawsze była najpiękniejszą kobietą w pomieszczeniu, dokądkolwiek poszła, a ja z zachwytem czekałam, aż wszyscy się zorientują, że ten cud to MOJA mama. Była nieskazitelna, nawet do skrzynki na listy nie wychodziła bez koralowej szminki czy tuszu.

Mama przez całe życie pracowała, zwykle w handlu, chociaż w Kansas City skończyła szkołę pielęgniarstwa. Wczesnym wieczorem, po pracy, odbierała nas z Klubu dla Chłopców i Dziewcząt. Chyba wszyscy tam nasłuchiwali stukotu jej wysokich obcasów na drewnianej podłodze. Czekali, żeby ją przywitać: od nastolatka podrzucającego piłeczkę, który przerywał na chwilę, by posłać jej głupkowaty grymas, po opiekunów, którzy zawieszali rozmowy, przyglądali włosy i niezmiennie wysuwali głowy na korytarz, by choćby powiedzieć „dzień dobry”.

Moi bracia nienawidzili tego zainteresowania, zwłaszcza Doug junior.

– Czekać w samochodzie, sami wyjdziemy – warczał ze złością niemal każdego dnia. Nie słuchała. Myślę, że sprawiało jej przyjemność, że ludzie robili do niej słodkie oczy. To było jak balsam po dniu ciężkiej pracy, przynosiło wytchnienie od często tragicznego, trudnego życia.

Zaraz po szkole średniej poślubiła pierwszego męża, Mike’a, z sięgającą nieba fryzurą afro i czekoladową skórą, ślepo kochającego wszystko, co wiązało się z koszykówką. Ich wspaniałe plany zakończyła kula. Pojechał z mamą do Oakland w stanie Kalifornia, by pomóc młodszemu bratu, który – jak podejrzewali – zaplątał się w narkotyki. I Mike został zastrzelony.

Mama płakała i przeżywała żałobę w ramionach jego najlepszego przyjaciela, Douga, a rok później wzięli ślub. Doug Copeland był moim ojcem.

Wiem, że trzeba wytrzymałości, by przetrwać takie dzieciństwo. Zawsze wyobrażałam sobie, że niemal bezustanny smutek mamy i ciągle rozstania sprawiły, iż była tak oddana nam, dzieciom. Z nami tworzyła rodzinę, która nie zniknie, którą zawsze może zabrać ze sobą. Jednak gdy nasze życie zaczęło powtarzać schemat wykorzenienia, który prześladował ją przez jej własne tułacze dzieciństwo, zaczęłam się zastanawiać. Czemu – wiedząc, przez co sama przeszła – nie starała się bardziej zapewnić nam stabilności, której musiało jej brakować? Chciałam przejąć od niej jako emocjonalne dziedzictwo upór, a nie zależność od mężczyzn i gorączkowe ucieczki w noc.

Kiedy odeszliśmy od Roberta, zatrzymaliśmy się w centrum Los Angeles u przyjaciół mamy. Ciocia Monique i wuj Charles, jak ich nazywaliśmy, byli wspaniali, otworzyli mamie i jej dzieciom drzwi do swego małego domku. Jednak mimo ich gościnności moje zwykle codzienne obawy ustąpiły miejsca rzeczywistemu, wyczuwalnemu niebezpieczeństwu, które przypominało zagrożenie z najgorszych dni u Roberta. Nigdy nie byłam w podobnym miejscu. Ciocia Monique i wujek Charles mieszkali w okolicy opanowanej przez gang Crips, jeden z najgroźniejszych w Los Angeles. Mężczyźni nosili niebieskawe ubrania, by zaznaczyć przynależność do tej czy innej grupy, i malowali graffiti na płotach i znakach drogowych. Naklejka Kansas City Chiefs, którą mama umieściła na oknie samochodu, chyba drażniła członków gangu. Nic dziwnego, bo L.A. Raiders liczyli się w mieście, ale oprócz napięć, jakie wśród gangsterów wywoływała rywalizacja drużyn piłkarskich, Chiefs mieli jasnoczerwone barwy Bloods. Wiem na pewno, że rzucali nam ponure spojrzenia, kiedy ich mijaliśmy, i zawsze baliśmy się, że przestrzelą szybę samochodu, gdy mama odwoziła nas ze szkoły do domu.

I mieliśmy powody. Siedzieliśmy kiedyś w salonie, oglądając telewizję. Rozległy się strzały, potem tupot nóg i głuchy łomot w drzwi ganku.

Wybiegliśmy przed dom. Jakiś mężczyzna, mniej więcej dwudziestokilkuletni, zwijał się z bólu. Krew tryskała na dzinsy jak

atrament z pióra.

– Trafili mnie – jęknął.

Ciocia Monique wbiegła do domu, zadzwoniła na numer alarmowy, a wuj Charles wydawał rozkazy.

– Przynieście wodę – krzyczał.

Popędziłam do środka, podstawiłam słoik pod kran w kuchni i wróciłam na ganek. Woda lała się na dywan, mieszała z moimi łzami.

– Coś ty przyniosła? – z niedowierzaniem spytał wuj Charles, podtrzymując głowę rannego i patrząc na mnie, jakbym była szalona, bo nie rozumiem, czego potrzebuje ofiara strzelaniny, czekająca na karetkę. – Jemu chce się pić! Potrzebuje wody do picia!

Biegiem wróciłam do domu i chwyciłam szklanekę. Byłam wstrząśnięta i bezradna.

Nie pamiętam, co się stało z tym mężczyzną, przeżył czy umarł. Zostaliśmy z ciocią Monique i wujkiem Charlesem jeszcze kilka tygodni, a kiedy mama powiedziała, że ruszamy dalej, po raz pierwszy byłam zadowolona z wyprawki. Ulga nie trwała długo. Okazało się, że przenosimy się do Raya, nowego chłopaka mamy, którego nie znosiliśmy. Był frajerem, który za bardzo starał się uchodzić za kompletnego luzaka i od rana do nocy zachowywał się jak Ice Cube i EPMD.

– Ej, wy tam! Doug! Erica! Pete Rock i CL Smooth właśnie puścili nowy krążek – mówił na przykład. – Chodźcie posłuchać.

Erica przewracała oczami i wracała do czasopisma, które właśnie czytała. Doug przybierał taki wyraz twarzy, jakby za moment miał eksplodować, i wychodził z domu pograć w piłkę.

Mama też zaczęła się zmieniać – i to w sposób, który nas wkurzał. Zamiast srogiej, choć pełnej energii rodzicielki mieliśmy jakąś jej nastoletnią wersję. Oboje z Rayem zrobili sobie tatuaże: każde kazało sobie wydzierać czarnym tuszem imię drugiego na łopatce. Mama namiętnie całowała się z Rayem na naszych oczach. Nigdy nie robiła tego ani z Haroldem, ani z Robertem. Chciało się nam rzygać.

Moje starsze rodzeństwo zaczęło z goryczą patrzeć na mamę już kiedy mieszkaliśmy z Robertem, a teraz i ja czułam to samo. Chcieliśmy mieć mamę odpowiedzialną, która albo będzie mężatką, albo będzie sama, i która dobro dzieci będzie stawiać wyżej niż interes jakiegoś przypadkowego mężczyzny. W naszej uwielbiającej sport rodzinie nie mogliśmy pojąć, ile małżeństw musi wypuścić na spalony, ile związków musi przegrać, zanim wypadnie z gry. Nie rozumieliśmy, po co jej w ogóle mężczyzna, czemu my jej nie wystarczamy.

Ray pracował z mamą w firmie produkującej sprzęt biurowy, ale chyba dużo nie zarabiał. Mama zajmowała się sprzedażą, ale jej dochody były raz wyższe, raz niższe. To Ray miał zarabiać na chleb, więc z pieniędzmi było krucho. Żywiliśmy się głównie zupkami chińskimi, czipsami i napojami gazowanymi, czasem mieliśmy warzywa z puszki. Mama nigdy nie gotowała nadzwyczajnie, rzadko zbliżała się do kuchenki. Co więcej, wydawało się, że ochoczo zrzuca z siebie odpowiedzialność, dając Dougowi czy Ericie kilka dolarów wyskubanych w pensji swojej lub Raya i wysyłając ich po zakupy. Z kolei Chris – który był najpilniejszym uczniem Roberta podczas wprawek kulinarnych, ale jeszcze nie skończył nawet piętnastu lat – miał przygotowywać posiłki dla całej rodziny, szykować tacos czy spaghetti, rozciągać mały kawałek mięsa w nieskończoność.

Z Rayem byliśmy prawie rok, a potem ruszyliśmy jeszcze dalej od naszego niegdysiejszego domu w San Pedro – do Montebello, gdzie zamieszkaliśmy w zagraconym mieszkanku nowego chłopaka mamy, Alexa. Był Latynosem i chyba czuł się we własnej skórze ciut lepiej niż Ray, ale nie był bardziej zrównoważony. Nigdy nie wiedzieliśmy, czy ma pracę. Tak jak u Raya mama i Alex zajmowali sypialnię, a my musieliśmy rozkładać sobie materace na wolnym kawałku podłogi w salonie.

Okolica, w której wtedy mieszkaliśmy – czy to z Rayem, czy z Alexem – nie była tak nieprzyjemna jak dzielnica cioci Monique i wuja Charlesa, ale mieszkania ich obu były pomyślane jako tymczasowe lokum dla młodych mężczyzn, którzy balują całą noc i wstają w południe, a nie dla rodziny

z szóstką dzieci. W zatłoczonej przestrzeni skrzypienie krzesła czy dzwonek telefonu brzmiały głośniejszy, jakby ciasnota i bałagan wzmacniały dźwięk.

Staliśmy się niechlujni. Mama zawsze dbała o czystość, ale zrobiło się za dużo osób i za mało miejsca, by zawracać sobie głowę dokładnym sprzątnięciem. Nie nosiła już wysokich obcasów i eleganckich strojów. Nie miała po co. Gdzieś między Rayem a Alexem straciła pracę i starała się znaleźć nową. Z szarym chevroletem też musieliśmy się pożegnać.

My, dzieci, nadal trzymaliśmy się razem, byliśmy nawet bliźsi sobie niż przedtem. Nigdy sama nie jechałam autobusem ani sama nie wracałam do domu. Ale przepaść między nami a mamą stale się powiększała. Kilka miesięcy po tym, jak się do niego wprowadziliśmy, Alex stracił mieszkanie. Znowu musieliśmy się ruszyć, tym razem do motelu. Alex z nami.

Motel nazywał się Sunset Inn, był jednopiętrowy, otynkowany i leżał przy ruchliwej autostradzie. Byliśmy teraz w Gardena, mieście przylegającym do San Pedro, bliżej naszej starej okolicy, ale ani to miejsce, ani ta dzielnica nie sprawiały, że czuliśmy się jak w domu.

Nasz pokój znajdował się w głębi, na piętrze. Dzieci spały na kanapie i na podłodze w dużym pokoju przy wejściu, ale często po szkole znikaliśmy w sypialni mamy i odpływałam w sen lub taniec. Frontowy ganek, z którego było widać Pacyfik, należał do przeszłości. Jego miejsce zajął długi zewnętrzny korytarz, który dzieliliśmy z innymi mieszkańcami motelu. Staraliśmy się wykorzystywać go do maksimum. Wyobrażałam sobie, że korytarz to weranda, a ja przesiaduję na niej, sycąc się słońcem. Poręcz stawała się drążkiem, który chwytałam dla utrzymania równowagi, kiedy wyciągałam się do nieba. Niekiedy kładłam małe rączki Camerona na zimnym metalu i wyginałam go w różne pozycje baletowe, tak jak Cindy robiła ze mną. W owych czasach Cameron pojawiał się w naszym życiu i znikał. Robert, jego ojciec, nie chciał, by mieszkał w motelu, więc pozwał mamę do sądu i uzyskał opiekę nad dzieckiem. Cameron spędzał z nami tylko weekendy. Byłam tym zdruzgotana. Brak Camerona ranił

moje serce. Już nie ukrywałam bólu i emocji. Do dzisiaj dobrze pamiętam łzy, które wszyscy wylewaliśmy, kiedy musieliśmy się z nim żegnać. Nie mogę tego bólu porównać do żadnego z wcześniejszych przeżyć: nie okazywałam takiej rozpaczki po żadnym rozstaniu, czy to z Dougiem seniorem, Haroldem czy Robertem, ale Cameron był moim dzieckiem. Myślę, że każde z nas, starszych, czuło, że po trochu go wychowywało. Kiedy Cameron nie przyjeżdżał do motelu podczas weekendów, widywałam się z nim u Roberta, ale to nie było to samo, tym bardziej że i reszta rodzeństwa zaczęła znikać z mojego życia. Lindsey od zawsze spędzała całe tygodnie u Harolda, swego ojca. Erica, która za czasów Roberta znów starała się jak najwięcej przebywać u znajomych, teraz już prawie nie nocowała w domu. Nasza rodzina, trzeszcząca w szwach nawet w najlepszych czasach, całkiem się już rozłaziła.

Zdarzało się, że wcale nie mieliśmy pieniędzy. Grzebaliśmy między poduszkami kanapy i pod dywanem w nadziei, że znajdziemy jakieś drobniaki. Potem szliśmy do sklepu na rogu, żeby zobaczyć, czy starczy na coś do jedzenia. W końcu mama poprosiła opiekę o bony żywnościowe.

W szkole nadal usiłowałam być idealna, zjawiałam się długo przed dzwonkiem, starannie wypełniałam obowiązki dyżurnej i kapitana czirliderek. Stałam się jeszcze bardziej zamknięta, bo chciałam całą resztę utrzymać w tajemnicy: nie powiedziałam przyjaciółkom, że znów się przeprowadziliśmy, że nie mam swojego pokoju, a nawet własnego łóżka. Zawsze przebywałam u koleżanek częściej niż one u mnie, więc nie było trudno udawać, że w moim życiu wszystko dobrze się układa.

Trudniej mi było oszukiwać samą siebie. Byłam wdzięczna losowi, że mogę ukryć się przed chaosem życia choć na chwilę, w studiu tańca, w balecie, gdzie obowiązywały zasady, a relacje były pełne szacunku i piękna. Mimo zawirowań nadal codziennie chodziłam na zajęcia. Jazda samochodem Cindy zajmowała pół godziny, a powrót autobusem do motelu – godzinę. W taki sposób upływał mi tydzień za tygodniem. Coraz więcej potrafiłam i wkrótce miałam pierwszy pokaz. Odbył się w Centrum Sztuki

w Palos Verdes i był zapowiadany jako „wzbogacające kulturalnie popołudnie ze sztuką i muzyką”, a widownię stanowiło jakieś dwieście osób, głównie starszych i białych.

W programie były występy trochę starszej ode mnie nastolatki, która śpiewała zapomniane piosenki, grupy uczniów szkoły średniej, którzy odtańczyli jakiś nowoczesny kawałek, i mój pokaz, jedynej baletnicy w tym gronie. Cindy przygotowała prosty układ, łączący pozycje, obroty i skoki, które do tej pory opanowałam. Byłam ubrana w czarny trykot, miałam różową szyfonową spódniczkę i jaskrawo czerwoną różę we włosach.

Mama nie przyszła. Rodzeństwo też nie. Była tylko Cindy.

Pierwszy raz tańczyłam balet, sama, przed tłumem ludzi, a już byłam zakochana. Przynosił mi radość, podniecenie – codziennie nie mogłam się doczekać dzwonka po szóstej lekcji, pędziłam do auta Cindy i ruszałyśmy do studia.

Jednak mama zaczynała zmieniać zdanie na temat mych marzeń o balecie.

Gdy Jeff nie mógł jej podwieźć, Erica jechała po mnie autobusem, abym nie wracała sama, co zabierało godzinę w każdą stronę. Wracałyśmy po zmroku, często bardzo zmęczone.

Pewnego wieczoru, kiedy dotarliśmy do domu po długiej podróży ze studia, mama usiadła przy mnie i powiedziała, że nie damy rady ciągnąć lekcji baletu.

– Za dużo tego. – Potrząsnęła głową ze smutkiem w oczach. – Musisz wcześniej wracać, spędzać więcej czasu z rodzeństwem. Ani ty, ani Erica nie macie czasu na spotkania z przyjaciółmi. Widzę, że lubisz te zajęcia, ale dzieckiem jest się tylko raz.

Wiedziałam, że mama chce dobrze, że martwi się o nas, ale nie sędzę, by naprawdę rozumiała, że dla mnie balet stał się czymś więcej niż hobby – pomagał mi przetrwać, dzięki niemu wręcz promieniałam. Potrzebowałam go jak powietrza.

Następnego dnia Cindy czekała na mnie przed szkołą, przeglądając

kalendarz i sprawdzając od czasu do czasu, czy nadchodzę. Otworzyłam drzwiczki i usiadłam obok niej.

– Mam przestać tańczyć – wyrzuciłam z siebie, zanim się rozszlochałam.

– Mama mówi, że studio jest za daleko. Że balet zajmuje mi za dużo godzin, nie mam czasu dla znajomych i rodziny.

Może łatwiej byłoby jej zrozumieć, gdyby mama – jak wielu zaniepokojonych rodziców baletnic – martwiła się brakiem postępów w nauce lub moim zmęczeniem. Podane przez nią powody brzmiały jednak marnie, nawet w moich uszach.

Cindy sprawiała wrażenie, jakby zabrakło jej powietrza. Miała szeroko otwarte, błyszczące oczy. Siedziałyśmy w ciszy przez kilka chwil.

– No cóż – powiedziała w końcu. – Mogę przynajmniej odwieźć cię do domu.

Byłam zbyt zmęczona, by protestować, zbyt złamana żalem, by strzec mej tajemnicy. Podałam jej adres.

Jechałyśmy w milczeniu. Zastanawiałam się, co wypełni miejsce baletu i nic nie mogłam wymyślić. W końcu Cindy zatrzymała wóz. Wpatrywała się w podupadły motel, w którym mieszkała moja rodzina, i była równie zaskoczona jak wtedy, kiedy usłyszała ode mnie, że już nie mogę dłużej u niej tańczyć.

– Dziękuję za podwiezienie – wyszeptałam i wyskoczyłam z auta. Na piętrze wygrzebałam klucze i weszłam do salonu pełnego koców złożonych w miejscach, gdzie później służyły nam za posłania.

Jestem pewna, że mama nie uważała, że nas zaniedbuje. Przecież nie zawsze tak żyliśmy, nie zawsze spaliśmy na podłodze. Nie zawsze motel – z okienkiem w holu, w które wtykaliśmy pieniądze za czynsz – był naszym domem. Nie zawsze mieszkaliśmy przy autostradzie w otoczeniu sklepów z alkoholem i tanich knajp.

Ale teraz żyliśmy właśnie tak. To właśnie zobaczyła Cindy. Ktoś zapukał. Mama była w sypialni z Alexem, ale wyszła i otworzyła.

W progu stała zdenerwowana Cindy. W małej przestrzeni narastało

napięcie, stawało się niemal namacalne. Chciałam zniknąć. Cindy spojrzała mi prosto w oczy – siedziałam oniemiała na podłodze. Chyba od razu zrozumiała: albo zabierze mnie ze sobą do świata, który był dla mnie stworzony, albo nigdy więcej nie zatańczę.

Obie kobiety padły sobie w objęcia i rozmawiały po cichu, popłakując. Mama jasno powiedziała, że poza mną ma jeszcze pięcioro dzieci. Nie byłam i nie mogłam być w centrum jej uwagi. Zdawałam sobie z tego sprawę, ale chciałam być dla kogoś najważniejsza.

– Nie mogę jej zostawić – oświadczyła Cindy, a po policzkach płynęły jej łzy. – Chciałabym, żeby Misty zamieszkała u mnie.

Mama westchnęła i potoczyła wzrokiem po zagraconym pokoju.
I zgodziła się.

Rozdział 4

Zrobiło się późno, gdy dotarliśmy do domu Cindy. Kiedy mama powiedziała, że mogę jechać, byłam oszołomiona, ale jakoś spakowałam się do plecaka. Dżinsy, piżama, kilka bluzeczek. Nie miałam wówczas zbyt wielu rzeczy. Mama mocno mnie przytuliła i powoli wyszłam z jednego życia, a weszłam w drugie.

Cindy mieszkała po drugiej stronie miasta, w pobliżu latarni morskiej Angel's Gate w osiedlu na wzgórzu. Jej mąż Patrick był pełnoetatowym nauczycielem. W wolnym czasie surfował na desce. Kiedy nie walczył z falami ani nie uczył tańca w studiu w San Pedro, szykował desery. Ich dom był oddalony o dwie przecznice od Cabrillo Beach i pachniał cynamonem i morzem. Był pełen obrazów, rzeźb i pięknych drobiazgów. Pomyślałam, że w moim domu żaden z tych delikatnych przedmiotów nie zdołałby przetrwać długo.

Kiedy weszliśmy do środka, Cindy uprzedziła:

– Jest ze mną Misty. Zamieszka u nas. Możesz dodać trzecie nakrycie do kolacji?

– Jasne – odparł Patrick, nawet nie zmieniając głosu.

Dzisiaj wiem, że Cindy nie spytała go o pozwolenie ani nie zapowiedziała, że wprowadzę się do nich. Przyjęli mnie z otwartymi ramionami, najserdeczniej, jak można. Na kolację zjedliśmy chińszczyznę, siedzieliśmy przy stole, było tak, jakbym zawsze tam mieszkała.

Po kolacji Cindy zaprowadziła mnie do dużej sypialni, którą miałam

dzielić z ich trzyletnim synem Wolfem, którego często widywałam w studiu, kiedy uczył się stepowania. Spał na dolnym pościeliu piętrowego łóżka. Przebrałam się, wdrapałam na górę, a Cindy przyszła mnie utulić.

– Dobranoc, kochanie – szepnęła i pocałowała mnie w policzek. – Tak się cieszę, że tu jesteś.

Wszystko stało się tak nagle: zgoda mamy, wyprowadzka z motelu. Wiedziałam, że to, iż zamieszkałam u nauczycielki tańca, nie było takie niezwykle. Utalentowani młodzi tancerze i sportowcy często opuszczali dom i trafiali pod opiekę trenerów i nauczycieli, by mogli skupić się na ćwiczeniach. Nawet Cindy jako nastolatka wyprowadziła się z domu, by kontynuować karierę tancerki.

Leżałam w ciemnościach, głęboko poruszona. Teraz będę musiała dobrze wypadać nie tylko w szkole, ale i w tym nowym domu. Kolejny sprawdzian, który muszę zdać, kolejny labirynt, w którym muszę znaleźć drogę. Ale pamiętałam też, jak byłam wstrząśnięta, kiedy usłyszałam, że nie będę mogła dłużej chodzić na zajęcia baletowe, jaka rozpacz przepełniła mą duszę.

– A więc to jest rozwiązanie – powiedziałam sobie. – Dzięki temu będę mogła dalej tańczyć.

Musiałam to przyjąć do wiadomości. W końcu usnęłam.

Kiedy obudziłam się następnego ranka, Wolfie zaglądał przez krawędź mego łóżka, stojąc na swoim. Miał szeroko otwarte oczy. Często będzie tak na mnie patrzył podczas następnych dwóch lat, kiedy będę mieszkać w jego pokoju. Zawsze wyglądał na zdziwionego obecnością starszej od siebie brązowej dziewczynki, która tak niespodziewanie pojawiła się w jego życiu. Czasem budziłam się w środku nocy, czując jego paluszki delikatnie dotykające mojej twarzy. Wolfie po prostu mnie uwielbiał – a ja uwielbiałam jego. Stał się moim nowym małym braciszkiem.

Wszystko było takie naturalne. Dotychczasowe zmiany w moim życiu zawsze były traumatyczne. Wyprowadzka od Harolda do Roberta, ucieczka od Roberta do Raya, w końcu motel i Alex. Tym razem było inaczej. Cindy

i Patrick byli gościnni i pełni ciepła, a Wolfie przypominał mi moje młodsze rodzeństwo, Camerona i Lindsey, których tak bardzo kochałam. Nareszcie nie musiałam walczyć, by mnie zaakceptowano. Bradleyowie przyjęli mnie taką, jaką byłam.



Już dłużej nie jeździłam autobusem do szkoły Dana ani do domu. Rano Cindy podrzucała mnie do szkoły, a po ostatnim dzwonku zabierała do studia. Nadal byłam kapitanem czirliderek i trenowałam każdego popołudnia na WF-ie w szóstej klasie, ale straciłam zainteresowanie. Układy taneczne wydawały mi się nudne i zbyt proste, w niczym nie przypominały baletu, gdzie każdy ruch wynikał z poprzedniego, a wszystkie płynęły niczym fale, obrót łączący siłę i wdzięk przeistaczał bezbarwne pomieszczenie w pozytywkę, a tancerka w obracającą się w niej miniaturkę.

Elizabeth Cantine doskonale to rozumiała. Była instruktorką czirliderek, ale od pierwszych treningów widziała, że mam płynność i ruchy baletnicy. To ona zachęciła mnie do pójścia na zajęcia Cindy w Klubie dla Chłopców i Dziewcząt, a w kolejnych latach odegrała znaczącą rolę zarówno w mojej raczkującej karierze, jak i w życiu.

Początkowo nie wiedziałam, że kiedy Cindy zaproponowała mi stypendium u siebie w szkole, była już po rozmowie z Elizabeth i że to właśnie Elizabeth i jej mąż Richard zgodzili się współfinansować moją naukę. Było to poważne zobowiązanie. Pointy kosztują osiemdziesiąt dolarów za parę, a zużywałam je w tempie porównywalnym do tego, w jakim niszczy buty zawodowy koszykarz. Ciągle rosłam, więc potrzebne były nowe trykoty i rajstopy. Elizabeth i Richard będą wspierać mnie finansowo przez wiele lat. To pokazuje, jak bardzo we mnie wierzyli i dbali o mnie.

Elizabeth stała się jedną z osób, które mnie kształtowały, a kiedy byłam

w szkole średniej, ona i jej mąż oświadczyli, że zostają moimi honorowymi rodzicami chrzestnymi. Elizabeth przychodziła na zajęcia w szkole Cindy i nie opuściła żadnego mojego występu. Często u niej nocowałam. Została w moim życiu jeszcze długo po tym, kiedy musiałam rozstać się z Cindy. Do dzisiaj często spotykam się z Elizabeth i Richardem, moimi rodzicami chrzestnymi.



Zawsze powtarzam, że w balecie nie ma drogi na skróty, nie można pominąć pewnych kroków. Wyznawałam taką zasadę. Trzeba było wiedzieć, jak wykonać *plié* – czyli przysiadać, wdzięcznie zginając kolana – i *passé* – przenosić stopę w tył na poziomie kolana i z powrotem – zanim przejdzie się do obrotów *fouetté*.

W centrum San Pedro zaczęłam od podstaw, z małymi dziećmi (jako dwa razy starsza od najmłodszych) – choć byłam tak drobna, że większość osób nie uwierzyłaby, że mam czternaście lat i jestem znacznie starsza od innych dzieci z grupy.

Na tych najbardziej podstawowych zajęciach trzymaliśmy się drążka obydwoma rękami, ćwicząc *plié*, i przechodziliśmy przez wszystkie podstawowe pozycje baletowe: pierwszą, drugą, trzecią, czwartą i piątą. Potem przyszedł czas na zajęcia *pointe*, gdzie wykonywaliśmy te same ćwiczenia, ale stojąc na czubkach palców. Miałam trzy lekcje dziennie. Każda była na poziomie bardziej zaawansowanym od poprzedniej. W każdej grupie było około dwudziestu uczniów, przeważnie dziewcząt, przeważnie białych. Zajęcia odbywały się w takim tempie, że przez pół lekcji nie wiedziałam, jak nazywają się poszczególne kroki – francuskie określenia były skomplikowane i dziwne.

Cindy wrzuciła mnie na głęboką wodę, ponieważ od początku wierzyła, że natychmiast złapię, o co chodzi. Wystarczyło, że popatrzyłam na instruktora baletu, na pokazywany film albo na innych uczniów.

Pamiętam, że gdy zaczynałam się uczyć obrotów *fouetté*, nie mogłam się doczekać zajęć. Byłam szalenie podekscytowana, niecierpliwiłam się, chcąc raz po raz próbować tych skomplikowanych ruchów, wymyślając, jak zrobić to jeszcze lepiej, jak zrobić, żeby się udało. Cindy pokazała mi, jak postępować, trzymając drążek, dzieląc obrót na kilka małych kroków. – Zrób *plié* – polecała. – A teraz przenieś nogę w bok. Później przejdź do *passé*.

Powtarzałam te ruchy przez godzinę każdego dnia, przy drążku, dopóki nie poczułam, że w końcu mogę go puścić i wykonać obrót na środku klasy. Kiedy mi się to udało – *plié! relevé! passé!* – poczułam wszechogarniającą radość.

Następnego dnia wróciłam do podstawowych ćwiczeń, szlifowałam to, czego nauczyłam się wcześniej na zajęciach dla bardziej zaawansowanych, upewniając się, że każdy krok, każde *port de bras* były nieskazitelne. Nauce tańca z partnerem, *pas de deux*, poświęcone były oddzielne zajęcia.

Niekiedy lekcje prowadził Patrick, ale moim stałym instruktorem – i pierwszym partnerem – był Charles Maple, solista w American Ballet Theatre.

Byłam tak mała i nieustraszona, że wybierał mnie, by pokazywać innym, jak trzeba tańczyć.

– Wyprostuj się i ani drgnij – instruował, podnosząc mnie jedną ręką nad głowę. Potrafiłam być nieruchoma jak pomnik lub giętka jak szmaciana lalka, stosownie do tego, co mi polecił, a on podrzucał mnie, podnosił lub obracał. Pod koniec zajęć kręciło mi się w głowie i brakowało tchu.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak szybko się uczę. Zaczynałam jednak słyszeć komentarze – to tu, to tam. Coś napomknęła Cindy, coś dorzucił Charles, uzupełniła Elizabeth. Powoli docierało do mnie znaczenie tych słów: wyjątkowy talent.

Początkowo nie rozumiałam doniosłości tego określenia – oznaczało, iż nauczyciele spodziewają się po mnie, że utrzymam standardy, które

instynktownie wyznaczyłam sobie na początku. Wtedy wiedziałam tylko, że taniec to naturalna przyjemność. A nieprzemijające pragnienie, by się podobać, sprawiało, że chciałam być coraz lepsza.

Lata później technikę mam opanowaną, bezbłędną, utrwaloną. Mimo to codziennie chodzę na zajęcia z baletu. Tancerze to rozumieją.

To dlatego, że chociaż wiemy, iż nigdy nie osiągniemy doskonałości, musimy próbować do niej dążyć. Tancerze muszą wciąż się uczyć, ćwiczyć i sięgać wyżej, do ostatniego dnia swej kariery. To sprawia, że balet jest tak piękny, wytycza ostrą granicę w wyczuciu tempa i technice między wyskokiem i doskonałym lądowaniem a upadkiem na podłogę.

Ludzkie słabości uniemożliwiają osiągnięcie doskonałości. Ciało jest bezustannie narażone na zmęczenie i kontuzje. Zawsze czegoś brakuje, choćbyśmy byli o włos. Kiedy starzeje się nasze ciało, a urazy i stres życia stają się nieodłącznymi częściami naszego „ja”, musi się zmienić także technika tańca. Misty zmieniła się w kobietę, dorosła. Podobnie zmienia się Misty baletnica, dostosowując się do nowej rzeczywistości i nagłych ograniczeń.

Jednak trudno to zrozumieć komuś, kto nigdy nie stąpał na pointach.

– Nadal chodzisz na zajęcia z baletu? – z niedowierzaniem zapytała kiedyś koleżanka z dzieciństwa.

Męczyły mnie takie pytania, ale przywykłam.

– Tak. Zawsze będę brać lekcje baletu.



Balet wpływał także na moje nowe życie rodzinne. American Ballet Theatre odkryłam, siedząc przed telewizorem w salonie Cindy i Patricka. Poza teledyskami nigdy nie widziałam profesjonalnego tańca, a co dopiero baletu. Ale u Cindy oglądaliśmy go dużo. Skończyły się niedzielne popołudniowe mecze futbolowe, królujące w życiu mojej rodziny. U Bradleyów godzinami siedziałam przed telewizorem, oglądając na wideo

występy American Ballet Theatre. Byłam oczarowana tak samo, jak wtedy, kiedy odkryłam gimnastykę. Tylko tym razem na ekranie nie podziwiałam Nadii Comaneci. Byli tam Gelsey Kirkland, Natalia Makarowa, Rudolf Nurejew i Paloma Herrera.

American Ballet Theatre został założony w 1940 roku. Ma siedzibę w Nowym Jorku i szybko zasłynął jako jeden z najlepszych na świecie zespołów baletu klasycznego. Cindy i Patrick to wiedzieli. Widzieli w nim moją przyszłość. Michaił Barysznikow został dyrektorem artystycznym ABT w 1980 roku. Jednak zaledwie kilka lat wcześniej występował w Wolf Trap. To był majstersztyk. Wraz z Gelsey Kirkland, słynną w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych baleriną, muzą George'a Balanchine'a, tańczył *pas de deux* w *Don Kichocie*. Obejrzałam to nagranie przynajmniej sto razy. Wtedy postanowiłam, że chcę zatańczyć partię Kitri.

Kitri z *Don Kichota* to córka karczmarza, wrażliwa i pełna żaru, która odmawia poślubienia bogatego szlachcica, gdyż chce być z cyrulikiem o imieniu Basilio. Sprzeciw i odwagę okazuje każdym ruchem, wdzięcznie wyginając ciało i wyciągając ramię – *epaulement*, uwodzicielsko rozkładając i zwijając piękny wachlarz. Okazuje charakter prostym strzepnięciem przegubu czy dziecinnym tupaniem, gdy sprzeciwia się ślubowi z mężczyzną, którego nie chce. Balet wymaga szybkiej, ekspresyjnej pracy stóp oraz dzikich, długich susów. Jednak choreografia jest tylko jego częścią. Tancerka musi przejąć osobowość Kitri, musi stać się Kitri, by z powodzeniem opowiedzieć jej historię. Nie wiem, czemu ujrzałam w Kitri samą siebie. Po prostu poczułam jakąś więź.

Dzięki Gelsey Kirkland zakochałam się w Kitri, a dzięki Kitri odkryłam Palomę.

Paloma Herrera była jedną z najmłodszych gwiazd w dziejach American Ballet Theatre. Urodzona w Buenos Aires, miała piętnaście lat, gdy dołączyła do zespołu, siedemnaście – kiedy została solistką, a dziewiętnaście – gdy stała się primabaleriną. Była moją idolką.

Śledziłam jej karierę z takim napięciem, jak inne nastolatki czekają na najnowszy film Winony Ryder lub wieści o najnowszym kochanku Madonny. Kiedy po raz pierwszy oglądałam *Don Kichota* na żywo, w Dorothy Chandler Pavilion w centrum Los Angeles, Paloma była gwiazdą.

Właśnie awansowała na primabalerinę i tańczyła Kitri u boku Angela Corelli w roli Basilia. Obydwoje byli wówczas rozchwytywani. Latynosi, młodzi, piękni – idealni do tych ról. Poszliśmy z Cindy ich obejrzeć – siedziałam w fotelu oszołomiona, zachwycona.

Przez lata śledziłam jej karierę, zbierałam artykuły o niej, pojawiające się w magazynach „Dance” i „Pointe”, a także w „New York Timesie”. Wytwórca luksusowych zegarków Movado był sponsorem American Ballet Theatre, a twarz Palomy ozdabiała ich reklamy.

Desperacko pragnęłam iść jej śladem. Podobnie jak ona musiałam dołączyć do zespołu jak najszybciej, a kiedy inne dziewczynki będą wybierały sukienki na promocję do wyższej grupy, ja już będę solistką, tańczącą główne role w *Romeo i Julii* czy *Bajaderze*.

Oczywiście nie miało to żadnego sensu. Trafiłam do baletu zbyt późno, by zostać solistką czy primabaleriną jeszcze jako nastolatka. To, czego dokonała Paloma, było rzadkością nawet w przypadku takich baletnic jak ona, które tańczyły całe życie.

Cztery lata później, kiedy jako siedemnastolatka dołączyłam do zespołu American Ballet Theatre, poznałam Palomę. Tańczyłyśmy na tej samej scenie i zaprzyjaźniłyśmy się. Jednak zanim zostałyśmy koleżankami, była dla mnie wszystkim.



Chociaż balet był najważniejszy, gdy mieszkałam u Cindy, to stanowił tylko część mojego życia. Rygory baletu, lekcji, prób i coraz częstszych występów były łagodzone ciepłem rodzinnej atmosfery.

To było dla mnie coś nowego. Ze zorganizowanym życiem zetknęłam się, kiedy mieszkałam z Robertem, ale wtedy towarzyszyły mu przemoc i strach. Zwyczaje panujące w rodzinie Bradleyów dawały poczucie bezpieczeństwa i miłości.

Nie wiem, czy Cindy i Patrick byli bogaci. Ale sądząc po tym, co dostrzegałam, wydawali się zamożni i ustabilizowani. Kiedy odrabiałam lekcje, miałam ciszę i spokój. Dostałam nawet pieska, pierwszego w życiu, małego, czarnego pudelka, który wabił się Misza – Cindy tak go nazwała na cześć Michaiła Barysznikowa.

Wkrótce po tym, jak się do nich wprowadziłam, Cindy, Patrick, Wolfie i ja poszliśmy razem do fotografa i zrobiliśmy sobie rodzinne zdjęcia. Podobizny nas wszystkich – ja w czarnym trykocie, a Wolfie w malutkim stroju sportowym Danskin – były porozwieszane w całym domu. Staliśmy się rodziną.

Kiedy poznałam rodziców Cindy, Catherine i Irvinga, poprosili, bym nazywała ich „Babulka” i „Dziadzio” – tak samo, jak mówił do nich Wolfie. Spędzaliśmy razem dużo czasu, u nich albo u nas, a kiedy Babulka i Dziadzio kupili dom obok, Wolfie i ja mieliśmy tam swoje pokoje.

Zacząłam też poznawać zwyczaje i obrzędy judaizmu, wiary wyznawanej przez Cindy.

Kiedy dorastaliśmy, Harold często podjeżdżał do Roberta i zabierał moich braci, siostry oraz mnie do kościoła. Byłam jednak raczej chrześcijanką typu: „Jest Gwiazdka, jest Wielkanoc, chodźmy na mszę”. Teraz od czasu do czasu chodziłam do świątyni z Babulką i Dziadziem. A w każdy piątek zbieraliśmy się na wspólnej kolacji i obchodziliśmy szabat: zapalaliśmy świece przed zmierzchem i recytowaliśmy modlitwy:

*Baruch ata Adonaj Alohejnu Melech ha-olam,
aszer kidszanu be-micwotaw we-ciwanu
lehadlik ner szel szabat^[2].*

Nauczyłam się tych słów na pamięć.

Wróciłam też do gotowania, jak za czasów Roberta, ale teraz szefem

kuchni była Babulka, a ja patrzyłam, jak się robi rosół z pulpetami. W dużej misce mieszałyśmy macę, jajka, wodę i tłuszcz z kurczaka, a potem łyżką formowałyśmy pulpety. Wrzucałam je na wrzący rosół i czekałam, aż wypłyną.

„Nareszcie – myślałam sobie. – Tak powinna wyglądać rodzina”.

W synagodze, do której chodziliśmy, nie spotykałam innych czarnoskórych. Ale właściwie nie zwracałam na to uwagi, utkwiło to jedynie gdzieś w zakamarkach mojej pamięci, chociaż Babulka pewnie to dostrzegała.

Którejś soboty, kiedy byłam u niej i właśnie skończyłyśmy krzątać się po kuchni, Babulka nastawiła magnetowid i puściła *Nauczyciela z przedmieścia*, film z 1967 roku, w którym legendarny czarny aktor Sidney Poitier gra nauczyciela starającego się uczyć grupę dzieciaków, głównie białych, z londyńskich slumsów.

Oglądałyśmy razem, a kiedy film się kończył, Babulka cichutko wtórowała piosence dobiegającej z ekranu.

– Jako pierwszy czarny zdobył Oscara – opowiadała mi o Sidneyu Poitier, kiedy skończyły się napisy. – Przełamał bariery, jak ty.

– Poitier był przystojny i zachwycający – ciągnęła Babulka. Jak ja. A nasza obecność w świecie zarezerwowanym wcześniej tylko dla białych była podarunkiem dla tych wszystkich, którzy występowali, i dla tych, którzy nas oglądali. Chyba wtedy Babulka pierwszy raz odniosła się do koloru mojej skóry. Rzadko to czyniła i nigdy w negatywnym kontekście. Kolor mojej skóry był jedną z wielu rzeczy, dzięki którym byłam wyjątkowa.

Wcześniej nigdy nie czułam się wyjątkowa. Chyba nawet nigdy nie chciałam. To by znaczyło, że wszyscy będą się na mnie gapić, że będę musiała przemawiać, a to niesło ryzyko, że powiem coś nie tak i będą mnie oceniać. Wolałam się kryć.

Ale u Cindy nikt się nie ukrywał. Kiedy siedzieliśmy przy stole, jedząc to, co przygotował Patrick, chcieli rozmawiać o tym, jak minął mi dzień,

o mojej przyszłości. Chociaż obok siedział Wolfe, ich biologiczny syn, Cindy i Patrick koncentrowali uwagę na mnie.

– Chyba lepiej skaczę – oświadczałam z dumą. – Dzisiaj przy *adagio* miałam większe rozciągnięcie.

– Niektórzy tancerze mają talent do tańca, inni – zdolności fizyczne – skomentowała Cindy, a Patrick potakująco kiwał głową. – Ty masz jedno i drugie. Będiesz wielką gwiazdą. Boże dziecko z ciebie.



Kiedy jeszcze mieszkałam z rodziną i kiedy jeszcze mieliśmy samochód, mama odbierała mnie niekiedy od Danielle czy Reiny, pogłaśniałyśmy radio i śpiewałyśmy razem z Toni Braxton.

Seven whole days and not a word from you...

Przez kilka minut było tak, jakbyśmy trzymały się za ręce i wspólnie szybowały na melodii. Nigdy nie zbliżyłam się do mamy bardziej. Rozmowy z mamą były lakoniczne, często powierzchowne. Mama była po prostu zbyt zmęczona, by zgłębiać moje myśli i uczucia. Poza tym nawet nie jestem pewna, czy kiedy była dzieckiem, nauczyła się, jak rozmawiać się z innymi ludźmi, i może dlatego nie potrafiła przekazać tej umiejętności nam. Pracując od dziewiątej do piątej, wychowując szóstkę dzieci i zmagając się z agresywnym lub uzależnionym partnerem, pod koniec dnia po prostu już nie umiała znaleźć właściwych słów.

Ale Cindy i ja w końcu nauczyłyśmy się rozmawiać, i to długo. Kiedy podrzucała mnie do szkoły, odbierała po południu i odwoziła do domu po lekcjach tańca, zasypywała mnie pytaniami.

Po raz pierwszy ktoś skupiał swą uwagę wyłącznie na mnie, słuchał tego, co miałam do powiedzenia. Przerazało mnie to, bo było nowe. Czułam się niemal sterroryzowana, jakby ktoś na mnie napadł.

– O czym teraz myślisz?

– Jak się czujesz?

- Kto jest twoim ulubionym tancerzem?
- Co chcesz na kolację?
- Co cię tak bawi?

Nie miałam pojęcia, jak odpowiadać na tę niekończącą się litanię najprostszych pytań. Zaczynałam się pocić. Czy ja w ogóle wiedziałam, co myślę albo czuję? Czemu to ją obchodziło? Nie rozumiałam, że ktoś może prowadzić ze mną taką konwersację, nie krytykując moich sądów i opinii. Cindy okazywała gniew tylko wtedy, kiedy martwiła się moją niechęcią do mówienia. Nie odpuszczała. Wiedziała, że jeśli się na mnie rozzłości i nie zostawi mi innego wyjścia, sprawi, że się przed nią otworzę. Bradleyowie nauczyli mnie krytycznego myślenia i zawsze będę im za to wdzięczna. Ale szło mi opornie.

Cindy zawsze zachowywała się tak, jakby moje wypowiedzi były najtrafniejszymi, najgłębszymi analizami, jakie zdarzyło jej się słyszeć. Jej akceptacja sprawiła, że zaczęłam wychodzić ze skorupy. Ułatwiały to uspokajające odgłosy domowego życia, pozwalające mi być cicho, jednak jej pytania i bezwarunkowa akceptacja dodawały mi pewności siebie. Zaczynałam słyszeć własny głos. I podobało mi się to. Cindy, biała kobieta, sprawiła, że zaczęłam uważać mój kolor karnacji za najpiękniejszy na świecie.

Zawsze dobrze czułam się w swojej ciemnej skórze, mimo strasznych rzeczy, jakie Robert i jego rodzina wygadywali o mamie i moim rodzeństwie. Nigdy nie chciałam być inna. Jednak dla Cindy moje dziedzictwo było jeszcze bardziej nadzwyczajne. Podobały się jej zwłaszcza moje bujne, kręcone włosy. W domu moje niesforne kędziory były gęstwiną, nad którą trzeba zapanować. Od dziecka moja starsza siostra Erica, susząc mi włosy, prostowała loki i gładko je zaczesywała. Jeśli chciałam nosić koński ogon, ściągała mi włosy ciasno do tyłu, aż skronie mnie bolały, a każdy wymykający się kosmyk unieruchamiała żelem. Tak robiła większość czarnych kobiet. Używałyśmy prostownic i nakładek na suszarkę, które pozwalały zapanować nad fryzurą.

Natomiast Cindy podobały się moje kręcone włosy. Zrobiła mi kiedyś zdjęcie: wchodzę do jej pokoju w sukience w kropki, którą od niej dostałam, mam rozpuszczone, naturalnie skręcone włosy. Muszę przyznać, że kiedy pokazała mi tę fotografię, najpierw się skrzywiłam. Byłam przyzwyczajona, że mam się czesać inaczej, a już szczególnie do zdjęć, które latami mogą stać na kominku. Jednak im dłużej mieszkałam u Bradleyów, tym swobodniej czułam się w kręconych włosach. Pewnego dnia spojrzałam na zdjęcie i pomyślałam: „No, no, ale pięknie!”. Jakbym patrzyła na nie, na siebie, po raz pierwszy w życiu.

Jeszcze zanim oswoiłam się z nowym wyglądem, coraz częściej nosiłam taką fryzurę, jaka podobała się Cindy. Trudno było oprzeć się jej *jin* i *jang*: wspierającej naturze, dzięki której czułam się najpiękniejsza, i gwałtownym porywom charakteru, niekiedy o sile huraganu, przetaczającym się przez nasz dom. Wszyscy w jej otoczeniu dopasowywali się do jej zmiennych nastrojów. Najlepszym przykładem było to, że nawet nie uzgodniła z Patrickiem, że z nimi zamieszkam. Po prostu się zjawiłam. Mógł być tak zdziwiony jak Wolfie, lecz nigdy tego nie okazał, i dbał, bym u niego w domu czuła się jak u siebie.

Cindy bywała impulsywna, niekiedy nieco nierozważna. W lecie, tuż przed moimi piętnastymi urodzinami, uznałyśmy, że będzie dla mnie lepiej, jeśli zacznę uczyć się w domu, żeby mieć więcej czasu na taniec. Kilka przecznic od nas był ośrodek prowadzący nauczanie indywidualne. Chodziłam tam co dwa tygodnie, spotykałam się z nauczycielem, dostawałam nowe zadania i zaliczałam wcześniejszy materiał. Z wyjątkiem tych spotkań odbywających się dwa razy w miesiącu Cindy nie musiała już podrzucać mnie rano do szkoły. Jednak niezależnie od tego wychodziła z domu, załatwiała różne sprawy, prowadziła szkołę tańca lub przygotowywała moje nowe przedstawienia.

Wstawałam, robiłam śniadanie dla siebie i Wolfiego. Ubierałam się, brałam Miszę na smycz i odprowadzałam Wolfiego do przedszkola za rogiem. Wracałam do domu, zabierałam się za historię czy angielski,

odbierałam Wolfiego, jedliśmy lunch i czekaliśmy, aż Cindy wróci i zawiezie mnie na popołudniowe zajęcia z tańca. Byłam przyzwyczajona do zajmowania się młodszym rodzeństwem, więc wówczas owe dorosłe obowiązki nie wydawały mi się dziwne, jednak z perspektywy czasu obarczanie mnie taką odpowiedzialnością wydaje mi się szaleństwem. Nie uważam, że chciała mnie wykorzystać. Po prostu taka była – powodowana pasją, nie zasadami. A spokojny, cichy i szaleńczo zakochany w żonie Patrick po prostu pozwalał, by kierowała przedstawieniem.

Cindy, perfekcjonistka, która kazała mi godzinami ćwiczyć *pirouettes*, potrafiła wywrócić dom do góry nogami, szukając kluczyków do samochodu, które – jak się okazało – spokojnie tkwiły w stacyjce. Gnała na zajęcia aerobiku czy pilatesu, zostawiając mnie, wówczas trzynastoletnią, samą z Wolfiem. Wieczorami zasiadaliśmy do rodzinnej kolacji przygotowanej przez Patricka, a Cindy stroiła się i pędziła do klubu na spotkanie z grupą przyjaciół. Wracała nad ranem.



Miała obsesję na punkcie swego wyglądu, farbowała brązowe włosy na ognistorudy kolor i robiła zakupy w tempie, jakiego nigdy nie widziałam. Wolfie i ja spędzaliśmy godziny przed przebieralniami, czytając książkę lub grając w szpiega, a Cindy przymierzała sukienkę za sukienką.

– Nie wyglądam grubo? – pytała co chwila.

– Nnnnnooooo nie... – pilnie odpowiadałam, wiedząc, że musiałyby nałożyć na siebie kilka rzeczy naraz, by zaokrąglić szczupłą jak niteczka sylwetkę.

Właściwie to sprawiało mi przyjemność, że spędzaliśmy tyle czasu razem, buszując wśród regałów pełnych pięknych rzeczy. Miło mi było także dlatego, że zakupowa obsesja Cindy obejmowała również mnie. Uwielbiała ubierać mnie w pastelowe spódniczki, modne, rozszerzane dzinsy i inne ciuchy, które nosiły czternastoletnie dziewczyny.

Czułam się jak Kopciuszek. Ale mama zauważyła nowe uczesanie, stroje, wszystkie zmiany, jakie we mnie zachodziły. I nie podobało jej się to.



Mama dzwoniła do mnie co tydzień, żeby dowiedzieć się, jak mi jest u Cindy, i opowiedzieć, co słyhać u rodzeństwa. W weekendy jeździłam do niej do motelu.

Dzieci właściwie rozproszyły się. W ciągu tygodnia Cameron mieszkał u Roberta – swojego ojca; Lindsey często zostawała u Harolda – swojego ojca; Erica nadal wiele nocy spędzała u przyjaciół. Nawet Doug i Chris nocowali u kolegów ze szkoły. Jednak w weekendy spotykaliśmy się wszyscy i byliśmy bardzo szczęśliwi, że jesteśmy razem. Doug relacjonował ostatnie akty przemocy wobec czarnych, Lindsey opowiadała dowcipy, a ja wyginałam Camerona, pokazując mu nowe pozycje baletowe. Przekomarzania i śmiechy zagłuszały odgłosy ruchliwej autostrady za oknem.

Tylu rzeczy chciałam ich nauczyć.

Cindy usiłowała nadrobić moje braki w obcowaniu z kulturą, będące, jej zdaniem, skutkiem braku czasu mojej mamy, która musiała zajmować się tyloma dziećmi naraz.

– Poznasz wielu ważnych ludzi – zapowiedziała mi. – Musisz wiedzieć, jak się zachowywać.

Pokazała mi, że widelec leży z lewej strony, a nóż – z prawej, że jedną łyżką je się zupę, a inną – deser.

Cindy przejmowała się także tym, jak się odżywiam, i troszczyła się o moje zdrowie. Zanim z nią zamieszkałam, jadłam to, na co mama mogła sobie pozwolić przy tak skąpym budżecie: najczęściej więc opychałam się śmieciowym jedzeniem ze szkolnego sklepiku lub z automatów w motelu. Uwielbiałam ostre cheetos, kukurydziane płatki podgrzewane

w mikrofalówce i grubo pokryte wyciskany z butli serem i pikantnym sosem.

Cindy uznała, że trzeba mnie dokarmić, bym przytyła i nabrała sił do tańczenia. Codziennie na kolację były świeże warzywa. W jej domu pierwszy raz w życiu spróbowałam krewetek. Spróbowałam i mogłabym nie jeść już nic innego. Kiedy szliśmy do restauracji, zawsze zamawiałam zapiekane krewetki i koktajl Shirley Temple.

Zatem kiedy teraz odwiedzałam mamę, prosiłam o konkretne potrawy, a mojemu wydelikacjonemu smakowi towarzyszyły kategoryczne opinie:

- Och... – mówiłam, gdy mama podgrzewała fasolkę z puszki.
- Czemu sypiesz tyle soli do mojego hamburgera?
- Nie dodawaj tego pieprzu!

Piłam wodę zamiast oranżady, którą kupowała mama. Nakrywałam do stołu, zanim nasza rodzina zasiadła do kolacji, składałam na pół papierowe serwetki i napełniałam szklanki – każda była inna. Nie chciałam, by mama czuła się źle, ale też wiedziałam, że moja zdrowa dieta służy wyższym celom. Żeby tańczyć, musiałam być silna, a sama odpowiadałam za to, czego dostarczam własnemu organizmowi.

Mama była niezadowolona z moich komentarzy dotyczących potraw i ze zmian, które we mnie dostrzegała. Prawdę mówiąc, moje zachowanie budziło w niej wściekłość. Uważała, że zadzieram nosa, gardzę wychowaniem, jakie otrzymałam, i daję jej do zrozumienia, że źle zajmuje się moimi braćmi i siostrami. Sądziła, że uważam się za lepszą od nich.

– Może byś się uczesała – rzuciła pewnego piątku, kiedy Cindy podrzuciła mnie do motelu.

– Jestem uczesana – powiedziałam wyzywającym tonem. – Po prostu nie prostuję włosów. Podobają mi się takie, jakie są.

Mama zmarszczyła brwi i zacisnęła zęby.

Zauważyła też nowe ciuchy.

– Niech ona cię nie traktuje jak lalkę do ubierania – powiedziała, gdy wyciągnęłam sukienkę w kwiatki, którą chciałam włożyć tego dnia, kiedy

wracałam do Cindy. – I nie jesteś jej córką. Sama mogę zabrać cię na zakupy.

Za co? – pomyślałam. Ale ugryzłam się w język.

Stopniowo coraz rzadziej jeździłam do domu. Żeby zrobić reklamę nam – a także swojej szkole – Cindy zabiegała o to, byśmy ciągle występowali, czasem na prestiżowych przedstawieniach. Kiedyś tańczyłam solówkę *en pointe* na obiedzie wydanym dla L.A. Dodgers. Miałam czapeczkę bejsbolową, biały trykot z ich logo, a nawet kij jako rekwizyt.

Innym razem z koleżankami i kolegami z klasy występowaliśmy na Olimpiadzie Specjalnej. Co rok tańczyliśmy na Taste of San Pedro, popularnym święcie, podczas którego miejscowi restauratorzy rozstawiali budki wzdłuż ulic i częstowali przechodniów przysmakami ze swych lokali.

Występowaliśmy głównie w audytorium San Pedro High School. Niezależnie od tego, gdzie tańczyliśmy, przedstawienia odbywały się przeważnie w soboty i niedziele. A gdy nie występowałam, miałam próby lub zajęcia z tańca. Na wizyty w domu nie było czasu. Mijały tygodnie. Wtedy mama naprawdę zaczęła się złościć. Czuła, że na dobre mnie traci.

Coraz częściej dzwoniła do Bradleyów nie po to, żeby porozmawiać ze mną, lecz z Cindy, która odbierała telefon w sypialni, więc nie mogłam słyszeć, o czym mówiły. Kiedy dziesięć–dwadzieścia minut później Cindy wracała do salonu, miała zaciśnięte usta. Nigdy nie opowiadała, co usłyszała od mamy, ale mogłam się domyślić. Wyobrażam sobie, jak mama się czuła. Pewnie się zamartwiała, że ludzie nie rozumieją, iż jej córka musiała się wyprowadzić, by podążać za marzeniami o tańczeniu, i uznają, że po prostu ona jest wyrodną matką.

Nasze relacje były jednak o wiele bardziej skomplikowane. Mama chyba zazdrościła Cindy – kobiecie o wyższych dochodach, mającej wspierającego ją męża i wygodny dom – i uważała, że ta chce jej ukraść dziecko. Cindy raczej nie miała takiego zamiaru. Ale to prawda, że mieszkanie z Bradleyami mnie zmieniło. Zanim się do nich wprowadziłam, byłam trzynastoletnią dziewczynką, która jeszcze bawiła się lalkami. Uciekałam

od życia w zabawy i marzenia, w układy taneczne, przygotowywane w matczynej sypialni. Ale gdy opuszczałam motel, nie zabrałam lalek ze sobą. Dorastałam.

Do dzisiaj nie czuję urazy do Cindy i Patricka. Oboje pozytywnie wpłynęli na moje życie: dzięki nim moja osobowość stała się pełniejsza. Kiedy po dwóch latach musiałam ich opuścić, było to najdramatyczniejsze rozstanie ze wszystkich, jakie przeżyłam, bardziej rozdzierające serce niż wyprowadzka od Harolda, bardziej przerażające niż ucieczka przed Robertem. To była najgorsza rzecz, jaka mi się przydarzyła.

Nie rozumiałam tego. Nie wiedziałam, czemu zabierają mnie od ludzi, którzy tak mnie kochają, którzy pozwolili mi wejść w świat baletu, zaznajomili ze sztuką, dobrymi obyczajami, pokazali smak tego, czym jest życie i jakie może i powinno być.

Musiałam wrócić z nowego życia do starego, do motelu. I nienawidziłam mamy za to.



W czasie mego pierwszego roku w szkole Cindy wystawiała *Dziadka do orzechów* w San Pedro High School. Tańczyłam rolę Klary, dziewczynki, której marzenia o słodyczach z Cukierkowej Krainy i zaklętych lalek zachwycają kolejne pokolenia miłośników teatru. Wśród publiczności była mama, wszyscy moi bracia i siostry oraz wielu naszych znajomych. To był wspaniały wieczór.

Kiedy miałam czternaście lat, powtórne wystawienie tej samej historii sprawiło, że zostałam zauważona, że widzowie mnie dostrzegli, a ja poczułam się sławna jak nigdy wcześniej.

To był *Czekoladowy dziadek do orzechów*.

Cindy zawsze starała się włączyć mnie do grona czarnych tancerzy. Trafiała kiedyś na dobroczynny wieczór miejscowej organizacji afroamerykańskiej, w którym dostrzegła miejsce dla mnie. Tańczyłam solo,

en pointe, akompaniował mi saksofonista jazzowy. Wielka aktorka Angela Basset, piękna, o sarnich oczach, też brała udział w programie i podczas prób mogłam ją poznać. Nie śmiałam podnieść na nią oczu – taka byłam podekscytowana.

Myślę, że w *Czekoladowym dziadku do orzechów* Cindy dostrzegła dla mnie kolejną sposobność połączenia światów, w jakich żyłam: klasycznego repertuaru baletowego, który coraz lepiej opanowywałam, i tańca afrykańskiego, a także możliwość spotkania ze słynnymi Afroamerykanami.

Producentką *Czekoladowego dziadka do orzechów* była aktorka i choreografka Debbie Allen, która dodała nowe elementy do opowieści o Klarze i żołnierzach. Książę, w którego przemienia się Dziadek do orzechów, zamiast do Cukrowej Krainy zabiera Klarę w podróż dookoła świata. Dziadek do orzechów i jego żołnierze nie walczą z wojowniczymi myszami, lecz ze śliskimi węzami.

Moje występy z Los Angeles zaczęły przyciągać uwagę, moje nazwisko pojawiło się w kilku artykułach opisujących późno rozkwitłą czarną baletnicę, która okazała się cudownym dzieckiem. Myślę, że Debbie Allen je czytała i dlatego skontaktowała się z Cindy, by spytać, czy jestem zainteresowana rolą Clare, „czekoladową” wersją klasycznej Klary.

Debbie była ciepła, ale i rozsądna. Najpierw pracowałam z jej choreografami, by wszyscy nabrali pewności, że poradzę sobie z główną postacią. Kiedy otrzymałam rolę, dokładali starań, by zmienić układy tańca tak, aby były dla mnie jeszcze większym wyzwaniem. Mam wideo z trwających godzinami prób.

Ponieważ w baletowym świecie Clare miała podróżować do innych krajów, na przykład do Egiptu, część moich zajęć z Debbie polegała na ćwiczeniu różnych form tańca etnicznego. Cindy zawiozła mnie do studia Debbie w Los Angeles. To był świat zupełnie różny od tego, do jakiego przywykłam. Spotkałam tam pięknych czarnoskórych chłopców i śliczne dziewczęta, którzy zajmowali się tańcem afrykańskim i brazylijskim.

Perkusiści grali na żywo, łomotała muzyka, a pośrodku byłam ja – na pointach.

Występowaliśmy w Royce Hall uniwersytetu kalifornijskiego w Los Angeles, a na scenie miałam grać z Debbie, która wcieliła się w rolę ciotki Clare. Dobrze mi szło przechodzenie od tańca afrykańskiego do klasycznego, to było OK, ale mikrofon i dialogi z Debbie Allen? TO mnie przerażało.

Wejście w rolę Clare było cudowne. Znów poczułam, jak wychodzi ze mnie zadziorność, tak jak podczas konkursu młodych talentów w Point Fermin czy przedstawienia, które Cindy zorganizowała w parku w San Pedro. Działo się tak za każdym razem, kiedy stawałam na scenie, przed publicznością.

Dostałam owację na stojąco. Pamiętam, że mama siedziała w jednym z pierwszych rzędów. Jakże wspaniale okazała wtedy swą miłość do mnie! Krzyczała, zrywała się z miejsca, klaskała, jakby było to największe widowisko, jakie oglądała. W Metropolitan Opera House, gdzie występuje American Ballet Theatre, nie jest to zachowanie przyjęte, lecz ona okazywała w ten sposób swoje uczucie i była w tym szczerą. Sprawiała, że chciałam występować coraz częściej.

Po spektaklu Debbie powiedziała „Los Angeles Magazine”, że jestem „dzieckiem, które tańczy całą duszą. Nie mogę sobie wyobrazić, by robiła cokolwiek innego”.

Po tym przedstawieniu przepełniał mnie żar.

Pojawiły się kolejne artykuły podkreślające mój talent, w „Daily Breeze”, lokalnej gazecie z San Pedro, a także w innych mediach. W studiu Cindy rozdzwonił się telefon, ludzie pytali, gdzie i kiedy będzie można obejrzyć tę fenomenalną dziewczynkę, o której jest tak głośno.

W szkole też zaczęto patrzeć na mnie inaczej. Dotychczas byłam młodszą siostrzyczką Douga i Eriki, która – tak się złożyło – była kapitanem czirliderek. Teraz widziano we mnie „tę balerinę”.

Byłam nieśmiała, więc okazywana mi zewsząd uwaga trochę mnie

przytłaczała i początkowo czułam się nieswojo. Ale ta popularność była łatwiejsza do zniesienia, ponieważ wiązała się z baletem, moją ostatnią miłością. Było tak, jakby publiczność towarzyszyła mi przez chwilę po zejściu ze sceny.

Tańczyłam w balecie już ponad rok i postanowiłam skończyć z czirliderkami. Chciałam cały swój czas i całą energię poświęcić baletowi.

Po *Czekoladowym dziadku do orzechów* Cindy uznała, że mogę wreszcie zatańczyć moją wymarzoną partię. San Pedro Dance Center planowało wystawić *Don Kichota*, a ja miałam wcielić się w Kitri. Miałam za sobą tyle występów, że Cindy sądziła, iż nadeszła pora, bym pokazała, co potrafię u boku doświadczonych tancerek i zyskała szersze uznanie dla mego talentu. Pierwszy raz miałam rywalizować z innymi podczas jednego z najtrudniejszych i najbardziej prestiżowych konkursów, Music Center's Spotlight Awards. Nagrodami w konkursie, który odbywał się dorocznie od ponad dwóch dziesięcioleci, były idące w dziesiątki tysięcy dolarów stypendia dla wybijających się nastolatków. Przyznawano wyróżnienia w różnych kategoriach, w tym w balecie, tańcu nowoczesnym, jazzie i interpretacji muzyki klasycznej. Oceniali nas mistrzowie w tych dziedzinach. Zwycięzcy mieli występować między innymi w Metropolitan Opera i w zespole Alvina Aileya.

Ponieważ przygotowywałam się do roli Kitri w przedstawieniu *Don Kichota* wystawianym przez naszą szkołę tańca, doszliśmy do wniosku, że podczas Spotlight Awards powinnam zatańczyć wariację z tego samego baletu.

To był zniechęcający wybór: skomplikowany, wyczerpujący układ, którego nigdy nie podjęliby się wykonać tancerze z zaledwie dwuletnim stażem. A już na pewno nie odważyliby się zadebiutować w nim na wielkiej scenie Los Angeles Music Center, przed gigantami baletu. Moje przygotowania miała śledzić ekipa KCET, lokalnej stacji telewizyjnej. Program nosił tytuł *Pokonując przeciwności* i był częścią audycji o nastolatkach rywalizujących w Spotlights Awards. Trafiłam tam dzięki

artykułom w prasie – gdy producenci je przeczytali, wybrali mnie do grona tych, o których chcieli opowiedzieć.

Byłam jedną z dwójga tancerzy, którym towarzyszyli. Ekipa uczestniczyła we wstępnych kwalifikacjach i kilku moich próbach, nawet spędziła ze mną trochę czasu w domu Bradleyów. Przygotowując się do Spotlight Awards, przez miesiąc ćwiczyłam sześć dni w tygodniu. Miałam odtańczyć wariację solówki Kitri z trzeciego aktu, ze słynnymi trzydziestoma dwoma *fouettes* na końcu.

Muszę powiedzieć, że tańcząc nigdy się nie denerwowałam: ani podczas prób, ani na przedstawieniach. Jakbym wpadała w trans.

W studiu baletowym ściany są zrobione z luster, by można było poprawiać samą siebie, odpowiednio ustawiać ciało, rozciągając nogi, podążając za wskazówkami nauczyciela. Jednak nawet dzisiaj, choć czasem zwracam uwagę na to, co odbija lustro, gdy doskonalam nowe kroki, przeważnie wcale go nie zauważam. Górę bierze pamięć wzrokowa i intuicja ciała.

Chyba zawsze tańczyłam mimo luster, a nad monotonią powtórzeń górowała radość.

Tego potrzeba, by wyróżniać się na scenie. Wielu tancerzy ma giętkie ciało i łatwość występowania, lecz gdy stają na scenie, brakuje im „tego czegoś”, tej iskry bożej, która sprawia, że ich występ zapada widzom w pamięć. Dla mnie nawet czas spędzony na zajęciach był pokazem.

Kiedy miałam siedemnaście lat, pojechałam do Nowego Jorku, by uczestniczyć w letnim programie American Ballet Theatre Lupe Serrano, którą ciągle kocham, jednej z moich pierwszych nauczycielek. Swego czasu była primabaleriną, a teraz uczyła baletu.

Kiedy wykonałam rozmaite kombinacje, podeszła do mnie, marszcząc brwi z niezadowoleniem.

– Czemu tyle czasu tkwisz przy drążku? – zapytała zirytowana. – To nie występ!

– Och! – byłam zdziwiona i bardzo zakłopotana. – Przepraszam.

W balecie każdy krok składa się z miliona ruchów. Głowa musi być w odpowiedniej pozycji, ciało wyprostowane, stopy właściwie obrócone. Trzeba ogromnej precyzji, by wszystko zgrać. Jednak dla mnie balet zawsze był czymś więcej niż zbiorem zaleceń dotyczących techniki. Był przyjemnością. Cindy miała niesłychaną zdolność zamykania muzyki w ruchach. Była zarazem aktorką i tancerką. Naśladowałam ją, bo niczego innego nie znałam. Jej ramiona, *epaulement*, elegancki, kobiecy styl odbijał się we mnie. Tak podchodziłam do tańca. Nie jest to jednak podejście do nauczania baletu spotykane w wielu szkołach – pierwszeństwo dla zrozumienia, w którym miejscu jesteś, ustawienie, wytrzymałość. Mój trening w San Pedro skupiał się na ruchu, muzyce i pokazach. Niewiele osób wykazuje takie zdolności, nawet po latach ćwiczeń. Ja miałam to w sobie od początku. Przygotowując rolę Kitri, bez końca oglądałam Gelsey i Palomę. Zwracałam uwagę na ruchy głowy, na łokcie – zawsze przed nadgarstkami, podczas gdy ręce były oparte na biodrach. Kitri była silna i opanowana. Wszystko to rozumiałam!

Podczas jednej z prób do *grand pas* z Charlesem Maple w trzecim akcie Cindy spytała:

– Skąd wiesz, kiedy unieść podbródek? Przecież nigdy ci tego nie mówiłam.

Byłam skołowana. Nie umiałam jej odpowiedzieć. Usłyszałam akcent muzyczny i zgodnie z nim podniosłam brodę. Nigdy się nie zastanawiałam – ani nawet nie rozumiałam – jak to się dzieje: po prostu wiedziałam. To był instynkt, a cud polegał na tym, że zwykle mnie nie zawodził.

To nie był występ? Ależ oczywiście, że był. Zawsze.



Ale kiedy miałam piętnaście lat, kilka dni przed Spotlight Awards, zaczęłam się mylić. Sprawiało mi trudność dokończenie serii obrotów. Rankiem w dniu zawodów zawładnęło mną coś, czego nigdy wcześniej nie

doświadczylam: trema.

W odniesieniu do tańca było to uczucie tak niezwykle, że początkowo w ogóle nie wiedziałam, co mi jest. Chyba różnica polegała na tym, że nigdy wcześniej nie czułam podobnej presji, gdy chodziło o balet. Gra toczyła się o tysiące dolarów, oglądało mnie całe miasto.

Cindy zaczęła się denerwować podczas końcowych ćwiczeń. Później, w dniu występu, na próbie kostiumowej w Dorothy Chandler Pavilion, prawie oszalała. Nie mogłam przejść przez *fouettes*. To klasyczny popis, jeden z podstawowych w repertuarze baleriny. Trzeba wirować, wirować i jeszcze raz wirować, wykonując trzydzieści dwa wyczerpujące obroty, a ja nie dawałam rady. Chyba byłam zbyt zmęczona, ale gdy zobaczyłam reakcję Cindy – napięcie i strach na jej twarzy – wpadłam w panikę.

– Musisz to zrobić – powiedziała nerwowo. – To twoja wielka szansa. Będzie Gerald Arpino.

Gerald Arpino, dyrektor artystyczny i współzałożyciel Joffrey Ballet, jednego z najsłynniejszych na świecie zespołów tańca, miał być jednym z jurorów.

Miałyśmy jeszcze tylko piętnaście minut, a później musiałam ustąpić miejsca kolejnemu zawodnikowi, który też chciał poćwiczyć. Bałam się potwornie. Cindy to zauważyła.

I wpadła na pomysł.

W pośpiechu zabrała mnie na podziemny parking, gdzie stał jej wóz. Otworzyła wszystkie drzwiczki, by stworzyć prowizoryczny ekran, włączyła w odtwarzaczu samochodowym kasetę z muzyką, do której miałam tańczyć. Uspokajała mnie, zapewniając, że choć ćwiczę dziesięć lat krócej niż moi konkurenci, mam coś, czego im brakuje: iskrę, wewnętrzną moc, niezależną od liczby *fouettes*, które wykonam, ani od tego, jak wysoko wyrzucę nogę, lecz wywodzącą się z pasji i talentu, które sędziowie we mnie dostrzegą. Z miejsca zmieniła choreografię wariacji. Zamiast trzydziestu dwóch obrotów mam zrobić szesnaście. Potem przejdę do *pique menage*, obrotów po okręgu, aż do wybrzmienia muzyki.

Taki był plan zapasowy, który przyjął z radością. Cindy pogłodziła muzykę i zabrałyśmy się do pracy. Zamiast w pointach, ćwiczyłam nowe układy w tenisówkach.

To mnie czegoś nauczyło. Kiedy jestem na scenie, zawsze chcę wyglądać na opanowaną i silną, nigdy zaś na zagubioną. Na tym polega profesjonalizm. A tamtego dnia, podczas przygotowań do Spotlight Awards, nauczyłam się, że zawsze trzeba mieć plan awaryjny, by móc wystąpić czysto i wyraziście. Nawet gdy zawiedzie ciało, pokaz się uda. Niektórzy tancerze uważają, że świadomość posiadania planu awaryjnego sprawia, iż człowiek nie stara się tak, jak powinien. Nie zgadzam się z tym.

Godziny spędzone w studiu baletowym poświęcam na doskonalenie niesłychanie precyzyjnych i szlachetnych kroków wielowiekowej techniki. Uczę ciało, by polegało na pamięci mięśni, powstającej w następstwie powtarzania kroków na próbach, więc gdy jestem na scenie i muszę zmierzyć się z nieprzewidzianymi okolicznościami, zawsze daję radę.

Światła sceny zmieniają warunki, w jakich pracuję, ogrzewają powietrze na tyle, że mięknią sztywne pointy. Kostium staje się cięższy i bardziej ogranicza ruchy. Grająca na żywo orkiestra i dyrygent, często obdarzony znacznym temperamentem, stają się wyzwaniem i stojąc na czubkach palców, muszę czuwać nad tym, czy nagle nie zmieni się tempo. Dochodzi do tego podniecenie, gorączka wywołana występem na żywo. Często instynkt kusi, by zareagować wbrew choreografii, którą ciało tak dobrze zna.

Mimo zewnętrznego i wewnętrznego ciśnienia tancerze mają zatańczyć zgodnie z najwyższymi standardami klasycznej perfekcji. Ja musiałam ustalić własne standardy. Jako profesjonalistka (i perfekcjonistka) stawiam sobie jeden cel: niezmiennie dawać podniecający, naładowany emocjami i doskonały pod względem technicznym występ. Próby są po to, by ćwiczyć ryzykowne ewolucje i padać na twarz, co pozwala trzymać się w korbach. Nigdy nie zaryzykowałabym przed spragnioną sztuki

publicznością. Widzowie zasługują na coś lepszego.

Niektórzy tancerze traktują to inaczej, podejmując ryzyko na scenie i wierząc, że to się opłaci, bo przedstawienie będzie niepowtarzalne i jedyne. Chyba dlatego spektakle na żywo są tak ekscytujące.

Jednak owego dnia, podczas Spotlight Awards, nauczyłam się, że trzeba być przygotowanym i skupić się na najważniejszym.

Nadeszła pora występu. Weszłam na scenę w czerwonej spódniczce z tiulu, wykończonej złotą lamówką, uszytej przez Cindy specjalnie na ten występ.

Mama, Lindsey, Cindy i Babulka – wszyscy przyszli. Panowała ciemność, z wyjątkiem kręgów światła na scenie. Byłam chłodna i opanowana, nawet pogratulowałam poprzedniemu uczestnikowi eliminacji, który skończył tuż przede mną.

Zacząłam program awaryjny i wykonałam go bez zarzutu. Unosiłam się na czubkach palców i opadałam, wirowałam na scenie, wywijając rubinowym wachlarzem, który cisnęłam na bok, zanim zaczęłam się obracać. Stałam się Kitri: mój wzrok płonął, uwodziłam publiczność, jakbym puszczała oko nawet do najdalej siedzącego widza. Kiedy skończyłam występ, wyrzuciłam ramiona w górę, odrzuciłam głowę do tyłu, uśmiech niemal przepołowił mi twarz, a jedną rękę zalotnie oparłam na biodrze. Zatańczyłam, szczęśliwa i wolna.

I już było po wszystkim. Czułam ulgę i radość.

– Wykonałam wszystkie *fouettes* – powiedziałam producentom programu, stojącym za kulisami. – Jestem naprawdę szczęśliwa.

Resztę pamiętam jak przez mgłę. Zdobyłam główną nagrodę za balet – pięć tysięcy dolarów. Do dzisiaj w moim mieszkaniu wisi dyplom.

Kiedy ogłoszono zwycięzców w poszczególnych kategoriach, wszyscy zgromadziliśmy się za sceną. To był istny dom wariatów.

Podbiegł do mnie Gerald Arpino. Chwycił mnie i nie chciał puścić.

– Moje dziecko, moje dziecko – powtarzał, mocno mnie obejmując. – Musisz u mnie tańczyć! Musisz przejść do Joffrey!

Dookoła błyskały flesze, pojawiła się też ekipa KCET. Fotografia, na której Arpino tuli mnie do siebie, znalazła się na okładce lokalnej gazety telewizyjnej, w wydaniu zapowiadającym specjalną rocznicową emisję *Pokonując przeciwności*, oraz w kilku innych dziennikach. To była wielka chwila – Gerald Arpino obejmował mnie, chciał, bym u niego tańczyła.

Zaczynałam dostrzegać drogę wiodącą do świata, o którego istnieniu nawet nie marzyłam.



Gdy wygrałam konkurs, nabrałam pewności siebie i zaczęłam chodzić na przesłuchania do letnich programów przygotowywanych przez najbardziej prestiżowe zespoły baletowe.

Cindy uważała, że powinnam startować w tyłu kwalifikacjach, w ilu to tylko możliwe – zarówno po to, by zdobywać doświadczenie w stresujących sytuacjach wśród najlepszych tancerzy, jak i po to, by szefowie różnych zespołów mieli sposobność mnie obejrzeć i żywić nadzieję, że któregoś dnia do nich dołączę.

Po Spotlight Awards zaoferowano mi miejsce w zespołach Joffrey i American Ballet Theatre. Rebecca Wright, dyrektorka Programu Letniego w Teatrze, także była w jury. Musiałam jednak przejść przez kwalifikacje w obydwu zespołach, by oceniono, jak wysokie stypendium mi przyznać.

Zgłosiłam się również do przesłuchań przed sezonem letnim szykowanym w teatrze tańca z Harlemu, Pacific Northwest Ballet i San Francisco Ballet.

W subiektywnej hierarchii baletowego świata prowadzi American Ballet Theatre, znany jako Narodowy Zespół Ameryki. By znaleźć mu równych, trzeba przenieść się za ocean, do Opery Paryskiej, Baletu Królewskiego i baletu Teatru Bolszoi, baletu Kirowa, do La Scali, Narodowego Baletu Brytyjskiego, Królewskiego Baletu Danii i baletu ze Stuttgartu.

Na kontynencie amerykańskim pod względem prestiżu tuż za American Ballet Theatre plasuje się New York City Ballet. Sytuuje się nieco na uboczu, gdyż wystawia głównie charakterystyczne dzieła stworzone przez jego założyciela, George'a Balanchine'a, a nie spektakle z tradycyjnego repertuaru klasycznego. Następnym jest balet z San Francisco, po nim Balet Narodowy Kanady, Boston Ballet, Pacific Northwest Ballet, Joffrey i zespoły baletowe z Miami i Houston. Otrzymałam oferty od wszystkich zespołów, do których aplikowałam, z wyjątkiem New York City Ballet. Wszyscy oferowali mi stypendium. NYCB nawet nie chciał, bym weszła w skład zespołu. Byłam tym bardzo zmieszana. Cindy wychwalała moją „balanchinowską” figurę jako idealną dla baletnicy. Na przesłuchanie poszłam w bladuróżowym trykocie i różowych rajstopach. Z włosami zwiniętymi w kok na czubku głowy wyglądałam jak baletnica z pozytywki, o której marzy każda dziewczynka.

Przynajmniej tak myślałam.

Letnie programy baletowe mają zarabiać. Jeśli masz odpowiednią budowę i możesz pokryć koszty, dostajesz się z automatu. Kiedy już jesteś w zespole, talent i umiejętności decydują o tym, czy zatrzymają cię na cały rok i będziesz chodzić na zajęcia w danej szkole.

Zatem, gdy dostałam od nich odpowiedź odmowną, zaszokowała mnie opinia Cindy. Nie chcieli mnie, bo jestem czarna.

Kazała mi zatrzymać ten list, a ja posłusznie wsadziłam go do albumu ze zdjęciami.

Jednak inni mnie chcieli, a chyba najbardziej balet z San Francisco. Dyrektor zadzwonił do Cindy, by jej powiedzieć, że byliby ogromnie szczęśliwi, gdybym przyjęła ich ofertę. Zaoferowali mi także najhojniejsze wsparcie: nie tylko lekcje, ale też zakwaterowanie i wyżywienie oraz przelot na wybrzeże.

Podobało mi się także to, że w porównaniu z innymi byli bliżej domu. Po raz pierwszy miałam wyjechać tak daleko.

Wybrałam zatem ich i kilka tygodni później ruszyłam do San Francisco.

[2] Błogosławiony jesteś Ty, Haszem, nasz Bóg, Król świata, który uświęcił nas swoimi przykazaniami i nakazał nam zapalać świecę na szabat (hebr.).
Za: Sidur Szaarej Teszuwa, tłum. Ewa Gordon, Warszawa 2005.

Rozdział 5

Lato w San Francisco przeczy nazwie. Przyjechałam tam w czerwcu, ale było tak chłodno, że musiałam kupić grube, szare podkoszulki z nadrukowaną nazwą miasta, żeby nie dygotać z zimna. Równie dobrze mogłabym sobie nabazgrać na czole „turystka”. Nie dbałam o to. Wolałam chodzić w głupkowatych ciuchach, niż marznąć. Twarz miałam mokrą od przypominającej watę mgły, wystarczająco gęstej, by przysłonić zatokę. Spowijała miasto w nocy, a ulatniała się rankiem, gdy wychodziło słońce.

Miałam piętnaście lat i denerwowałam się, kiedy miałam sama wychodzić z domu. Wspominałam mój pierwszy lot samolotem, rok wcześniej, do Dakoty Południowej, gdzie gościnnie tańczyłam w *Dziadku do orzechów*.

Charles Maple, mój niegdysiejszy partner w studiu Cindy i były solista mojego wymarzonego American Ballet Theatre, zaprosił MNIE, bym tańczyła z nim w nowej wersji *Dziadka do orzechów*. Byłam podekscytowana! Pierwsze występy na wyjeździe były dla piętnastolatki wielkim wyzwaniem, choć muszę przyznać, że bardziej podniecała mnie myśl o podróży samolotem. Miesiącami pracowałam z Charlesem, ucząc się przygotowanej przez niego choreografii. Kiedy dolecieliśmy do Dakoty Południowej, która była dla mnie tak obca, jak później Pekin czy Genua, udaliśmy się do studia, gdzie czekało około stu dziewcząt. Wszystkie były białe. Nie zdziwiło mnie to. Byłam gotowa zacząć ćwiczenia. Dziewczęta i ich rodzice dziwnie na mnie patrzyli. Nie rozumiałam, dlaczego.

Charles odciągnął mnie na bok.

– Nie denerwuj się – szepnął – ale musisz zatańczyć, jakbyś rywalizowała o rolę Klary ze wszystkimi dziewczętami w tym pokoju.

Byłam zmieszana i... lekko dotknięta. Co ja tu robię? Przecież przyjechałam zatańczyć partię, którą ćwiczyłam. Charles objaśniał choreografię, tancerki go naśladowały. Udawałam, że ćwiczę ją po raz pierwszy.

Po wyczerpującym dniu „przesłuchań” poszliśmy z Charlesem na kolację. Wyjaśnił mi, że chociaż wie, iż jestem utalentowana i zatańczę Klarę zgodnie z jego intencjami, musiał mnie tu przyprowadzić, by pokazać im wszystkim, jaka wspaniała jestem na żywo. Inaczej nigdy by nie przełknęli faktu, że mam inny kolor skóry.

W Dakocie Południowej wystąpiłam jako Klara w dwóch przedstawieniach. Pod koniec dnia nawet dla najbardziej sceptycznych tancerek i ich rodziców stało się jasne, że zasługuję na tę rolę. Wszyscy zrobili się mili, przyjacielscy i rozwodzili się nad moim talentem. Jakies dziesięć lat później dowiedziałam się, że Charles bardzo bał się tego wyjazdu. Dużo ryzykował, przywożąc czarną dziewczynę do miasta, które mogło okazać się bardzo rasistowskie. Dzisiaj uważam, że warto było zaryzykować. Udowodnienie ludziom, którzy mogli nawet nie być świadomi własnych uprzedzeń i wątpliwości, czy z powodu koloru skóry jestem im równa, że nie mają racji, było ważniejsze niż drobny dyskomfort, jaki mogłam odczuwać.

Ale podróż do Dakoty Południowej trwała tylko kilka dni. W San Francisco miałam zostać sześć tygodni.

Przyjaciółka Cindy, Kate, towarzyszyła mi podczas godzinnego lotu na wybrzeże. Następnie zostawiła mnie w akademiku uniwersytetu San Francisco, gdzie mieszkali uczniowie letnich kursów baletu San Francisco, i wróciła do Los Angeles.

Ciągnąc za sobą szarą walizkę, znalazłam mój pokój, a na jego drzwiach odręczny napis: „Jestem Kayako; proszę o ciszę i spokój, dopóki cię nie

poznam”.

Poczułam ulgę. Bardzo mi to odpowiadało.

Miałyśmy dzielić pokój przez całe lato i Kayako naprawdę przypominała mnie pod wieloma względami. Była czarno-japońska. Dorastała w Lakewood w stanie Waszyngton, niewielkim mieście w pobliżu Tacoma. Czuła, że celowo umieszczono nas razem. Ile jest czarnych dziewczynek w balecie? Niezależnie od tego, czy ktoś to zaplanował, czy był to przypadek, byłam zadowolona. Kayako stanie się jedną z moich najbliższych przyjaciółek.

Była dużo wyższa ode mnie, trochę delikatniejszej budowy, a jej skóra miała odcień bardziej kremu niż kakao. Miała wspaniałą grzywę dziko zmierzwionych, kręconych, smolisto czarnych włosów. Następnego dnia, na śniadaniu w stołówce akademika, poznałyśmy Jessicę, dziewczynę, z którą się wkrótce zaprzyjaźnię. Była Amerykanką pochodzenia azjatyckiego, podobnie jak Kayako przewyższała mnie wzrostem, i to sporo – o jakieś trzydzieści centymetrów. Wyglądała na o wiele starszą, miała zwariowane poczucie humoru i rozśmieszałyśmy się nawzajem, opowiadając stare kawały i pałaszując batoniki. Zaprzyjaźniłam się z nią bliżej niż z Kayako.

Razem odkrywałyśmy San Francisco, poświęcając na to cały czas, który mogłyśmy spędzić poza studiem baletowym. Obchodziłyśmy nadbrzeżne centrum Pier 39, rzucając piłeczkami do celu, by wygrać wypchane zwierzątka i zjeść watę na patyku w Dippin' Dots. Pojechałyśmy autobusem do parku rozrywki Great America i jeździłyśmy kolejkami górskimi o dziwnych nazwach, na przykład FireFall. Poszłyśmy do kina na *Koszmar następnego lata*, buszowałyśmy wśród rajstop i trykotów w sklepie dla tancerzy Capezio i wędrowałyśmy po Union Square, gapiąc się na wystawy z drogimi ciuchami, na które nigdy nie będzie nas stać.

Wszystkie trzy byłyśmy sobie bardzo bliskie, ale Kayako wydawała się dojrzała niż ja i Jessica. W odróżnieniu ode mnie od razu znalazła chłopaka, także uczestnika programu letniego. Ja byłam wciąż zbyt niezdarna nawet na wakacyjną miłość. Często wychodziłam z pokoju, żeby

mogli nacieszyć się sobą. Szłam do Jessiki albo do pokoju telewizyjnego.

Spędzałyśmy razem prawie cały wolny czas, natomiast w ciągu dnia niewiele się widywałyśmy. Nie miałyśmy żadnych wspólnych zajęć. Chociaż trenowałam krótko, zapisano mnie na najwyższy poziom, do klasy z najbardziej zaawansowanymi. Chciała tego Lola de Avila, jedna z dyrektorek szkoły.

Na wszystkich kursach baletowych nowi uczniowie muszą przejść testy, pozwalające nauczycielom zakwalifikować ich na właściwy poziom. Przypisanie odpowiedniego miejsca dziesiątkom studentów to nie lada zadanie. Nauczyciele zwracają uwagę przede wszystkim na budowę ciała i sposób poruszania się. Z długimi nogami wyginającymi się do tyłu i dużymi stopami miałam ciało idealne do baletu. Poruszałam się płynnie i zdecydowanie. Nauczyciele – i tych kursów letnich, i kolejnych – dostrzegli to i zakwalifikowali mnie do klasy najbardziej doświadczonych uczniów. Nie mieli czasu, by ocenić moje mocne i słabe strony, ale widzieli, że to, co potrafię, wykonuję bardzo precyzyjnie.

Kursy letnie są ważnym szczeblem w karierze młodych tancerzy, aspirujących do tego, by pewnego dnia wejść w skład American Ballet Theatre, dostać się do Joffrey czy innego prestiżowego zespołu baletowego w Stanach Zjednoczonych. Pod koniec kursu zwykle wybierana jest garstka najlepszych, którzy otrzymują ofertę uczęszczania do szkoły przez cały rok, z nadzieją, że pewnego dnia staną się tak dobrzy, iż dołączą do stałego zespołu.

Myślę, że już zanim zaczęłam zajęcia, Lola de Avila i dyrektor artystyczny baletu San Francisco byli zdecydowani zaproponować mi roczną naukę. To wyjaśniałoby, czemu byli tacy hojni i dali mi pełne stypendium na kurs letni, pokrywające nie tylko chesne, zakwaterowanie i utrzymanie, ale też opłaty za lot do i z San Francisco. Miejsce w ich szkole czekało na mnie.

Sława cudownego dziecka mnie wyprzedzała. Jednak prawda była taka, że mimo zdolności miałam ogromne braki. Zaczęłam bardzo późno i byłam

taka zielona, że nie znałam wielu określeń, kroków, a nawet tytułów baletów.

Od pierwszego dnia zajęć było jasne, że muszę się wiele nauczyć. Inni studenci, przeważnie biali, niektórzy z Azji, z Rosji, Japonii i Hiszpanii, ale też z małych miast i miasteczek Ameryki, tańczyli całe życie. I było to widać.

Mieliśmy zajęcia z *pas de deux* i wariacji, w których trzeba było tańczyć solówki ze znanych baletów, poznawaliśmy różne interpretacje. Pozostali tancerze wielokrotnie występowali w wariacjach, których się uczyliśmy, ale ja większości z nich nie wykonywałam ani razu.

Zaczęliśmy od *Śpiącej królowny*. Naturalnie znałam klasyczną bajkę, w której królowna Aurora, przeklęta przez złą wróżkę, ma ukłuć się w palec i umrzeć w dniu szesnastych urodzin. Ratuje ją Wróżka Bzu, która zmienia klątwę i sprawia, że królowna nie umrze, lecz zaśnie. Pocałunek księcia obudzi Aurorę.

Nie znałam jednak baletowej wersji Czajkowskiego, powolnych *adagio*, zamaszystych, szybkich skoków *grands jetés*. Nie widziałam wcześniej baletu i nie znałam żadnych wariantów choreograficznych.

Szybko odkryłam, że brak mi wytrzymałości. Nie byłam przyzwyczajona do codziennego, wielogodzinnego stania i tańczenia w pointach, całe ciało mnie bolało. Późnym popołudniem, kiedy kończyliśmy zajęcia, miałam czerwone i spuchnięte nogi. Utykając, wracałam do pokoju, ledwo mogłam się ruszać, nie mówiąc o wykonaniu kolejnego *plié*. Jessica przychodziła do naszego pokoju i razem z Kayako napełniałyśmy wodą z lodem nieduże kosze na śmieci i moczyłyśmy stopy. Nauczyciele zachęcali mnie, wspierali, pielęgowali – a najbardziej Lola de Avila.

W San Pedro mieszkało dużo Latynosów. Rodzice lub dziadkowie wielu moich przyjaciół i kolegów ze szkoły przyjechali do Kalifornii z Meksyku lub Ameryki Środkowej. Jednak nigdy wcześniej nie stykałam się z Hiszpanami. Zakładałam, że Lola, pochodząca z Saragossy w Hiszpanii, będzie przypominała moich sąsiadów: ciemna cera i kruczoczarna grzywa.

Ona jednak wcale tak nie wyglądała.

Miała bardzo jasną karnację, orle rysy i krótką brązową czuprynkę. Była drobna i mówiła z pięknym, śpiewnym akcentem. Tańca zaczęła ją uczyć mama, Maria de Avila, która tańczyła w *Sylfidzie*, w *Giselle*, partnerowała Rudolfowi Nurejewowi i uczyła w hiszpańskim Baletcie Narodowym.

Kiedy przyjąłem ofertę stypendium od San Francisco Ballet Company, Lola zadzwoniła do Cindy i do mnie. Mówiła, jak bardzo się cieszy, ona sama i inni dyrektorzy, że przyjeżdżam, opowiadała, czego mam się spodziewać na miejscu. Takie szczegóły większość szkół przekazuje listownie. To, że sama dyrektorka poświęcała czas, by telefonować i osobiście mnie informować, było czymś wyjątkowym, schlebiało mi i koło moje obawy.

Lola zachowywała się podobnie przez całe lato, często mnie przytulając, obejmując i prowadząc. Była wspaniałą nauczycielką, zawsze rozumiała, co mogę wiedzieć, a czego nie, znajdowała chwilę na wyjaśnianie i dawała mi czas na przyswojenie nowych wiadomości.



Petit allegro to seria drobnych skoków wymagających szybkiej pracy stóp. Różni się od *grand allegro*, gdzie skacze się wysoko i szeroko rozpościera nogi. Wykonuje się je na kilka sposobów, od podstawowych do kombinacji skomplikowanych kroczków. Wielu kroków – zarówno podstawowych, jak i zaawansowanych, nie uczyłam się przedtem i stykałam się z nimi po raz pierwszy.

Na zajęciach zwykle podpatrywałam i naśladowałam innych, bardziej zaawansowanych uczniów, i choć nie znałam kroków, które wykonywałam, szło mi sprawnie. Jednak na lekcjach z *petit allegro* gubiłam się. W końcu stanęłam z boku i przyglądałam się, bo nie byłam w stanie dotrzymać kroku innym. Po raz pierwszy zawiodły mnie zdolności.

Wtedy pojawiła się Lola, delikatnie wzięła mnie za rękę i zaprowadziła

na przód klasy. Stałyśmy obok siebie.

– To jest *brisé* – szeptała mi do ucha, opisując szybkie trzepotanie jednej nogi przed drugą podczas wyskoku w bok i rozkładając *petit allegro* na drobne elementy, bym mogła uchwycić i opanować ten ruch.

– To jest *temps de cuisse* – mówiła, pokazując ruch, ustawiając jedną stopę przed drugą, skacząc z obydwu stóp i lądując na jednej.

Wcześniej z powodu mej chorobliwej nieśmiałości zapewne zeszywniałabym na środku klasy, jeśli nie ćwiczyłam wcześniej i nie wiedziałam, czego dotyczy lekcja. Jednak debiutantka, która kuliła się ze strachu, gdy Cindy ustawiała ją przed całą grupą w Klubie dla Chłopców i Dziewcząt, by ją rozciągać i wyginać, już zniknęła. Gdy Lola szeptała mi do ucha: *soubresaut, échappé sauté* – trwała w uniesieniu, jakbym łamała kod, który strzeże fantastycznych skarbów. Słuchałam i obserwowałam, uczyłam się i odtwarzałam.

Po jakichś dwóch tygodniach zaczęłam od czasu do czasu prywatnie spotykać się z Lolą w jej gabinecie. Było jeszcze za wcześnie, by wystosować oficjalne zaproszenie, lecz chyba chciała, żebym zaczęła się zastanawiać, jak by to było uczyć się w tej szkole cały rok. To była prawdziwa szkoła, z angielskim, historią, fizyką, chemią i matematyką, ale te przedmioty były tylko uzupełnieniem baletu. Uczyliśmy się *fouettes* i równań, *releves* i porównań.

Lola nie była jedyną nauczycielką, która szczególnie się mną zainteresowała. Nauczyciel *partnerowania* wykorzystywał mnie jako modelkę podczas zajęć, unosząc, podtrzymując i obracając mnie przed innymi tancerzami, podobnie jak czynił Charles.

– Widzicie! – krzyczał barytonem, unosząc mnie wysoko w górze na jednej ręce, a ja wyciągałam się jak strzała. – Tak wygląda klasyczna linia! Rozciągnąć się! Zachować równowagę!

W balecie najbardziej liczy się wygląd. Może to i powierzchowne czy błahe, ale w dziedzinie sztuki, która zasadza się na patrzeniu, a także wdzięku i giętkości, jest naprawdę ważne.

Można mieć wszelkie cechy fizyczne nieodzowne w balecie, perfekcyjnie wykonywać każdy ruch, ale jeśli głowa nie jest proporcjonalna w stosunku do reszty ciała albo oczy są zbyt blisko osadzone, to właśnie może zadecydować o przyjęciu do zespołu lub odrzuceniu. To, co może nie liczyć się w studiu, na scenie rzuca się w oczy, gdy balet tańczy na przykład scenę ogrodową z *Korsarza*.

Żeby zostać baleriną, trzeba łączyć wiele cech: talent, siłę, umiejętność opanowania choreografii, ale też włączenia wewnętrznego światła podczas występu. Posiadanie odpowiedniej kombinacji tych przymiotów przesądza o różnicy między artystą, który oddaje niuanse światła, używając akwareli, a tym, który maluje, idąc na ilość.

Chyba niewiele osób zdaje sobie z tego sprawę.

Miałam niedużą głowę, długie nogi, stopy jak kajaki, zwarty tułów – niezbyt dobrze jak na wzorce urody. Jednak na scenie, płynąc przez wyidealizowaną wioskę w *Giselle* czy tańcząc na dworze w *Rajmondzie*, byłam ideałem.

Nadszedł czas – i to wcześniej, niż sama zaczęłam zdawać sobie z tego sprawę – kiedy powiedziano mi, że jestem za ciężka, mam za duże piersi, za ciemną skórę.

Cindy zawsze mi przypominała, że gdy Balanchine opisywał podręcznikową balerinę, mówił o mnie. Że jestem doskonała. I podczas złotych lat, zanim osiągnęłam dojrzałość, byłam doskonała.



Wyglądało na to, że innym dziewczętom nie przeszkadza to, że Lola poświęca mi szczególną uwagę. Byłam początkującą tancerką, one były dużo bardziej zaawansowane, górowały nade mną pod względem wiedzy i doświadczenia, nie widziały we mnie konkurencji.

W kursach letnich uczestniczyło jakichś dwustu uczniów, w tym około osiemdziesięciu chłopców. Często wychodziliśmy w grupie, razem

jadaliśmy śniadanie, lunch i kolację, niekiedy hałaśliwą gromadą włączyliśmy się ulicami San Francisco, ciesząc się chwilową wolnością z dala od domu i od baletu.

Było jednak kilka dziewcząt, które trzymały się razem i nie zadawały z innymi. Nie były złośliwe, tylko tworzyły własny świat. W San Pedro nigdy nie należałam do grona lubianych, wyluzowanych dzieciaków, a osoby trzymające się na dystans spotykało się też w balecie, zwykle rozbawionym, błyszczącym i rozplotkowanym.

Wydawały się bardziej dojrzałe niż ja i moje przyjaciółki, rozmawiały o chłopakach i minionych kursach letnich, w których uczestniczyły. Ja nie miałam na ten temat nic do powiedzenia. W weekendy bawiły się całymi nocami, piły piwo i wino, które stawiali im starsi chłopcy. A ja i moje przyjaciółki zamawiałyśmy pizzę, opowiadałyśmy głupie dowcipy i przed jedenastą byłyśmy już w łóżkach. Jednak dla wszystkich album Alanis Morissette *Jagged Little Pill* był przebojem lata: „Nie sądzisz, że to ironia losu?”.

Dzwoniłam do mamy i do Cindy kilka razy na tydzień, opowiadałam im o nowych przyjaźniach, o tym, czego się nauczyłam. Na weekend 4 lipca mama przyjechała mnie odwiedzić i przywiozła wszystkich moich braci i siostry.

Z jakiegoś powodu – choć od dawna mama i on nie byli razem, a stosunki między nimi były dosyć napięte – przyjechał i Robert. Myślę, że dlatego, iż Cameron także miał odbyć tę długą podróż samochodem i Robert chciał nad nim czuwać. Poza tym zawsze dobrze się ze mną dogadywał, przynajmniej lepiej niż z resztą rodzeństwa. Przyjechali w piątek, spędziliśmy weekend, zwiedzając Fisherman's Wharf i Haight-Ashbury. Cameron, wówczas niespełna ośmioletni, zatrzymał się, by zagrać w szachy z jakimiś starszymi panami. Był zmyślny i cudowny.

W niedzielę, zanim ruszyli w sześciogodzinną drogę powrotną do San Pedro, zatrzymaliśmy się w naleśnikarni na śniadanie.

– Wiesz – zaczęła mama z irytacją w głosie – dyrektorka szkoły była

zaskoczona moją obecnością w twoim życiu. Myśleli, że opiekuje się tobą wyłącznie Cindy.

Pokiwałam głową, skupiona na jajecznicy.

– Widziałam się niedawno z Jackie i jej mamą – ciągnęła.

Jackie, moja najlepsza przyjaciółka ze szkoły, nie spotykała się ze mną zbyt często, od kiedy zaczęłam naukę w domu i pochłonałam mnie taniec.

– Były takie podniecone, że przyjęli cię na te kursy. Chcą, bym koniecznie im opowiedziała, co u ciebie, jak wrócę. – Pociągnęła łyk soku pomarańczowego. – Wiesz, Misty, wszystkim nam ciebie brakuje – mówiła dalej. – Kiedy skończy się lato, musimy pomyśleć o tym, byś wróciła do domu, zamieszkała ze mną.

Potaknęłam. Nie dlatego, że się z nią zgadzałam, lecz dlatego, że nie chciałam o tym rozmawiać. Pragnęłam zakończyć tę rozmowę, jeszcze zanim się zaczęła. Ugryzłam tost. Był suchy i bez smaku.

Przeleciały kolejne trzy tygodnie i kurs się skończył – szybciej, niżbym sobie tego życzyła. Ostatniego dnia wezwano mnie do gabinetu Loli.

Siedziała przed rządami drewnianych półek, zastawionych książkami i fotografiami. Obok niej siedział Helgi Tomasson, dyrektor artystyczny baletu San Francisco. Zaczęła Lola.

– Misty, wiesz, że zrobiłaś na nas ogromne wrażenie – powiedziała łagodnie. – Uważamy, że możesz zostać wielką tancerką, ale potrzeba ci ciągłego treningu i doskonalenia techniki. Chcielibyśmy, abyś przez cały rok uczyła się w naszej szkole.

Helgi milczał. Widziałam go tylko kilka razy, kiedy przychodził do studia i obserwował tancerzy. Nigdy nie zostawał dłużej niż kilka minut i nigdy się nie odzywał. Aż do teraz.

– Jeśli będziesz się przykładać do pracy – powiedział – pewnego dnia znajdziesz się w naszym zespole.

Zaproszenie nie było dla mnie niespodzianką, ale byłam do głębi poruszona i sprawił mi wielką przyjemność. Zdołałam wydusić podziękowanie i obiecałam, że po powrocie do domu porozmawiam z mamą

i nauczycielką.

Unosząc się nad ziemią, wyfrunęłam z gabinetu. Uskrzydlała mnie ich wiara we mnie. Kiedy wróciłam do studia, zaczęłam się rozciągać przed zajęciami, jak zwykle. I wtedy dotarło do mnie, że inni coś poszeptują po kątach.

Wszyscy wiedzieli, że Lola mnie wezwała – i co to oznacza. Podobne zaproszenie dostały tylko dwie inne dziewczyny i kilku chłopców. Któraś z dziewcząt, na tyle głośno, bym mogła usłyszeć, wyraziła to, co mruczały inne.

– Czemu właśnie ją wybrali? Nie ma wystarczającego przygotowania. Każdy to widzi.

Kontynuowałam rozciąganie, ale krew napłynęła mi do głowy. Byłam zmieszana, a zwątpienie we własne możliwości, które mnie prześladowało w odniesieniu do niemal wszystkiego z wyjątkiem tańca – zaczęło się wkradać do mej duszy.

„Czy na pewno na to zasługuję? – zadawałam sobie pytanie. – Tyle innych dziewcząt ma większe doświadczenie, są o wiele lepsze. Czemu ja?”. Chciałam uciec, wracać do pokoju, zamknąć drzwi i w samotności wytańczyć cały smutek, tak jak robiłam w domu, kiedy byłam młodsza. Ale dzień dopiero się zaczynał. Miałam przed sobą lekcje baletu w towarzystwie tych samych dziewcząt, które z taką zazdrością burczały za moimi plecami. Nie mogłam uciec. Musiałam wytrzymać krytykę oraz ból i nie poddawać się.

Pod koniec dnia robiłyśmy wspólne zdjęcie. Nie czułam się dobrze, lecz stanęłam pośrodku i dzielnie się uśmiechnęłam.



Czułam się jeszcze gorzej, bo wiedziałam, że niektóre z dziewczyn oczekujących, iż zostaną zaproszone do szkoły na cały rok, postawiły sobie za życiowy cel to, że pewnego dnia zostaną zawodowymi tancerkami

w balecie San Francisco. I wiedziałam, że nie przyjmę rocznego stypendium – jeszcze zanim oficjalnie mi to zaproponowano. Nawet nie zamierzałam wracać do San Francisco następnego lata.

To nie zależało ode mnie. Mama kilka razy powtarzała, że nie może się doczekać, kiedy wrócę do południowej Kalifornii, a Cindy, choć spodziewała się, że przyjmę propozycję szkoły baletowej w San Francisco, utrzymywała, że po powrocie do domu muszę jeszcze sporo z nią poćwiczyć. Nie wierzyła, że w dużej szkole baletowej poświęcę mi tyle samo uwagi i że moja technika ucierpi, jeśli nie będę miała czasu doskonalić i doprowadzić do perfekcji najdrobniejszych detali tańca.

Chociaż wiedziałam, że zespół baletu San Francisco był jednym z najlepszych w kraju – jeśli nie na świecie – i uwielbiałam oddanie i troskę, jaką okazywała mi Lola i wielu tamtejszych nauczycieli, pogodziłam się z decyzją, jaką podjęły mama i Cindy. Moim celem był American Ballet Theatre.

Na samym początku letniego kursu w San Francisco Jessica i ja postanowiłyśmy, że za rok obie postaramy się trafić na letnie kursy Teatru. „Do zobaczenia” – napisałyśmy sobie na pożegnanie w pamiątkowych albumach ze zdjęciami.

American Ballet Theatre stał się moim celem, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Palomę Herrerę tańczącą Kitri na przedstawieniu *Don Kichota* w Dorothy Chandler Pavilion w Los Angeles. A uczestnictwo w letnich kursach Teatru mogło być ścieżką prowadzącą do celu.

Ostatniego wieczoru w San Francisco wszystkie zgromadziłyśmy się w zarezerwowanym specjalnie dla nas pokoju. Zamówiłyśmy pizzę i ostatni raz razem słuchałyśmy Alanis Morissette. Siedziałyśmy tak całą noc. Jessica wręczyła mi karteczkę, na której napisała, że kiedykolwiek będzie jadła watę na patyku albo lizaki, zawsze będzie myślała o mnie.

Smutno mi było wyjeżdżać. Posmakowałam niezależności i okazała się słodka. Nawiązałam więzi z wieloma dziewczętami, z niektórymi nawet się zaprzyjaźniłam. I ogromnie się rozwinęłam jako tancerka, bo zajęcia

znacznie przewyższały to, co dawało San Pedro.

Wiedziałam też, że między mamą a Cindy nie układa się najlepiej. Mama nalegała, żebym ponownie z nią zamieszkała, i to jej pragnienie nasilało się z każdym tygodniem. Cindy również na mnie naciskała, podkreślając, jak bardzo potrzebuję jej wskazówek i opieki, by przygotować się do wielkiej kariery, która otwierała się przede mną. Wracałam do domu, w którym panowała napięta atmosfera.

Kiedy następnego dnia po południu samolot wylądował na międzynarodowym lotnisku w Los Angeles, czekała na mnie Cindy. Wskoczyłam do samochodu i całą drogę puszczałam CD z Alanis Morissette.

Rozdział 6

Na weekend pojechałam do domu w Sunset Inn. Na okrągło słyszałam tam jedno określenie: pranie mózgu.

– Chodź tu, Misty! – wyli Doug i Chris. – Popcorn gotowy, mecz się zaczyna! – Bracia wiedzieli, że nigdy nie przepadałam za sportem.

– Nie, dzięki – odpowiadałam, ściskając w ręce magazyn „Pointe”. – Pójdę do pokoju mamy i poczytam.

– Aha... – Doug z ironicznym uśmiechem porozumiewawczo spogląda na Chrisa. – Nawet na minutę nie możesz oderwać się od baletu? Ta kobieta zrobiła ci pranie mózgu.

Kiedy indziej Chris przyrządził michę spaghetti z sosem mięsny. Używał mielonej wołowiny. Wolałam indyka. Erica patrzyła na mnie, marszcząc brwi.

– Wcześniej nie krzywiłaś się na mieloną wołowinę – komentowała zirytowana. – Pewnie wolałabyś kawior? Cindy sprawiła, że żyjesz w nierealnym świecie. Ale u niej pewnie jesz, co chcesz – dorzucała, ostrząc nóż przed ostatecznym ciosem. – Choć właściwie robisz jej szkole taką reklamę, że pewnie koszty się zwracają.

Nie zwracałam uwagi na te wredne komentarze. Żarty i przekomarzanie się było u nas na porządku dziennym. Jednak stawało się jasne, że obgadują mnie za plecami w ciągu tygodnia, kiedy mieszkam u Cindy.

Po powrocie do domu zdawałam sobie sprawę, że mama uważa, iż woda sodowa uderzyła mi do głowy i dlatego nie chcę jeść tego, co ona kupuje, że

zadzieram nosa w zatłoczonym pokoju motelowym. Myślę, że opowiadała rodzeństwu, iż Cindy stara się mi wmówić, iż jestem od nich lepsza.

Bracia i siostry nadal trzymali się bardzo blisko i byli wobec siebie opiekuńczy. Chwalili się kolegom stypendium, które otrzymałam, i moimi występami w różnych miejscach. Kiedy tylko mogli, przychodzili na każde przedstawienie i chyba nikt – z wyjątkiem mamy – nie oklaskiwał mnie goręcej niż oni. Jednak niechęć do Cindy narastała w nich. Nie sądzę, by byli zazdrośni o moje nowe życie. Mam wrażenie, że martwili się, iż ktoś mnie wykorzystuje, i przejmowali tym, że mieszkam osobno, z kobietą, która – jak czuli – nie szanuje ani ich, ani mamy. Bali się, jak to wpłynie na naszą rodzinę.

Oczywiście byłam przeciwnego zdania. Znałam określenie „pranie mózgu”, a moja codzienność z Cindy i Patrickiem zupełnie tego nie przypominała. Natomiast było prawdą, że zrobiłam szkole Cindy olbrzymią reklamę, otrzymując tyle pochwał w artykułach prasowych. Cindy chętnie przyznawała, że jestem jej gwiazdą. Niekiedy sprzedawała nawet dwa tysiące biletów na szkolne przedstawienia, na widowni zasiadali wielbiciele baletu i ciekawscy – a wszyscy przychodzili obejrzyć cudowne dziecko odkryte w Klubie dla Chłopców i Dziewcząt i rozkwitłe w robotniczym San Pedro.

Myślę jednak, że wszystko to było szczęśliwym, niezaplanowanym dodatkiem, nie zaś celowym działaniem. Bradleyowie pomogli wydobyć mój talent na światło dzienne i go rozwinąć. Nie traktowali mnie jak uczennicy czy projektu, lecz jak córkę. Nadal byłam nieśmiała, ale dzięki ich wsparciu wiedziałam już, że mam coś do powiedzenia. Choć bardzo kochałam rodzinę, nie tęskniłam za chaosem i niepewnością jutra, jakie nam towarzyszyły. Podobało mi się, że mam własny pokój, nawet jeśli dzieliłam go z małym chłopcem. Lubiłam zapach ciasta z brzoskwiniami i cytrynowego placka, pieczonych przez Patricka. Cieszyło mnie, że nie muszę się martwić tym, co będę jadła i gdzie będę spała. Doceniałam to, że mogłam po prostu być dziewczynką, która kocha taniec. Jednak bracia

i siostry tego nie rozumieli. Wszyscy trzymali stronę mamy.



Z San Francisco wróciła baletnica inna niż ta, która tam wyjechała, o wiele lepiej wykształcona i subtelniejsza. Jednym z nowych kroków, które poznałam na kursie letnim, był *temps de cuisse*, o którym wcześniej nawet nie słyszałam, o próbowaniu nie wspominając.

Na jednej z pierwszych lekcji po powrocie do centrum w San Pedro wykonałam je bezbłędnie. Cindy była zachwycona. Zawołała Patricka, prosiła, bym powtarzała ruch raz za razem, pokazując, czego się nauczyłam. Kiedy szybowałam nad podłogą, moje *glissade* było płynniejsze. Gdy robiłam *grand jeté*, skakałam wyżej, szerzej wyrzucałam nogi. Podczas *entrechat* – wyskoków z krzyżowaniem nóg – trzepotałam nimi niczym ptak skrzydłami i czułam się jak wróżka zawieszona w powietrzu. Cindy była w siódmym niebie.

Ja też. Zaczynałam jednak czuć, że wyrastam ponad Cindy, ponad jej studio i jej nauki – nawet ponad jej oddanie. Jednocześnie moje stosunki z mamą stawały się coraz bardziej napięte.

– Zachowują się nie w porządku! – krzyczała do słuchawki, dzwoniąc do mnie w tygodniu. – Starają się oderwać cię ode mnie! Jestem twoją matką! Masz rodzinę! Nie potrzebujesz ich!

– Nie chcą mnie oderwać! – odwrzaskiwałam. – Po prostu mi pomagają!

Za każdym razem, kiedy rozmawiałyśmy w ciągu pierwszych tygodni po moim powrocie z San Francisco, wyglądało na to, że odgrywamy własny, okrutny spektakl. Mama ryczała do telefonu, że ci Bradleyowie to nic dobrego i nastawiają mnie przeciwko niej. Przekrzykiwałam ją, stając w ich obronie, a potem, czując się rozdarta i wykończona, odkładałam słuchawkę i cała we łzach biegłam do siebie do pokoju.

W końcu, kiedy byłam w weekend u mamy w motelu, nadszedł moment, którego tak strasznie się bałam.

– Wracasz do domu – powiedziała zdecydowanie. Wyjaśniła, że to rozsądne. Skoro dostałam pełne stypendium na letni kurs do baletu San Francisco, a potem otrzymałam propozycję nauki w tamtejszej szkole przez cały rok, to znaczy, że już nie potrzebuję Cindy. Jestem wystarczająco dobra i wystarczająco dużo się nauczyłam, żeby na własną rękę szukać lepszych okazji. Oprócz tego, dodała mama, prawdopodobnie w ciągu tych sześciu tygodni w San Francisco nauczyłam się więcej niż Cindy kiedykolwiek będzie mogła mnie nauczyć. Mam wrócić do szkoły średniej w San Pedro. Mama już zadzwoniła do wydziału edukacji, żeby zawiadomić szkołę, że znowu będę uczęszczać na lekcje. Pomyślała o wszystkim. Nawet planowała moją dalszą naukę tańca. Elizabeth Cantine – instruktorka czirliderek, która jako pierwsza zachęciła mnie do zajęć z Cindy i zapłaciła za mój trykot i pointy, kiedy poszłam do studia Cindy – stała się częścią życia mamy w takim samym stopniu, jak mojego. W miarę jak pogarszały się stosunki mamy i Cindy, mama coraz częściej dzwoniła do Liz, która stała się pośredniczką między nimi dwiema, przekazywała im wzajemne obawy i uczucia, usiłując rozpędzić gromadzące się chmury. Kiedy mama podjęła decyzję, że wracam do domu, poprosiła Liz, by znalazła mi nową szkołę baletową, do której mogłabym chodzić popołudniami i w weekendy. Miałam od razu zacząć naukę w centrum baletowym Lauridsen – małej szkole tańca w Torrance.

Mama miała wszystko opracowane, ale ja nawet nie chciałam tego słuchać. Ani tego, że poświęciła czas, by znaleźć mi nową szkołę, abym nie musiała rezygnować z tańca. Ani tej prawdy, że Cindy prawdopodobnie nauczyła mnie wszystkiego, czego mogła. Ani tego, że bliskość moja i Cindy budziła w mamie najgłębsze obawy, że traci dziecko – tak samo, jak wcześniej straciła innych, których kochała. Wiedziałam tylko, że nie chcę opuszczać Cindy. Dla mnie Cindy nierozzerwalnie łączyła się z tańcem. Wyobrażałam sobie, że bez niej moja kariera będzie skończona.



Mama zadzwoniła do Cindy od razu w niedzielę wieczorem, przekazując swą decyzję. Następnego dnia mogłam jeszcze iść na zajęcia do jej centrum, ale oczekiwała, że potem Cindy odwiezie mnie do domu. Jeśli to kłopot, to mama, która już miała samochód, sama po mnie przyjedzie.

I to by było na tyle. Żegnam.

Tej nocy kręciło mi się w głowie i wszystko pulsowało. Leżąc na kanapie, rozmyślałam o pokoju, który dzieliłam z Wolfiem. Na ścianie wisiała karykatura zrobiona przez ulicznego rysownika – jedna z tych, do których pozujesz, a po chwili otrzymujesz portret w niczym cię nieprzypominający. Cindy miała takie podobizny Wolfiego i moją.

„Ciekawe, czy Cindy pozwoli mi ją zabrać” – myślałam, a łzy napływały mi do oczu.

Nie zawracałam sobie głowy przebieraniem się w piżamę. Położyłam się, jak stałam. I usnęłam, wiedząc, że już nigdy nie pójde spać w pokoju, w którym ukołysze mnie do snu spokojny, miarowy oddech Wolfiego.

Następnego ranka Cindy podjechała po mnie pod motel. W samochodzie sprawiała wrażenie ponurej. Poczułam strach.

– Misty, słyszałaś kiedyś o ustanowieniu samodzielności? – spytała.

Wiedziałam, że to słowo oznacza wolność. Ale do czego zmierzała?

– Wiele dzieci, które zajmują się sztuką, staje się samodzielne – wyjaśniła. – Starają się to osiągnąć, aby uniezależnić się od rodziców, kiedy sądzą, że potrafią podejmować trafniejsze niż oni decyzje dotyczące kariery i dalszego życia.

Poczułam silniejsze bicie serca. Pojawiło się światółko, ale nie byłam pewna, co dostrzegam w jego blasku.

– Nie jedziemy na lekcje – dodała Cindy łagodnym głosem. – Chcę, byś poznała mego znajomego.

Podjechałyśmy pod kawiarnię obok szkoły. Przy stoliku, popijając wodę,

siedział mężczyzna w koszulce polo i dżinsach. Miał przed sobą stertę papierów. Uśmiechnął się, gdy usiadłyśmy. Nazywał się Steven Bartell i, jak wyjaśniła Cindy, był prawnikiem. Steven zaczął mi cierpliwie wyjaśniać, jak działa ustanowienie samodzielności.

Ponieważ nie miałam osiemnastu lat i mieszkaliśmy w Kalifornii, powinnam złożyć do sądu pismo z prośbą, by uznano mnie za samodzielną małoletnią. Sędzia może rozpatrzyć wniosek od ręki lub wyznaczyć termin rozprawy. Jeśli moja petycja zostanie przyjęta, będę mogła sama podejmować decyzje dotyczące dalszej kariery baletowej i tego, gdzie mieszkam. Będę mogła decydować właściwie w każdej sprawie. Nic nie będzie zależało od mamy. Nic nie będzie zależało od Cindy. Wszystko będzie zależało ode mnie.

Umilkł.

– Misty, czy chcesz tego? – spytał. – Cindy uważa, że to leży w twoim interesie, lecz sama musisz podjąć decyzję.

Tyle lat później ciągle nie pamiętam, co wtedy czułam. Mama nie zawsze była taką matką, jaka powinna być, ale była moją mamą. Kochałam ją i wiedziałam, że ona też mnie kocha. Nie chciałam jej ranić. Ale czy naprawdę wiedziała, co jest dla mnie najlepsze? Często to my, dzieci, musiałyśmy się nią zajmować, a nie odwrotnie.

Musiałam dokonać wyboru.

I w tamtej chwili, pierwszy raz, wybrałam siebie. Wybrałam balet. A to oznaczało pozostanie z Cindy.

– Tak – powiedziałam miękko. – Chcę sama decydować o sobie.

Resztę pamiętam jak przez mgłę jako koszmar. Steven Bartell szybko zebrał rozłożone na stole papiery.

– Musimy skontaktować się z twoją matką – powiedział. – Nie powinno cię przy tym być. Jestem pewien, że uspokoi się, gdy minie pierwszy szok, ale Cindy chce, byś przez ten czas zatrzymała się u znajomych.

Cindy wepchnęła mnie do auta i zawiozła do innej uczennicy centrum z San Pedro, której prawie nie znałam. Mama dziewczyny zaproponowała

mi coś do jedzenia, ale nie miałam apetytu. Początkowo próbowały mnie zagadywać, lecz byłam rozkojarzona i skołowana. Odpowiadałam na pytania, ale przeważnie siedziałam jak ogłuszona, wpatrując się w telewizor.

„Co oni powiedzą mamie? – zastanawiałam się ze ściśniętym żołądkiem i dudnieniem w głowie. – Co mama sobie pomyśli? Jak się poczują bracia i siostry?”.

Dowiedziałam się później, że mama wezwała policję i zgłosiła moje zaginięcie. Prowadząc gorączkowe poszukiwania, zwróciła się też do mediów. Mogę sobie tylko przypomnieć, co powiedzieli w wiadomościach o szóstej.

„Zaginęła Misty Copeland, dziewczynka uznana za cudowne dziecko baletu – mówił prowadzący. – Mama dziewczynki, Sylvia Dela Cerna, zgłosiła policji zaginięcie córki. Uważa, że Cynthia Bradley, która uczy jej córkę tańca, jest zamieszana w sprawę”. Potem pokazali mamę, przerażoną i złą: „Nie mogłam się z nią skontaktować. Czasowo przebywała u nauczycielki tańca, ale miała wrócić do domu. Jestem pewna, że Cindy Bradley jest w to zamieszana”. Myślałam, że zwymiotuję.

Zostałam u tej rodziny przez trzy dni, pełna strachu, że będę miała kłopoty z powodu ucieczki z domu. A potem, rankiem, pojawił się Steven Bartell.

– Misty – zwrócił się do mnie – zabierz rzeczy.

Spotkaliśmy się z dwoma policjantami, którzy zawieźli mnie na pobliski posterunek. Wkrótce zjawiła się mama. Pochwyciła mnie i mocno przytuliła. Opuściłam budynek w towarzystwie mamy. Bałam się, że na zawsze rozstaję się z baletem. Mama siadła za kierownicą, ja obok, szlochając histerycznie. Świat się dla mnie kończył.



Życie nie tylko zatoczyło pełny krąg. Przyspieszyło, a potem zaczęło

kręcić się w przeciwnym kierunku.

Znów byłam z rodziną, znów mieszkalam w Sunset Inn. Korytarze niezmiennie pokrywał brud. Pokój, w którym mieszkaliśmy, był zagracony i niechlujny. W nocy, wlokąc koc lub śpiwór, walczyłam z rodzeństwem, by wygrzebać sobie na podłodze miejsce do spania. Mama zmusiła mnie do powrotu do takiego właśnie życia. Kilka dni wcześniej mieszkalam na pięknym osiedlu, usypiał mnie łagodny szum morza. Tu z sennych marzeń wyrwał mnie hałas dobiegający z autostrady. Całymi dniami nie miałam w ustach jabłka ani nawet warzyw z puszki. Myślałam, że mama jest samolubna i okrutna, poświęcając mój dobrostan, zaprzepaszczając moje szanse, aby ukoić swą zranioną dumę. Przepęłniała mnie złość i żal. Jak mogła mi to zrobić?

Przez pierwsze dni po powrocie do domu na długie godziny zamykałam się w łazience i siedziałam na brzegu wanny, zalewając się łzami. Nie chciałam widzieć mamy. Nie chciałam widzieć braci ani sióstr. Chciałam, żeby po prostu zostawili mnie w spokoju. Ale to okazało się niemożliwe. Chociaż wróciłam do domu, procedura sądowa dopiero się rozpoczęła. Mama pozwała Bradleyów, zatrudniła znaną adwokatkę Głorię Allred. Wynajęcie Glorii Allred było niczym zapalenie krzykliwego neonu ze szczegółami naszego życia w Sunset Strip. Kamery wyrastały wszędzie, dziennikarze gromadzili się przy gmachu sądu w Torrance, siedzieli nawet przed naszymi drzwiami.

Mama oskarżała Cindy i Patricka, że zmanipulowali mnie, sprawili, że wypełniłam papiery dotyczące niezależności, i domagała się dla nich sądowego zakazu zbliżania się do mnie raz na zawsze. Choć nie chciałam mieć z tym nic wspólnego, mama zmusiła mnie, bym towarzyszyła jej w sądzie. Ona i Gloria uważały, że moja obecność wzmocni ich pozycję. Wściekła i przestraszona gapiłam się w podłogę, chcąc uniknąć błysków fleszy i wścibskich oczu, ale co chwila rzucałam ukradkowe spojrzenia na Cindy i Patricka. Patrzyli prosto przed siebie, ale zauważyłam, że usta Cindy drżą. Ciężko było widzieć ich w takim stanie: zmęczonych,

zranionych i smutnych.

Początkowo Cindy i Patrick odpierali zarzuty, walczyli. Powtarzali dziennikarzom, sędziom i każdemu, kto chciał słuchać, iż chcieli tylko, bym miała dom i warunki potrzebne młodej, utalentowanej baletnicy. Takiej stabilności i poprawy bytu, argumentowali, matka – samotna, z szóstką dzieci, mało zarabiająca – nie mogła mi zapewnić. Cindy powiedziała nawet jednemu z reporterów, że gdybym tylko chciała, była gotowa mnie adoptować.

Jesienią wściekłość zaczęła opadać. Za pośrednictwem Glorii Allred wycofałam wniosek o uniezależnienie. Wysuwane przez mamę żądanie zakazu zbliżania się dla Cindy i Patricka stało się bezzasadne, ponieważ nie nachodzili ani mojej rodziny, ani mnie. „Wycofanie wniosku o uniezależnienie spełnia główne oczekiwania Sylvii, żeby więzy rodzinne zostały nienaruszone i silne, wolne od ingerencji osób trzecich – zadeklarowała Allred w wydanym wówczas komunikacie. –

W zaprzysiężonych oświadczeniach złożonych przez Bradleyów stwierdzają oni, iż nie mieli i nigdy nie będą mieli zamiaru zakłócania relacji między Misty a jej matką... Skoro Sylvia osiągnęła wszystkie cele, do których dążyła, składając pozew do sądu, uznałyśmy, że nie będziemy kontynuować postępowania w sprawie zakazu sądowego w tej kwestii”.

Z wyjątkiem kilku rzadkich okazji nie ujrzę Cindy ani Patricka przez ponad dziesięć lat. Gdybym wiedziała, że owa noc będzie ostatnią, jaką wspólnie spędzimy, nie spałabym spokojnie we własnym łóżku. Byłabym z nimi, tuląc ich i nie pozwalając odejść.



Kiedy mama i Bradleyowie zdecydowali się zakończyć spory, było po sprawie. Ale walki w mojej głowie i duszy trwały.

We wrześniu jako szesnastolatka wróciłam do szkoły średniej w San Pedro, do ostatniej klasy. Było inaczej niż wcześniej. Wszyscy znali moje

tajemnice.

Przez całą szkołę starałam się być perfekcyjna. Zjawiałam się długo przed pierwszym dzwonkiem, byłam najgorliwszą dyżurną, jaką szkoła Dana kiedykolwiek widziała. Takiej samej doskonałości wymagałam od członkiń drużyny czirliderek.

Nie pozwalałam nikomu, nawet najbliższym przyjaciółkom, zbliżyć się do siebie na tyle, by mogły zobaczyć, jak nieudane jest moje życie. Nie zapraszałam ich do domu Roberta, przepełnionego wrogością i przemocą, ani do przypadkowych mieszkań czy obskurnego motelu, w którym mieszkałam z rodziną. Wcześniej koleżanki z klasy nie miały pojęcia o mężczyznach przewijających się przez życie matki ani o poszukiwaniu drobnych na jedzenie, kiedy kończyły się bony żywieniowe. Nawet im się nie śniło, że moja siostra-czirliderka i bracia-sportowcy, tak beztroscy w ciągu dnia, wieczorem, kiedy wracali do domu, musieli spełniać funkcję rodziców wobec mnie, Lindsey, a niekiedy i Camerona.

Teraz kurtyna poszła w górę: cały świat mógł się gapić. Misty Copeland, baletnica, wiodła życie pełne wzlotów i upadków. Kiedy patrzę wstecz, sama widzę, że mój los był niezwykle. Jak w najtragiczniejszych baletach, był w nim główny bohater, niewinny i dobry, rozdierany między dwoma światami. Czy zatriumfuję, jak Ognisty Ptak? Czy może będę przypominać Giselle, która umiera ze złamanym sercem? Życie miało dopisać dalszy ciąg tej historii.

Felietoniści wysuwali różne opinie na temat tego, kto najlepiej przysłużyłby się mojej karierze. Pojawiały się artykuły w „Los Angeles Times” i na kolumnach poświęconych przedstawieniom w „Extra”. Lokalna telewizja, między materiałami o ostatniej strzelaninie i wynikami głosowania w ratuszu, pokazywała ujęcia Sunset Inn i moje zdjęcia, na których wiruję w tiulowej spódniczce – a mój świat walił się w gruzy.

Dzwonili do nas nawet producenci zainteresowani nakręceniem filmu telewizyjnego lub kinowego o całej tej sprawie. Mama zatrudniła prawnika, który przesiewał oferty.

A ja musiałam przetrwać pierwsze dni w szkole średniej w San Pedro. Klasa przywitała mnie z wahaniem.

– Cześć, Misty – mamrotali nerwowo koledzy.

– Dobrze, że wróciłaś – odrobinę zbyt radośnie rzuciła dziewczyna, z którą tańczyłam w zespole czirliderek w Dana.

Starali się być mili, jakby nic się nie stało, ale komuś tak nieśmiałoemu jak ja, tak obawiającemu się ocen, trudno było wyobrazić sobie gorszy scenariusz.

Nie miałam gdzie się skryć. Chciałam uciec i nie udało mi się. Teraz, jak podczas mojego pierwszego konkursu, potrzebowałam planu rezerwowego, by publiczność nie zorientowała się, jak bardzo się denerwuję.

Przypomniałam sobie Palomę Herrere, tańczącą *pas de deux* w *Don Kichocie*. Pod koniec baletu nie bierze partnera za rękę. Dzika i niezależna, stoi osobno i sama utrzymuje równowagę. Wiedziałam, że teraz mnie to czeka. Muszę odzyskać siły, trzymać głowę wysoko i zachować równowagę. Samodzielnie.



Dla mnie liczyło się to, by nie tracić zbyt wielu zajęć z tańca. Kilka tygodni po powrocie do mamy byłam znów w studiu, skupiona na balecie. Centrum baletowe Lauridsen, noszące imię założycielki i dyrektorki Diany Lauridsen, nie było związane z żadnym zespołem baletowym. To była mała szkoła, ale cieszyła się w Torrance bardzo dobrą opinią.

Byłam przekonana, że Diane przygotowała innych uczniów na moje przybycie. Nie zadzierali nosa, słysząc „cudowne dziecko”, ani nie gapili się na dziewczynę, o którą toczyły się zawody w przeciąganiu liny. Przyjęli mnie swobodnie, na luzie, jak rodzina. Poczułam ulgę, że jestem na znanym gruncie, zanurzona w balecie, otoczona podobnymi sobie, gotowymi spędzać godziny na rozciąganiu się i ćwiczeniu na pointach. Pierwsze dwie dziewczyny, które tam poznałam, do dzisiaj są moimi

najbliższymi przyjaciółkami. Kaylen Ratto jest moją współpracowniczką w firmie zajmującej się strojami baletowymi, a Ashley Ellis dołączyła do zespołu American Ballet Theatre rok po mnie i została tam przez pięć lat. Teraz jest pierwszą tancerką baletu w Bostonie.

Rzadko się zdarza, by dwie uczennice szkoły nienastawionej na zawodowość trafiły do najlepszego zespołu. Ale w naszym przypadku tak się stało. Ashley, ja i Kaylen od początku byłyśmy nierozłączne. Nie wspominały o mojej sprawie, chociaż jestem pewna, że wiedziały o wszystkim. Ich przyjaźń była niczym koło ratunkowe, ciepła i uzdrawiająca.

Pamiętam, że Diane pozwoliła mamie urządzić mi w studiu szesnaste urodziny. Zaprosiłam moich nowych przyjaciół ze szkoły tańca i Cantine'ów. Centrum Lauridsen zamknęło podwoje wcześniej, zawiesiliśmy dekoracje, na stole były ziemniaczane chipsy i ciasto.

Dalej miewałam migreny, które pojawiały się, kiedy czułam stres, a właśnie przesłam przez najtrudniejszy okres w moim życiu. Leżałam dwie godziny w zaciemnionym pokoju, zakłopotana i zdenerwowana, a impreza trwała. Potem dowiedziałam się, że wszyscy dobrze się bawili.



Chociaż Diane i inni uczniowie przyjęli mnie ciepło, podczas zajęć z tańca nie obchodzono się ze mną tak delikatnie. Lauridsen było małą szkołą, ale uczono w niej techniki na o wiele wyższym poziomie niż u Cindy. Bolesna prawda polegała na tym, że chociaż okrzyknięto mnie „cudownym dzieckiem”, tańczyłam zaledwie dwa lata i opinia najlepszej uczennicy centrum w San Pedro tylko pokazywała jego ograniczenia. Zdrowa rywalizacja w San Pedro toczyła się na poziomie, który nawet nie przypominał umiejętności zaawansowanych uczniów w Lauridsen.

Nauka u Diane też wyglądała zupełnie inaczej. Nawet po rygorach sześciotygodniowego kursu w San Francisco szkoła Diane otworzyła mi

oczy i rozumiałam, że moja technika wymaga doskonalenia. Musiałam mocno przyspieszyć, by poprawić niektóre kroki, a w innych wypadkach uczyć się ich na nowo. Szybciej stawiać jedną stopę przed drugą, gdy skakałam *assemblée*, upewnić się, że krążąc wyprostowaną stopą podczas *ronds de jambe*, kreślę literę „D” zamiast koślawego okręgu.

Miałam ogromny zapał do nauki i chciałam ciężko pracować, by zbliżyć się do doskonałości, by dorównać innym. Nie było czasu, by się chełpić i spoczywać na laurach. Zresztą gdybym chciała się popisywać, Diane szybko by mnie zgasła.

Diane czuwała nad wszystkim. Bezustannie przypominała mi, ile pracy przede mną.

– Nie „siedź” na tych nadmiernie rozciągających się kolanach – strofowała mnie, delikatnie szturchając je z tyłu dla przypomnienia.

– Plecy prosto – nakazywała.

Cindy zawsze traktowała mnie jak supergwiazdę, starając się pokazać mój talent. Nie martwiła się niektórymi opiniami na temat swojej małej szkoły, nigdy nie pozwalała, by ktoś przekonał ją do czegoś, z czym się nie zgadzała. Jeśli oznaczało to utratę członka rady nadzorczej, wspomagającego szkołę tysiącami dolarów – trudno. Diane kierowała się innymi zasadami. Byłam jedną z wielu dziewcząt w klasie, miałam ciężko pracować i pilnie się uczyć, jak każdy inny. W tym okresie desperacko potrzebowałam poczucia, że gdzieś pasuję i nie różnię się od innych. Nauczycielka, koleżanki i koledzy z klasy oraz taniec pomagali mi zachować zdrowie psychiczne.

Fotografowie i reporterzy nadal przychodzili do szkoły, żeby mnie poznać. Nie lubiłam się wyróżniać, bo to odsuwało mnie od kolegów i koleżanek. W końcu zaczęli pytać o zespoły baletowe zainteresowane tym, bym uczestniczyła w ich letnich kursach – miałam nadzieję, że także tym, bym któregoś dnia dołączyła do zespołu – a już mniej interesowały ich spory wokół mnie. Jednak dramat z mamą, Cindy i ze mną w rolach głównych będzie miał jeszcze jeden bolesny epizod.



– Cindy musi się zamknąć – oświadczyła mama. To była stara śpiewka. Mama utrzymywała, że Cindy nadal rozmawia z dziennikarzami i robi z niej złą, niedbającą o dzieci macochę.

– Musimy mieć pewność, że wszyscy przyjmą naszą wersję – mówiła. Niekiedy wydawało mi się, że ma na tym punkcie obsesję.

Pewnego dnia powiedziała mi, że zadzwonili do niej producenci „LEEZA”, talk-show prowadzonego przez brylującą wówczas na ekranach prezenterkę Leeze Gibbons. Chcieli, by mama wystąpiła w ich programie i opowiedziała o początkowych ustaleniach z Cindy, o tym, jak sytuacja się pogarszała, aż wreszcie zniknęłam z życia rodziny. Mimo moich gorących protestów mama wyraziła zgodę.

Okazało się, że Cindy też tam będzie, chociaż nie w tym samym pomieszczeniu, aby każda przekazała widzom własną wersję wydarzeń. Byłam przerażona. Pierwszy raz od rozprawy w sądzie miałam się znaleźć w tym samym miejscu co Cindy. Nie chciałam przechodzić przez to jeszcze raz. Było to zbyt traumatyczne, a ja dopiero zaczęłam dochodzić do siebie. Chciałam być w studiu, tańczyć.

Powiedziałam mamie, że nie pokażę się w telewizji. Mama zapewniła, że nie będę musiała siedzieć na scenie, mogę usiąść wśród publiczności, a Leeza może do mnie podejść i zada kilka pytań. Bracia i siostry także tam będą, by mnie wspierać.

Nigdy nie zapomnę dnia nagrania. Mama zapowiedziała, że odbierze mnie ze szkoły. Po ostatniej lekcji czekałam przed budynkiem, wypatrując kremowej hondy civic.

Ku memu przerażeniu na ulicę wtoczyła się czarna limuzyna i zatrzymała przede mną. Szofer otworzył drzwiczki, w środku zobaczyłam Douga, Ericę, Chrisa, Lindsey i oczywiście mamę. To była dokładnie taka demonstracja, jakich nienawidziłam. Nie chciałam, by zwracano na mnie

uwagę, chyba że kręciłam piruety na scenie, a tu w robotniczej części San Pedro pyszni się limuzyna-jamnik.

Gapili się na mnie wszyscy, uczniowie i nauczyciele, zastanawiając się, o co chodzi i dokąd jadę. Wpadłam do samochodu, pragnąc się w nim schować, niczym w skorupie. Płakałam i wrzeszczałam na mamę:

– Limuzyna? Jak mogłaś podjechać pod moją szkołę w czymś takim? Wiesz, że to dla mnie nie do wytrzymania!

W aucie panowała cisza, słysząc było tylko mój szloch. Dalej było jeszcze gorzej. Siedziałam na widowni, obok Eriki, a mama zajęła miejsce na scenie. Cindy też tam była, ale na zapleczu, pokazywano ją tylko na monitorach, ponieważ wywiad z nią przeprowadzono osobno. Chociaż mama mnie uprzedzała, poczułam się zaskoczona, gdy Leeza Gibbons nagle skupiła się na mnie, zasypując mnie pytaniami. Wydukałam jakieś „tak” i „nie”, zanim zalałam się łzami. Wtedy właśnie Erica, zawsze opiekuńcza i macierzyńska, przejęła mikrofon.

– Staralaś się zniszczyć naszą rodzinę! – ryknęła w stronę ekranu, na którym widniała twarz Cindy. – Wykorzystywałaś dziewczynkę, a teraz chcesz uchodzić za anioła, a nas przedstawiasz jako czarne charaktery! Nigdy ci nie wybaczymy tego, co chciałaś zrobić!

To była najdłuższa godzina w moim życiu. Limuzyna odwiozła nas do domu. Następnego dnia poszłam do szkoły, starając się, by iskierka rozpacz nie zabłysnęła jasnym płomieniem.

Kiedy szłam korytarzem, podeszło do mnie kilka osób z klasy.

– Widzieliśmy cię w telewizji. Nauczyciel włączył specjalnie, żebyśmy mogli oglądać.

Zmroziło mnie. Czułam się naga, wystawiona na spojrzenia wszystkich. Już nie miałam domu u Cindy ani studia w San Pedro, ani szkoły. Nie było nic świętego. I nie miałam wyboru, musiałam iść naprzód.



Powoli życie wróciło do normalnego rytmu. Kilka miesięcy po tym jak sprowadziłam się do domu, mama dostała nową pracę w sklepie i mogła sobie pozwolić na wynajęcie mieszkania z dwiema sypialniami przy spokojnej ulicy San Pedro. Pierwszy raz czułam, że mamy dom, który jest domem mamy, a nie tylko lokalem użyczonym nam wskutek kaprysu jakiegoś mężczyzny.

Myślę, że odczuwaliśmy tam taki spokój, jakiego nie zazналиśmy wcześniej. Dzieliłam pokój z Lindsey i pierwszy raz w życiu docierałam do szkoły na piechotę.

Taniec nadal był osią mego życia, ale lekcje miałam tylko po południu, bo zakończyłam indywidualny tryb nauki w domu. Nadal czułam rygor ćwiczeń i widziałam sprawność innych tancerzy, dostrzegałam postępy, jakich dokonywali w czasie krótszym niż ten, który ja spędzałam w studiu.



Jednym z prezentów od mamy była naturalnej wielkości postać Mariah Carey wycięta z kartonu. Przyczepiłam ją do ściany obok plakatu Palomy Herrery.

Znów zaczęłam doceniać mamę: to, że przy pomocy Liz Cantine zatroszczyła się o znalezienie mi nowej szkoły tańca, że zdołała stanąć na nogi, kupiła samochód, wynajęła mieszkanie. Nareszcie zaczęła dbać o rodzinę. Zastanawiałam się tylko, czemu nie stało się to wcześniej. Na kominku w salonie stało zdjęcie Glorii Allred przed budynkiem sądu w Torrance; unosiła moją rękę do góry w geście triumfu. Ale tamto przeciąganie liny było już tylko odległym wspomnieniem.

Mogłam na wszystko spojrzeć z perspektywy i rozwinąć szpulę z filmem o poprzednich trzech latach.

Kiedy mama i rodzeństwo mówili, że Cindy i Patrick zrobili mi pranie mózgu, nie zwracałam na nich uwagi lub gwałtownie zaprzeczałam. Teraz nie byłam już taka pewna. Uwierzyłam, że choć Cindy i Patrick nie chcieli

wyrządzić mi krzywdy, to jednak zrobili mi pranie mózgu, choćby niewielkie, ale jednak: nabrałam przekonania, że zasługuję na więcej, a mama nie może lub nie chce mi tego zapewnić. Ale może się myliłam.

To było objawienie. Pewnego dnia pod koniec owego przełomowego roku usiadłam obok mamy na kanapce w salonie. Podziękowałam jej, że o mnie walczyła, że nigdy nie zrezygnowała ani ze mnie, ani z siebie samej. I przeprosiłam ją za to, przez co musiała przejść.

Teraz, kiedy jestem dorosła, moja perspektywa jeszcze raz się zmieniła, na pośrednią i najbardziej moją własną. Na pewno wiem, że mama gorąco mnie kochała i że Bradleyowie też mnie kochali. Że nie byłabym tu, gdzie jestem, bez ich oddania, gotowości do poświęceń i włączenia mnie do rodziny. Bez nich nie nauczyłabym się wygłaszać własnych opinii i nie nabrałabym pewności, że warto moich opinii słuchać. To wszystko – i o wiele więcej – dali mi Bradleyowie.



Niespełna rok po bitwie o moje uniezależnienie pierwszy raz miałam pojechać do Nowego Jorku, by uczestniczyć w letnim kursie American Ballet Theatre. Kilka miesięcy wcześniej przeszłam przesłuchania. Tryb wszystkich kursów letnich był w zasadzie taki sam: początkujące tancerki zaglądały na koniec „Dance Magazine”, by znaleźć terminy zajęć organizowanych w całym kraju przez wszystkie większe studia. Na tych zajęciach potencjalni uczniowie prezentowali się komisji danego zespołu.

Eliminacje zwykle trwały około miesiąca. Każda szkoła wymagała własnego stroju: czarny trykot, różowe rajstopy, żadnych krzykliwych kolorów! Trzeba było się zgłosić o wyznaczonej porze, uiścić niewielką opłatę i przyczepić na piersi ogromny numer, który dawano na wstępie. Potem w towarzystwie pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu innych tancerzy przechodziło się całą drogę, od podstawowych kroków baletu, przy drążku i na środku, a przedstawiciele szkoły stali z boku lub siedzieli za stołem

i uważnie obserwowali kandydatów. Na przesłuchanie do American Ballet Theatre zaprosiła mnie Rebecca Wright, ówczesna dyrektorka kursów letnich. Była w jury rok wcześniej, kiedy zdobyłam nagrodę Spotlight. Liz i Dick Cantine zabrali mnie do studia, zapłacili i czekali w holu z rodzicami innych tancerzy.

Kilka tygodni później dostałam list z informacją, że przyznano mi pełne stypendium. W czerwcu wyruszyłam do Nowego Jorku.

Rozdział 7

Po raz pierwszy ktoś z American Ballet Theatre zobaczył mnie, gdy miałam piętnaście lat i startowałam w konkursie Spotlight.

Od kiedy zasiadłam przed telewizorem u Bradleyów i oczarowali mnie Michaił Barysznikow, Gelsey Kirkland i inne gwiazdy ABT, marzyłam, że pewnego dnia wejdę do zespołu. Pragnęłam chodzić tam, gdzie chodziła Paloma Herrera i tańczyć tam, gdzie tańczyła.

ABT był jedną z pięciu szkół, które zaoferowały mi stypendium na kursy letnie. Ale kiedy miałam piętnaście lat, Nowy Jork wydawał mi strasznie odległy, więc pojechałam do Kalifornii. Rok później byłam gotowa, by szturmem wziąć Wielkie Jabłko.

Znajoma mamy odebrała mnie z lotniska La Guardia i taksówką pojechałyśmy do konwentu karmelitanek Matki Teresy od Świętego Józefa przy Czternastej Zachodniej w Greenwich Village, gdzie miałam mieszkać.

Niektórzy mogą uznać za krępujące i dziwne, że nastolatka ma osiąść w klasztorze, a plakat Mariah Carey, który przywiozłam ze sobą, będzie sąsiadował na ścianie z różańcami. Na mnie podziałało to kojąco.

Uporządkowane życie wśród zakonnic niosło spokój.

Wrzawa, która w tak dramatyczny sposób zakończyła lato po San Francisco, dawno minęła. Czułam, że mogę chodzić przez kaniony Manhattanu nierozpoznawana, szykując się do nowej przygody.

Najważniejsze, co czekało mnie w nowym życiu, było zgodne z tym, czego chciałam: musiałam dopasowywać się do wymagań stawianych przez

wybitne baletnice, uzyskać przychylność nauczycielki baletu i wspinać się na kolejne szczeble drabiny, która doprowadzi mnie do stałego miejsca w wyśnionym zespole American Ballet Theatre.

Jednak pewnego dnia, kiedy szłam ulicą w słuchawkach na uszach, wystukując rytm dawno zapomnianego przeboju, zauważyłam, że jakiś mężczyzna dziwnie mi się przypatruje.

– Hej – zagadnął. – Czy ty nie jesteś przypadkiem tą dziewczynką, o którą kłócili się wszyscy w Kalifornii?

Nowy Jork oznaczał dla mnie nowy początek. Nikt mnie nie znał, byłam w Teatrze Baletu i nareszcie mogłam prowadzić życie, o jakim marzyłam. Kiedy usłyszałam te słowa, poczułam się zupełnie inaczej.



Za bramą konwentu był Nowy Jork z zaśmieconymi ulicami i kakofonią wszechobecnych dźwięków, brzmiących jak orkiestra bezustannie strojąca instrumenty. Kipiał pełną agresji energią wiecznie spieszących się ludzi, pędzących wszędzie i nigdzie, a wilgotne powietrze przepelniał zapach odpadków, uryny i mięsa smażonego na ulicznych wózkach. Pierwszy raz byłam w tak wielkim mieście. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam czegoś podobnego.

Za różowymi murami klasztoru były miłe i macierzyńskie siostry. Nie mówiły po angielsku, znały tylko hiszpański i przeważnie nie miałam pojęcia, o czym rozmawiają. W każdym pokoju był interkom, z którego codziennie o siódmej rano dobiegało brzęczenie, wrywające nas ze snu.

BZZZZZZ

– *El desayuno está listo!*^[3] – wołała siostra.

Nienawidziłyśmy tego porannego powitania. Chciałyśmy dłużej spać. Jednak uwielbiałyśmy śniadania i kolacje, które codziennie szykowały nam siostry.

W każdej sypialni były dwa wąskie łóżka, ale w klasztorze mieszkały nie

tylko tancerki uczestniczące w letnich kursach American Ballet Theatre. Były też uczennice innych kursów. Początkowo mieszkałam z Margeaux, dziewczyną, z którą tańczyłam w centrum Lauridsen, po powrocie do domu. Uczestniczyła w letnim kursie szkoły baletowej Joffrey. W połowie zajęć moją współlokatorką została Kaylen, z którą byłam zaprzyjaźniona jeszcze z czasów kursów w Kalifornii i która tego lata także tańczyła w Joffrey.

Była też oczywiście Ashley Ellis, tańczyła jak ja w ABT. Przypominało to muzyczne komórki do wynajęcia: Ashley niekiedy mieszkała z Margeaux, kiedy ja zostawałam u Kaylen, a potem znów się zamieniałyśmy.

Pamiętam, jak bardzo bolały nas nogi po całym dniu zajęć, a musiałyśmy pokonywać po kilka pięter po schodach, bo w konwencie nie było windy. Wieczorami wszystkie dziewczęta, niezależnie od tego, czy tańczyły w Joffrey, w New York City Ballet, czy w American Ballet Theatre, zbierały się i razem jadły kolację w pomieszczeniu na parterze, gdzie podawano wszystkie posiłki. Potem oglądałyśmy filmy. Mama przysłała mi wideo z koncertu 'NSYNC i wszystkie gapiłyśmy się rozmarzonym wzrokiem na Justina Timberlake'a.

Pierwszego dnia zajęć wezwano mnie do biura artystycznego, gdzie czekali John Meehan i Kirk Peterson. Kirk był pierwszym tancerzem w American Ballet Theatre i balecie San Francisco, pełnił funkcję choreografa kursów i nauczyciela baletu. John był kiedyś pierwszym tancerzem zespołu, a obecnie dyrektorem artystycznym Studio Company ABT, gdzie trenowali młodszy tancerze, zanim przeszli do zespołu głównego.

– Znamy twoją historię, Misty – zaczął Kirk – ale chcielibyśmy dowiedzieć się więcej.

Opowiedziałam im o Klubie dla Chłopców i Dziewcząt, o moich początkowych wątpliwościach i szalonej miłości do baletu, która mnie ogarnęła. Opowiedziałam o dzikiej radości z nagrody Spotlight, o tym, jak pokochałam partię Klary z *Dziadka do orzechów* i Kitri z *Don Kichota*, o tym, że zawsze marzyłam o wejściu do zespołu American Ballet Theatre.

Pominałam wojnę między mamą a Cindy. Ale pamiętali o niej. Popytali trochę. Opowiedziałam krótko, spokojnie, chociaż lekko mnie to przygnębiło. Często spotykałam się z tym, że inni wiedzieli o mnie rzeczy, którymi nie chciałam się z nikim dzielić. Myślałam, że w Nowym Jorku będzie inaczej, ale nawet tu byłam odsłonięta, narażona na etykietkę „innej”. Jednak to wszystko nie powstrzymało ich przed wyjaśnieniem mi, dlaczego mnie wezwali. Oświadczyli, że mam nadzwyczajny talent, a John powiedział, że już planuje zaproszenie mnie do Studio Company.

Byłam wniebowzięta.



Tego lata poznałam Palomę Herrere. Muszę przyznać, że na początku byłam nieco rozczarowana. To musiało być w porze lunchu. Uczniowie kursów letnich nie mogli włóczyć się po studiach American Ballet Theatre, istnym labiryncie podziemnych i podniszczonych nor. Teatr zajmował dwa piętra w budynku w śródmieściu przy Broadwayu, pod numerem 890. Ćwiczyliśmy w pięciu studiach. Każde z nich miało dwie ściany wyłożone lustrami od podłogi do sufitu, a drażki były przy wszystkich ścianach z wyjątkiem jednej. Z tyłu, jak drewno na opał, leżało więcej drażków, które przenosiliśmy na środek, gdy były nam potrzebne. W jednym rogu nieodmiennie stało pianino, każde studio było wyposażone w ustawiony z przodu telewizor i system nagłaśniający, więc mogliśmy oglądać wideo, pomagające nam opanować choreografię. Były też staromodne, wiszące na ścianie telefony, przed którymi na przerwach ustawialiśmy się w kolejce, by zamówić lunch ze sklepu Andy's Deli.

Studia, w których odbywały się próby wyglądały jak żywcem wyjęte z muzycznych filmów z lat osiemdziesiątych, które oglądałam z Cindy i Patrickiem w Kalifornii. Był to jeden z niewielu budynków mieszczących szkołę baletową, który nie został wyposażony w najnowocześniejszy sprzęt ani wymuskany – stanowił dokładne przeciwieństwo na przykład baletu

San Francisco. Myślę, że to typowe dla Nowego Jorku: siedziba biura American Ballet Theatre była równie dziwaczna, co apartamentowiec w East Village. Jak w wielu starych domach, których pełno w Nowym Jorku, na ścianach pokojów ćwiczeń wisiały starodawne kaloryfery pomagające utrzymać ciepło. W zimie dudniły i brzęczały tak głośno, że niekiedy ledwo słyszeliśmy akompaniatora. W studiu numer pięć, jednej z dwóch dużych sal treningowych, szyby tak zaparowały od syczącej pary i ciepła ciał tancerzy, że nie było widać Dziewiętnastej Ulicy.

W lecie też się pociliśmy. W studiach zamontowano klimatyzację, ale nie chcieliśmy jej włączać, bojąc się, że mięśnie nam ostygną i zeszywnieją.

Mieliśmy też dwie wielkie garderoby, osobno dla kobiet i dla mężczyzn. Wypełniały je ławki i trzeszczące szafki, które tancerze wybierali pierwszego dnia i zajmowali do końca kariery w zespole głównym. Z kolei siłownia była wyposażona w najnowocześniejszy sprzęt wszelkiego rodzaju, na poziomie najdroższych gimnazjonów, z urządzeniami monitorującymi pracę serca i wagę oraz służącymi do ćwiczeń pilatesu. Był też mały pokój masażu, w którym fizykoterapeuci ugniatali i rozcierali nasze umęczone, obolałe mięśnie.

Wyżej, na drugim piętrze, znajdowały się dwa studia i biura zespołu, w których urzędowała kadra, kierownictwo sceny i szefowie Teatru, pracownicy działów fundraisingu, reklamy i edukacji oraz nasz dyrektor wykonawczy. W porze lunchu zwykle szłam na spacer, w pobliskim barze kupowałam zupę czy sałatkę, wracałam do studia, zjadałam posiłek i odpoczywałam w gronie innych uczniów, po czym znów udawałam się na zajęcia.

Jednak pewnego dnia, z niewiadomego powodu, nabrałam ochoty, by trochę powęszyc. Korytarze śmierdziały potem i starością. Zapuściłam się do jednego z dużych studiów, a tam Paloma Herrera rozmawiała przez telefon. Spodziewałam się, że będzie dużo wyższa, ale przewyższała mnie zaledwie o kilka centymetrów. Jej smolisto czarne włosy były zebrane w luźny kok. Jedną nogę opierała o krzesło przy ścianie, rozciągając się.

„Zawsze pozostaje baleriną – pomyślałam oniemiała. – Nawet gadając przez telefon z przyjaciółką”.

Wyglądała jak diwa, czego zresztą oczekiwałam od mojej idolki; nonszalancko wyginała się, przybierała pozycje, jakich zwykły śmiertelnik nawet nie jest w stanie sobie wyobrazić, i czyniła to bez wysiłku, jakby odgarniała włosy. Co robisz, stając twarzą w twarz z marzeniem? Z kimś, czyje zdjęcie wisi na ścianie twego pokoju, czyimi śladami podążałaś, kogo dawno temu ujrzałaś w roli Kitri i to sprawiło, że jesteś tu dzisiaj, pięć tysięcy kilometrów od domu, w balecie, w którym królował Michaił Barysznikow i tańczyła Gelsey Kirkland?

Zbliżyłam się ukradkiem i po cichutku.

– Dzień dobry – powiedziałam w końcu, ni to szepcząc, ni to skrzecząc. Brak odpowiedzi.

Nie pamiętam, czy Paloma jeszcze rozmawiała, czy już odwiesiła słuchawkę. Pamiętam za to więcej od niej chłód. Pomyślałam, że jest trochę jędzowata. Podobno nie należy poznawać swych idoli, bo okazują się takimi samymi ludźmi jak my, humorzystami i niedoskonałymi.

Jednak obojętność Palomy zaintrygowała mnie jeszcze bardziej, spotęgowała mą obsesję. Odwróciłam się i wyszłam z sali.

„Oczywiście, jest trochę zarozumiała – doszłam do wniosku. – Ale to przecież sama Paloma Herrera!”.

Choć przelotne spotkanie w studiu nie wróżyło dobrze, był to dopiero początek naszej znajomości. Poznanie jej zabrało mi dziesięć lat. Ale teraz, kiedy sama jestem w centrum uwagi, kiedy doświadczyłam zarówno uwielbienia, jak i samotności wiążących się z byciem „tą jedyną”, rozumiem, czemu sprawiała wrażenie, jakby otoczyła się murem.

Uwaga otoczenia często skupiała się na mnie, bo późno zaczęłam, okrzyknięto mnie cudownym dzieckiem, ale chyba głównie dlatego, że jestem czarna, a odniosłam sukces w świecie białych. Paloma także wyróżniała się wyjątkowością: jako nastolatka została solistką i primabaleriną, szła łeb w łeb ze starszymi od siebie.

Mogę sobie tylko wyobrazić, jak się czuła, dołączając do American Ballet Theatre w dziecięcym wieku piętnastu lat, gdy musiała sprostać tylu oczekiwaniom, które spadły na jej barki. Mogę sobie wyobrazić, jakie zniewagi i fochy musiała znosić ze strony innych tancerek, obserwujących debutantkę, błyskawicznie pnącą się po szczeblach kariery. Właściwie mogę to sobie wyobrazić dosyć dokładnie, bo sama doznałam części tego, przez co przechodziła.

Wiele lat później, gdy Kevin McKenzie, dyrektor artystyczny Teatru, awansował mnie na solistkę – miałam wtedy dwadzieścia cztery lata – zostałam pierwszą od dwudziestu lat czarną kobietą, która otrzymała to stanowisko. Trafiłam na okładkę „Dance Magazine” – tego samego, który kupowałam i nosiłam w plecaku, żeby czytać o Palomie Herrerze. Opowiedziałam autorowi artykułu o obydwu, Palomie i Gelsey Kirkland: kiedy myślałam o balerinie, miałam przed oczyma ich płynne ruchy. Opowiedziałam i o tym, jak mając trzynaście lat, odkryłam balet i chciałam zostać Palomą albo Gelsey. Kiedy materiał się ukazał, Paloma spokojnie odezwała się do mnie.

– Czytałam w „Dance” artykuł o tobie – szepnęła, podchodząc, kiedy rozciągałam się w studiu w przerwie między zajęciami. – Dziękuję, że tak ładnie o mnie mówiłaś.

To zabawne. Podczas wywiadu człowiek mówi i mówi, i mówi, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, że ludzie – w dodatku ci, o których mówisz – naprawdę przeczytają twoje słowa. Przez chwilę byłam zaskoczona, nawet poczułam się trochę zakłopotana, że Paloma czytała moje pełne egzaltacji komplementy. Jednocześnie byłam szczęśliwa, że mój niegdysiejszy wzór poczuł się mile, gdyż ją doceniłam, ponieważ – chociaż teraz byłam solistką tańczącą u jej boku – nie okazałam się zbyt dumna, by nie powiedzieć światu, że byłam jej wielbicieleką i że mnie zainspirowała.

Uśmiechnęłyśmy się do siebie jak koleżanki. Mogę teraz powiedzieć, że jesteśmy zaprzyjaźnione.



Letni kurs American Ballet Theatre – z dziewczynami, zabawą i przyjaciółkami – przypominał wakacyjny obóz, tyle że w pointach. Jednak pracowałyśmy niezwykle ciężko, ćwicząc *plies* i *arabesques* siedem godzin dziennie.

Ashley i ja codziennie rano pokonywałyśmy piętnastominutową drogę do studia Teatru na Broadwayu. Wśród stu czterdziestu dziewięciu innych młodych ludzi w szkole trafiłyśmy na ten sam poziom, a wkrótce po przybyciu dowiedziałyśmy się, jakie role będziemy tańczyć na pokazie kończącym kurs letni.

Ashley miała solówkę. Kirk Peterson zdecydował, że ja zatańczę *pas de deux* według choreografii, którą ułożył do muzyki Philipa Glassa, oraz główną wariację w *Paquicie*, opowieści o Cygance, która ratuje życie żołnierzowi, a następnie odkrywa, że jest szlachetnie urodzona. Nie sprawiło mi trudności przejście od stylu współczesnej choreografii Kirke do klasycznego baletu. Teraz wiem, że Teatr zawsze wysoko cenił moją zdolność łączenia różnych stylów tańca. Chociaż moją pierwszą miłością był balet klasyczny, który raz po raz oglądałam z Cindy, sportowa sylwetka zawsze pozwalała mi swobodnie przejmować nowoczesne ruchy. Po raz pierwszy miałam zetknąć się z czymś innym niż baletowa klasyka, jeśli nie liczyć występu w *Czekoladowym dziadku do orzechów*, ale bardzo mi się to podobało.

Inni uczniowie wspierali mnie i podziwiali. Uważali, że obie z Ashley opanowałyśmy technikę do perfekcji i nazywali Ashley „białą Misty”, bo byłyśmy podobnie zbudowane i miałyśmy zbliżoną technikę tańca, jako że wywodziłyśmy się z tej samej szkoły. Podczas tego kursu letniego byłyśmy gwiazdami. Po recitalu, kiedy podziękowałyśmy za oklaski, złożyłam autografy na kilku parach zużytych point i robiłyśmy sobie zdjęcia razem, powiedziano mi, iż Kevin McKenzie i John Meehan chcą mnie widzieć.

Popędziłam na scenę, gdzie na mnie czekali.

– Misty, byłaś dzisiaj wspaniała – powiedział John. I dotrzymując słowa, zaproponował mi, bym dołączyła do Studio Company. Pamiętałam jego zapowiedzi, że zamierza tak zrobić, ale i tak byłam odurzona jego ofertą. Dopiero zaczynałam szkołę średnią, miałam zaledwie szesnaście lat, a moje marzenie o tańczeniu w American Ballet Theatre właśnie się spełniało! Z trudem wydobyłam głos.

– Muszę zapytać mamę.

Właściwie to biegłam do klasztoru, by zadzwonić do mamy. Nie mogła się zdecydować. Mówiła, że powinnam skończyć szkołę, że już tyle czasu spędziłam poza domem. Ale potem mnie zaskoczyła.

– Decyzja zależy od ciebie – oświadczyła, zanim się rozłączyłyśmy. – Rok szybko przeleci, a mam nadzieję, że za rok złożą ci podobną propozycję. Wiem jednak, że to twoje marzenie i nie chcę, żebyś czegoś żałowała.

Nie wiedziałam, co robić. Grałam na zwłokę, przez kilka dni powtarzałam Kevinowi, że potrzebuję czasu, by wszystko sobie poukładać. Obaj z Johnem zapewniali mnie, że będę mogła się uczyć i zdam egzaminy końcowe w szkole średniej. A oni przyznają mi stypendium, które pokryje koszty utrzymania i podróży. Było to kuszące i wspaniałe.

Jednak moja starsza siostra Erica miała wkrótce urodzić pierwsze dziecko, dziewczynkę, dla której już wybrała imię – Mariah. A mama i ja spędzałyśmy razem czas, kochając się, ciesząc się swoim towarzystwem, nareszcie mieszkaliśmy w wygodnym, własnym mieszkaniu z moją siostrzyczką Lindsey. Nie chciałam ich zostawiać i wyprowadzać się sama do wielkiego miasta. Jeszcze nie.

– Chcę najpierw skończyć szkołę, w domu – zakomunikowałam Kevinowi i Johnowi. – Mam nadzieję, że za rok nadal będziecie mnie chcieli.

Pokiwali głowami z uśmiechem.



Jako prezent pożegnalny dostałam od American Ballet Theatre stypendium Coca-Coli, pieniądze na pointy i treningi. Potwierdzili, że mam zapewnione miejsce w Studio Company, kiedy ukończę szkołę.

Wróciłam do domu podekscytowana perspektywą kariery, chcąc jak najszybciej zdać egzaminy. Miesiące przeleciały jak z bicza strzelił. Zżyłam się z dziewczętami z centrum baletowego Laurisden bardziej niż z koleżankami ze szkoły w San Pedro, ale kiedy na horyzoncie pojawiły się egzaminy dopuszczające do dalszej nauki, mama nalegała, bym do nich przystąpiła.

Większość moich koleżanek ze szkoły to były Azjatki i w piątki, gdy spotykały się w Mabuhay Club, siedziałam przy stole w kampusie sama, chyba że Lindsey, która była już w dziewiątej klasie, mogła do mnie dołączyć.

Na końcowy bal zaprosiło mnie dwóch chłopców, jeden był Amerykaninem pochodzenia koreańskiego, drugi – Afroamerykaninem. Poszłam z tym pierwszym, bo wcześniej mi zaproponował, cała w szoku, że w ogóle ktokolwiek mnie zaprosił. Byłam taka nieśmiała, że paraliżowała mnie sama myśl o towarzystwie chłopaka. Nie miałam wcześniej żadnej randki. Gdyby sam Justin Timberlake zaprosił mnie do kina, to nie wiem, czy bym poszła, choć go uwielbiałam.

Na bal wyprostowałam włosy i włożyłam czerwoną sukienkę do ziemi z rozcięciem na niemal całej długości. Przyjęcie odbywało się w sali balowej hotelu Intercontinental w centrum Los Angeles. Cały wieczór byłam spięta. Najgorszy moment nadszedł, gdy mój partner chciał mnie pocałować, kiedy po balu kontynuowaliśmy zabawę u jednej z koleżanek z klasy. Odwróciłam się z odrazą. Nigdy jeszcze nie całowałam się z chłopakiem. Nawet nie trzymałam się z żadnym za rękę, chyba że chodziło o partnera z *pas de deux*, unoszącego mnie i wirującego ze mną na scenie.

W czerwcu skończyłam szkołę i najszybciej jak mogłam zrzuciłam szkolną togę i biret, by spakować walizki. Na dobre wyjeżdżałam do

Nowego Jorku.

Program letni różnił się nieco od ubiegłorocznego. Teraz głębiej już tkwiłam we wspólnocie American Ballet Theatre.

Zamiast w klasztorze w Green Village miałam mieszkać u Isabel Brown. Kiedy taksówką jechałam do niej na zachodnią stronę Manhattanu, nawet nie przypuszczałam, że jej dom stanie się moim na następne dwa lata.

W świecie baletu Isabel Brown jest legendą, częścią słynnej Dynastii Brownów. Isabel tańczyła z zespołem Teatru, kiedy tylko został założony, kilkadziesiąt lat wcześniej. Tam poznała przyszłego męża, Kelly'ego Browna, który również był tancerzem. Ich syn Ethan został solistą, a córka Leslie uczyła mnie podczas obydwu kursów letnich. Ethan wciąż był solistą, kiedy dołączyłam do zespołu Teatru.

W ciągu ostatniego roku w szkole dowiedziałam się, że to Isabel zaproponowała, bym u niej mieszkała, kiedy wrócę do Nowego Jorku. Niezwykły zaszczyt. Była wspaniała, elegancka, a jej dom przypominał rezydencję kogoś ze śmietanki towarzyskiej sportretowanej w *Opowieści filadelfijskiej*. We wszystkich pokojach stały antyki, połyskujące stoły wykonano z mahoniu.

Buszowałam wśród półek pełnych książek, szperając w starych programach Teatru, sięgających jego początków. W filmie *Punkt zwrotny* z Michailem Barysznikowem, Shirley MacLaine i Anne Bancroft, opartym na historii rodziny Brownów, Leslie grała jedną z głównych ról.

Spełniła się przepowiednia Cindy. Jadłam kolację w królewskim gronie.



Chociaż już nie mieszkaliśmy razem, Ashley też ponownie uczestniczyła w kursie letnim Teatru i znowu miałyśmy tańczyć główne role podczas przedstawienia końcowego. Pierwszy raz mogłam pracować z legendarną choreografką Twylą Tharp, której choreografii będę często tańczyć, gdy już wejdę w skład głównego zespołu American Ballet Theatre.

Podczas kursu letniego czas u boku Twyli biegł szybko. Najbardziej zapamiętałam jej pochwały dotyczące mojej płynności i techniki. Twyla uczyła Ashley i mnie oraz swą protegowaną Elaine Kudo, którą przygotowywała do pracy zaliczeniowej – *Push Comes to Shove*, baletu wystawionego pierwszy raz w 1976 roku, w którym tańczyli wówczas Elaine i Barysznikow. Zawsze mnie do niej ciągnęło. Kiedy jeszcze mieszkałam u Cindy i oglądałam stare wideo z Miszą, Gelsey i Natalią Makarową, Elaine Kudo była jedną z tancerek, które uwielbiałam. Miałam czternaście czy piętnaście lat, kiedy pierwszy raz obejrzałam *Push Comes to Shove*, a teraz tańczyłam partię Elaine dla samej Twyli! Ułożyła choreografię specjalnie dla mnie. Miałam wrażenie, że śnię.

Później, kiedy weszłam do baletu Teatru, naprawdę poznałam Twylę. Miała srebrne włosy ostrzyżone na boba, nosiła luźne spodnie i bluzy, wyglądała jak dorastający chłopiec. W odróżnieniu od tancerek, które głodowały, by pozostać szczupłe i drobne, Twyla zawsze miała pod ręką coś do jedzenia. Jedną z jej słabostek jest podjadanie lunchu prosto z plastikowych opakowań. Wyciskała z tancerzy ostatnie poty. Kiedy stajesz na scenie, by wystąpić w jednym z jej układów, przećwiczyłaś go już tyle razy, że nie ma miejsca na niespodzianki, są tylko pełne doskonałości, pewne ruchy. Wręcz rzygasz choreografią, a przedstawienia mogą przez to wydawać się mniej spontaniczne i swobodne. Zawsze z zadziwieniem przyglądałam się jej pracy, choć nigdy nawet nie marzyłam o tym, że będę mogła u niej ćwiczyć. Jest jak petarda, pełna dzikiej energii, demonstruje ruchy, jakich nie widziałam nigdy wcześniej. Upodobała sobie specjalnie mężczyzn z Teatru, dosłownie pędząc ku nim i przeskakując ponad nimi, gdy układa choreografię i tworzy. Kiedy tylko pojawiała się na próbach, chłopcy ściągali koszulki i tańczyli półnago, demonstrując błyszczące klaty, bo wiedzieli, że Twyla to lubi. Jest nieustraszona, agresywna.

W środku kursu John znów nawiązał do tego, jak się cieszy, że dołączam do młodzieżowego zespołu Teatru. Miejsce na mnie czekało, ale świadomość, że wciąż we mnie wierzą, uskrzydlała. Gdy skończyło się lato,

odtańczyliśmy końcowe przedstawienie i zgasły światła, Kevin znów wezwał mnie na scenę. Był spokojny. Zapowiedział, że zanim oficjalnie dołączę do Studio Company, będę ćwiczyć z głównym zespołem i pojedę z nim do Chin.

Zapisałam w pamiętniku:

„Kevin pogratulował mi występu i tego, że otrzymałam kontrakt. Byłam zaszokowana... Powiedział, że jestem wyjątkowa i będą uważnie mi się przyglądać. Dodał, że wprost nie może uwierzyć, jak świetnie mi idzie z tańcem współczesnym, jak dużo umiem, a jednocześnie doskonale radzę sobie z baletem klasycznym. To było ogromną niespodzianką”.

Mama, która podczas poprzedniego kursu nie mogła wziąć urlopu, by przyjechać na pokaz, tym razem przyleciała, aby oglądać mnie w *Push Comes to Shove*. Została dłużej, chcąc pomóc mi w przygotowaniach do nowego etapu w moim życiu – roli profesjonalnej baletnicy w samym Nowym Jorku.

– Masz paszport? – spytał Kevin.

Nie miałam. Jak cała rodzina. Ale gdybym musiała, byłam gotowa spać na chodniku przed biurem paszportowym, by go dostać. Unosiłam się nad ziemią. Miałam siedemnaście lat i tańczenie z głównym zespołem – zanim w ogóle weszłam do Studio Company – przekraczało moje wyobrażenia.

Następnego dnia mama poszła ze mną do biura paszportowego. Niedługo miałam skończyć osiemnaście lat i pierwszy raz wyjeżdżałam z kraju.



Wyjechaliśmy na dwa tygodnie, tańczyliśmy w Szanghaju i Taipei, zrobiliśmy sobie wycieczkę do Singapuru. Jako stażystka miałam ograniczony kontrakt, występowałam w balecie, w tle solistów i pierwszych tancerzy. To był niesamowity zaszczyt, nie miałam przecież żadnego doświadczenia zawodowego. Wystąpiłam w *Bajaderze* w scenie walca i jako jedna z dziewcząt-kwiatów u boku koleżanki o imieniu Leyla. Kiedy nie

miałyśmy prób ani nie występowałyśmy, razem zwiedzałyśmy park wodny Bihai Jinsha i świątynię Chenguang.

Gdy wróciłam do domu, oficjalnie zajęłam miejsce w zespole Studio Company American Ballet Theatre. Zaczęła się moja wspinaczka po szczeblach kariery.



Studio Company składało się z sześciu dziewcząt i sześciu chłopców, którzy ćwiczyli, trenowali i próbowali razem przez rok, by wejść w skład zespołu głównego. Podróżowaliśmy głównie po Stanach, do szkoły w Buffalo, do małych teatrów w Cape Cod. Pojechaliśmy też na Bermudy, sunąc obolałymi stopami przez biały piasek i turkusowe wody. Było jak w raju. Większość z nas znała się z kursów letnich Teatru, więc byliśmy zżyci niczym bracia i siostry.

Po pokazach tancerze rozmawiali z młodymi ludźmi z publiczności. Do dzisiaj drażnią się ze mną, bo większość pytań była kierowana do mnie – gdyż znano mnie z telewizyjnych informacji dotyczących procesu – i dotyczyła tego, czy w końcu zostanę niezależną nastolatką, czy nie.

– Czy to ty wystąpiłaś w programie Leeze? – to pytanie padało nieuchronnie.

– Tak, ale wszystko świetnie się ułożyło – odpowiadałam ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy. – Wróciłam do domu, do mamy, i wszystko jest w porządku. Jeszcze jakieś pytania?

Starłam się zostawić przeszłość za sobą, lecz nie powinnam była być zdziwiona, że kontrowersje ciągnęły się za mną i wpływały na moje życie. Nawet na Bermudach bałam się, że moje nawracające migreny zagrażą planom związanym ze Studio Company.

W Studio Company prawie zawsze występowałam w *pas de deux* ze *Śpiącej królowny*. Tańczenie roli Aurory, głównej bohaterki, było zaszczytem. Brałam udział w przedstawieniach u boku Davida Hallberga,

obecnie pierwszego tancerza Teatru, i Craiga Salsteina, aktualnego solisty Teatru.

W Studio Company wszyscy mnie lubili, a ja cieszyłam się z ciepłego przyjęcia. Zaczynałam odnajdować własną drogę. Mój głos – tłumiony przez niemal całe dzieciństwo, uwolniony dzięki czasowi spędzonemu z Cindy i ponownie zgaszony przez traumę batalii w sądzie – rozbrzmiewał na nowo. Domagałam się, by uznano moją osobowość – byłam Misty, baleriną z Teatru! Pierwszy raz w życiu mówiłam głośno, wręcz krzyczałam. Mała dziewczynka, której żołądek ścisnął się, kiedy musiała opowiedzieć o książce, teraz wygłaszała opinie o tańcu, o muzyce, o wszystkim. Dyskutowałam z Renatą Pavarm, członkinią Studio Company pochodzącą z Brazylii, który z zespołów jest lepszy.

– ‘NSYNC! – wrzeszczałam.

– Backstreet Boys! – odkrzykiwała, zanim zawarłyśmy rozejm i poszłyśmy na burritos do Señor Swanky. Renata została jedną z moich najlepszych koleżanek i nadal jesteśmy razem w głównym zespole. Jednak moją najbliższą przyjaciółką w Studio Company była Leyla Fayyaz. Razem zostałyśmy wybrane na staż z głównym zespołem podczas wyjazdu do Chin i od razu stałyśmy się jednym ciałem. Obie uwielbiałyśmy hip-hop i dużo czasu spędzałyśmy, słuchając Eminema. *Will the Real Slim Shady please stand up?*

Leyla i ja mieszkałyśmy razem w Chinach i podczas objazdów ze Studio Company. Była piękna – stanowiła mieszankę krwi kubańskiej, libańskiej i perskiej. Uważałam, że doskonale opanowała klasyczną technikę i styl. Uważałyśmy się za bratnie dusze. Razem poznawałyśmy Nowy Jork, najpierw jako dzikie dziewczynki gapiące się na resztki *peep shows* przy Times Square, potem jako młode kobiety, chodzące na przyjęcia i spotykające się z mężczyznami. Odkrywałyśmy miasto, patrząc na wszystko szeroko otwartymi oczami turystek z obcego kraju. Po moim pierwszym roku w Nowym Jorku zakochałam się w tym mieście.

Leyla i ja polegałyśmy na sobie pod każdym względem. Zaczęłyśmy od

rygorów baletu, tak dobrze znanych nam obydwu, a skończyłyśmy na odkrywaniu wielkiego świata Manhattanu. Kiedyś w Central Parku zatrzymał nas patrol policji. Myśleli, że jesteśmy nastolatkami na wagarach. Musiałyśmy wyjaśniać, że tańczymy w American Ballet Theatre i pokazać nasze identyfikatory z Metropolitan Opera, żeby nam uwierzyli. Pozostałyśmy bliskimi przyjaciółkami nawet wtedy, gdy Leyla zaledwie po roku opuściła Teatr, by zacząć naukę w Hunter College; towarzyszyłam jej, gdy musiała wytańczyć sobie drogę do studia i na końcowe egzaminy. Wiele razy u niej nocowałam. Byłyśmy nie tylko ciekawymi życia młodymi kobietami: Leyla też debiutowała późno, jak wiele balerin. Bez niej bym sobie nie poradziła. Teraz pracuje w Nowym Jorku jako producentka dla porannego wydania FOX5.

Kiedy miałam dziewiętnaście lat, awansowałam do głównego zespołu baletowego American Ballet Theatre.

Zespół baletowy jest częścią całej instytucji. To podstawa, która pomaga snuć opowieść, nadaje koloryt marzeniom paszy w *Bajaderze*, zapełnia las w *Giselle*. Jednak większość tancerek mierzy wyżej, chcą się wyróżnić, by zatańczyć solo, a pewnego dnia zostać primabaleriną, członkinią elitarniej grupy zrzeszającej te, które tańczą Kitri, Sylwię czy Aurorę. Awans ze Studio Company do zespołu baletowego można porównać z przejściem z ligi okręgowej do zespołu ekstraklasy. Szansa była w zasięgu ręki, jeśli tylko ktoś potrafił ją pochwycić, wyczuć – wytańczyć sobie.

W Studio Company panował rygor i dążenie do doskonałości, co oczywiste, ale też bardzo koleżeńska atmosfera.

A teraz zostałam jedną z nowych w zespole baletu. Rywalizacja była ostra. W zespole baletowym nikt nie wiedział, że jestem cudownym dzieckiem, zresztą wcale ich to nie obchodziło. Tutaj reputacja mnie nie wyprzedzała. Musiałam zaczynać od początku. Było tak, jakbym każdego dnia, na zajęciach czy próbach, pierwszy raz stawiała się na przesłuchanie. Żadnego miejsca na wymówki, żadnej taryfy ulgowej – bo późno weszłam w świat baletu. Nie było Cindy ani Loli de Avila. Nikt mnie nie trzymał za

rękę ani nie pomagał odnaleźć się w nowym otoczeniu. Wielu członków zespołu baletowego było ode mnie starszych o kilka lat (byli starsi niż dzisiejszy skład Teatru) i czułam, że muszę szybko dorosnąć. Nie sądzę, bym wyróżniała się niedostatecznym wytrenowaniem, ale musiałam się dostosować, dopasować do kolegów, a zarazem starać się o szansę na solowy występ. Byłam onieśmielona i znów czułam, że mój głos brzmi coraz ciszej. Czułam, że wielu tancerzy – a także nauczycieli – bezustannie mnie ocenia i zastanawiają się, skąd się tu wzięłam. Może po części były to moje wyobrażenia, ale mimo przyjaźni z Leylą i uwielbienia dla Teatru czułam się samotna.

Balet od dawna należał do białych i bogatych. Nasze codzienne masakrujące palce ćwiczenia sprawiały, że zużywaliśmy pointy jak chusteczki do nosa, a buty kosztowały osiemdziesiąt dolarów za parę. Wywodziłam się z rodziny, która nie zawsze miała co do garnka włożyć, a pierwszy balet obejrzałam, mając czternaście lat. Większość moich koleżanek dorastała w otoczeniu sztuki, pierwsze tiulowe spódniczki wkładały, kiedy tylko nauczyły się mówić. Zjeździły Europę, a ja paszport otrzymałam dopiero jako siedemnastolatka. Ich rodziny miały letnie posiadłości. A ja dorastałam w rozpadającym się motelu.

Za to wyróżniałam się pod innym względem, może ważniejszym. Byłam małą brązową dziewczynką w zalewie bieli. Bycie „tą jedyną” nigdy wcześniej nie zaprzętało mi głowy. Chodziłam do świątyni z Babulką i Dziadkiem, patrzyłam z rodzinnych fotografii u Bradleyów, spędzałam z nimi wakacje w San Diego i nawet nie myślałam, jak bardzo różnimy się wyglądem. Jednak kolor skóry nie przykuwał mojej uwagi także dlatego, że i oni nie zwracali na to uwagi – a przynajmniej nie w negatywnym sensie.



Pod pewnymi względami zespoły baletowe przypominają jednostki

wojskowe: obowiązuje w nich hierarchia i dryl, a dni mijają na wyczerpujących fizycznie zajęciach.

American Ballet Theatre, jak większość zespołów, prowadzi szkołę dla uczniów, których ma nadzieję sobie wychować. Następne w kolejce jest Studio Company, coś w rodzaju szkoły dla najbardziej obiecujących. Kiedy odsłuży się tam swoje, zwykle dostaje się zaproszenie do zespołu głównego, jak było ze mną.

Zespół główny składa się z baletu, liczącego około 50 tancerzy, garstki solistów i pierwszych tancerzy oraz primabalerin, gwiazd Teatru. Ich liczba nie jest z góry określona, choć zwykle solistów jest około dziesięciorga, a głównych tancerzy około dwadzieściora. W American Ballet Theatre są dwa sezony, wiosenny i jesienny. Jesienią trzy do czterech tygodni występujemy w Nowym Jorku, naszym rodzinnym mieście. Zwykle wystawialiśmy przedstawienia na scenie City Center, niedaleko Carnegie Hall. Teraz gramy w Koch Theater w centrum Lincolna, blisko naszej wiosennej siedziby, Met. Sezon wiosenny trwa osiem tygodni, a niekiedy zimą w brooklyńskiej Academy of Music organizujemy także mniej więcej czterotygodniowy cykl *Dziadka do orzechów*.

Chociaż okresy przedstawień zajmują tylko kilka tygodni, pracujemy przez cały rok. Próby rozpoczynają się w połowie września, a jakieś dwa tygodnie później jedziemy w objazd, czy to po Stanach, czy za ocean. Jesteśmy w podróży niemal bez przerwy między próbami w Nowym Jorku i przez dwa tygodnie po zakończeniu sezonu wiosennego w lipcu.

W lecie mamy około dwóch miesięcy wakacji, ale w sumie pracujemy przez trzydzieści pięć tygodni w roku, chociaż nie oznacza to, że bez żadnych przerw. Osiemnaście spośród tych tygodni spędzamy na próbach, a pozostałe siedemnaście występujemy.

Podczas tygodni wypoczynkowych, które nazywamy „wypowiedzeniem”, zwykle przyjmuję inne propozycje występów, pozwalające mi doskonalić technikę i w lepszej formie powrócić do Teatru na nowy sezon. Czekający

nas wysiłek fizyczny jest wyczerpujący. Kiedy pracujemy nad repertuarem na nadchodzący sezon, każdy dzień zaczynamy od dziewięćdziesięciminutowych zajęć baletowych, pozwalających tancerzom rozgrzać mięśnie. Próby trwają od południa do siódmej wieczorem. Przeważnie mamy przerwę na lunch od trzeciej do czwartej, ale nie zawsze. W każdym innym zespole baletu klasycznego na poziomie American Ballet Theatre zajęcia są obowiązkowe, zarówno ze względu na to, by dyrekcja miała pewność, że tancerze utrzymują szczytową formę, jak i dla wygody samych tancerzy. Jednak w Teatrze uczestnictwo w zajęciach jest dobrowolne. W zespole jest nas około osiemdziesięciorga, dzielimy się na dwie grupy, do pracy przy drążku i na środku. Lekcje odbywają się równocześnie w studiach pierwszym i piątym. Można wybrać tę, która danej osobie bardziej odpowiada, bo zajęcia prowadzi konkretny nauczyciel, albo dlatego, że ktoś nie chce ćwiczyć z kimś innym, kto akurat ma zły humor. Zespół próbuje od wtorku do soboty, wolne mamy tylko niedziele i poniedziałki.

W sezonie występów czas jest jeszcze bardziej wypełniony. Zaczynamy w teatrze od zajęć porannych, a później próbujemy i gramy od wpół do jedenastej rano do jedenastej w nocy. I tak cały czas, od poniedziałku do soboty. Nawet podczas „wypowiedzenia” chodzę na poranne zajęcia baletowe, dodatkowo kilka razy w tygodniu ćwiczę pilates i odbywam treningi z monitorowaniem pracy serca.

Ćwiczenia i zajęcia z baletu są najważniejsze – nie tylko dlatego, że pomagają zachować formę, ale również dlatego, że pozwalają demonstrować sprawność i technikę, które pozostaną w pamięci tych, którzy będą ustalać obsadę na nadchodzący sezon. Jako członek zespołu możesz się wyróżnić tylko podczas treningów lub występu zbiorowego na scenie, a jedynie to prowadzi do występu solowego i pozycji gwiazdy. W Teatrze nie ma przesłuchań do poszczególnych ról. Najbliższe temu jest przygotowywanie nowego baletu przez choreografa. Wtedy dwadzieścia kilka osób, wśród nich i ty, uczestniczy w procesie twórczym. Wszyscy

tancerze uczą się tych samych ruchów, a choreograf może zobaczyć, kto mu najlepiej pasuje i najlepiej wykonuje budującą się partię. Każdy chce pokazać, że szybko łapie ruchy i potrafi się dostosować do wszelkich zmian wprowadzanych przez choreografa.

Zwykle jednak droga do pozycji gwiazdy nie jest taka przejrzysta i w dużej mierze wymyka się spod kontroli. Kevin będzie cię obserwował po cichu, na lekcjach i na scenie, a potem zdecyduje: dać ci szansę czy nie. Soliści i pierwsi tancerze zwykle wiedzą, jakie role będą tańczyć przez cały rok i jakich będą się uczyć do planowanych przedstawień. Dowiadują się tego podczas obowiązkowych spotkań organizacyjnych całego zespołu z Kevinem i jego zastępcą, odbywanych dwa razy do roku. Potem mają stały, rygorystyczny grafik prób, na których uczą się roli i ją doskonalią.

Droga na szczyt w zespole jest równie subiektywna i powiedziałabym, że nieco tajemnicza, kiedy nią podążasz. Chociaż niektóre zespoły europejskie organizują coroczne przesłuchania na najwyższe stanowiska, w Teatrze znów wszystko polega na obserwacji. Nagle pewnego dnia trafiasz do nielicznego grona szczęśliwców, o czym dowiadujesz się, bo poklepano cię po ramieniu albo odebrałaś pilny telefon, wzywający cię do gabinetu Kevina, gdzie informują cię o awansie.



Dopiero zaczynałam drogę do kariery solowej i głównych ról, atrament ledwo wysechł na moim pierwszym kontrakcie, gdy miesiąc miodowy gwałtownie się skończył. Inne zespoły i inni choreografowie zaczęli mnie już wówczas zauważać i składali mi propozycje wypełniające cały okres „wypowiedzenia”, które gorliwie przyjmowałam, bo pochlebiało mi ich zainteresowanie i zachłannie wykorzystywałam każdą sposobność doskonalenia techniki.

Próby często rozpoczynały się późno i trwały do nocy. Podczas jednej z nich, w budynku Juilliarda w Lincoln Center, pracowałam

z choreografem nad przedstawieniem. Pamiętam, że była to sztuka współczesna, więc ciało musiało wykonywać ruchy, do jakich nie byłam przyzwyczajona. Nagle poczułam przeszywający ból w dole pleców. Jak głupia dalej tańczyłam przez kilka tygodni, obolała, zanim w końcu poszłam do szpitala na rezonans.

Okazało się, że mam złamanie przeciążeniowe w odcinku lędźwiowym kręgosłupa. Takie urazy zwykle zaczynają się łagodniej, a do pęknięcia dochodzi po pewnym czasie. Kiedy zaczynasz odczuwać jego skutki, schorzenie rozwija się już przez rok albo dłużej. W moim przypadku niezwykle było to, że wszystko stało się tak szybko.

Nigdy wcześniej nie odniosłam żadnej kontuzji, ale zdawałam sobie sprawę, że zawdzięczam to wyjątkowemu szczęściu. Urazy są codziennością w świecie baletu. Każdego dnia ktoś doznaje złamania przeciążeniowego, naciąga mięsień czy sztywnieje mu kark, bo bezustannie tańczymy, tańczymy, tańczymy. W Teatrze mamy ten komfort, że wśród tylu utalentowanych tancerzy łatwo znaleźć kogoś, kto się doszkoli i zastąpi osobę zmuszoną do pauzowania.

Jednak uraz może sprawić ból psychiczny dorównujący fizycznemu. Jednego dnia jesteś gwiazdą na scenie. Następnego jesteś wyłączona, a ktoś inny wchodzi na scenę, tańcząc twoją rolę. I popadasz w zapomnienie. Doznałam urazu w środku „wypowiedzenia”. American Ballet Theatre szykował się do kolejnego sezonu, więc pewnego dnia zadzwonił do mnie Kevin McKenzie. Chciał, żebym przyszła i zaczęła próby z zespołem. Chciał, żebym zatańczyła Klarę w *Dziadku do orzechów*.

To byłby powrót do korzeni. Występy w roli Clare w *Czekoladowym dziadku do orzechów* z Debbie Allen zwróciły na mnie uwagę i utwierdziły opinię cudownego dziecka. Kochałam tę rolę. Powiedziałam Kevinowi, że przyjdę.

Jednak kręgosłup tak mnie bolał, że w końcu musiałam się wycofać i rzec roli. Długo dochodziłam do zdrowia i formy. Dwadzieścia trzy godziny dziennie, przez sześć miesięcy, musiałam nosić gorset.

Zdejmowałam go tylko do mycia. Potem czekało mnie kolejnych sześć miesięcy rehabilitacji. Nareszcie awansowałam ze Studio Company do zespołu głównego, a teraz przez cały pierwszy rok nie będę mogła tańczyć.

Dwanaście miesięcy później, gdy wrócę na scenę Teatru, będę cięższa i starsza. Już nigdy nie zaproponują mi roli Klary.

Jednak wówczas jeszcze tego nie wiedziałam. Świat zawodowego baletu był dla mnie tak nowy, że tkwiłam w błogosławionej nieświadomości, o jaką stawkę gram. I to chyba ocaliło mnie przed stresem, który teraz odczuwam tak często. Byłam zbyt naiwna, by martwić się, że nie dostanę następnej szansy, za bardzo skupiałam się na tym, by wyzdrowieć i za bardzo ekscytowała mnie przyszłość, by myśleć tylko o tym, że inna tancerka zabłyśnie w tej roli.

„Muszę przez to przejść – powiedziałam sobie. – Kiedy wrócę, zacznę w tym samym miejscu, w którym skończyłam”.

Ciało tancerki jest instrumentem, na którym gra, krosnem, na którym tka magię. Jednak my zabierałyśmy nasze ciała tam, gdzie nigdy nie trafiłyby w sposób naturalny. Kazałyśmy im fruwać, tańczyć na czubkach palców, wirować jak derwisz. Poddawałyśmy je niewiarygodnym obciążeniom. I czasami się potykałyśmy. Lub łamałyśmy.

[3] Śniadanie gotowe! (hiszp.)

Rozdział 8

Wyobraźcie sobie balerinę w tiulowej spódniczce i baletkach. Jak wygląda?

Większość osób odpowie, że jak wróżka na delikatnych nóżkach i z giętkimi ramionkami, z płową grzywą i porcelanową cerą, wirująca w blad różowym obłoku gazy.

A oto ja, z szeroką klatką piersiową, muskularnymi kończynami i wcięciem w talii. Moje ciało jest stworzone do tańca – pod każdym względem. Mam nogi aż do nieba, długie ramiona, plastyczne jak guma. Mam długą szyję i małą głowę, a kiedy stoję prosto, kolana wyginają mi się do tyłu. Wiele młodych baletnic spogląda na te dziwaczne kolana z zazdrością, usiłując naśladować moją sylwetkę. A ja już się taka urodziłam.

Mogę się założyć, że nie wiecie, iż potrafię fruwać. Potrafię wyskoczyć w powietrze, szybować przez chwilę, a potem leciutko osiąść na scenie z wdziękiem określanym w balecie jako *ballon*. Ciało mam mocne, zdolne godzinami wykonywać *jetés* i *fouettes*, skoki i obroty, zarówno w studiu, jak i na scenie. Jednak balet to nie tylko zdolności i wytrzymałość. Trzeba też wyglądać odpowiednio do roli.

A tak nie było. Trzeba sobie uświadomić, że mimo iż mamy rok 2014, rasizm nadal panuje i na świecie, i w balecie. Chroniono mnie przed nim, kiedy byłam dziewczynką, ale to los mi sprzyjał. Dzięki temu dotarłam tu, gdzie jestem. Moje zaufanie wynikało właściwie z naiwności w kwestii

uprzedzeń panujących w świecie baletu. Jako dorosła kobieta widzę w tym błogosławieństwo, chociaż zaprawione nutką goryczy.

Nadszedł wreszcie czas, kiedy stałam w szeregu z baletnicami o chłopięcych figurach, a moje ciało się wyróżniało.

Jako nastolatka miałam chyba dużo szczęścia. Jadłam, co chciałam – batoniki, hamburgery, dania z puszki i każde śmieciowe jedzenie, jakie mi wpadło w ręce. Nawet gdy zaczęłam tańczyć, nie wiedziałam, jak należy się odżywiać, by dostarczyć ciału baletnicy wszystkiego, co niezbędne podczas dojrzewania. Cindy zadbała o to, by poszerzyć moje smaki. Jednak makaron z krewetkami, które tak kochałam, niespecjalnie sprzyjał zachowaniu szczupłej sylwetki. W centrum baletowym Lauridsen i w balecie San Francisco skupiano się na technice tańca, a nie na mojej diecie.

Prawda jest taka, że gdy już potrafiłam zawisnąć w powietrzu podczas *grand jeté*, moje ciało także zawisło w wiecznej niedojrzałości. W wieku dziesiętnastu lat ważyłam niespełna pięćdziesiąt kilogramów i jeszcze nie miałam menstruacji.

Po urazie dochodziłam do siebie w domu, w San Pedro, i bawiłam się jak nigdy w życiu. Mama była zadowolona, że jestem z nią i troszczyła się o mnie tak, jak nigdy od kiedy przestałam być dzieckiem. Liz i Dick też o mnie dbali. A ja robiłam rzeczy, których nie miałam szansy spróbować w szkole, bo byłam zbyt skupiona na balecie albo za bardzo nieśmiała.

Zrobiłam prawo jazdy. Wychodziłam się zabawić z moją przyjaciółką Cataliną, poznaną pierwszego dnia w szkole Cindy. Bywałyśmy na imprezach na plaży, gdzie siadywaliśmy przy ognisku, rozmawialiśmy, żartowaliśmy i śmialiśmy się do późna w nocy. Wybrałam się też z Leylą i jej rodziną na pierwszy w życiu rejs – do Meksyku i na Jamajkę. Miłe chwile były okupione ogromnym wysiłkiem, by wrócić do zdrowia. Chodziłam na zajęcia do Diany, mojej dawnej nauczycielki baletu, i na pilates, gdzie odzyskiwałam siłę i wytrzymałość.

Pozostawałam w kontakcie z American Ballet Theatre, a Kevin i reszta

kadry bardzo mnie wspierali. Co pewien czas jeździłam do Nowego Jorku, do fizykoterapeuty. Kevin jasno powiedział, że mam się nie śpieszyć i w pełni dojść do zdrowia, a kiedy już będę dobrze się czuła, dołączę znowu do zespołu.

Gdy zaczynał się mój drugi rok w zespole, byłam gotowa wrócić na scenę. Miałam nowy kontrakt i poleciałam do Nowego Jorku spragniona tego, by znów zatańczyć z zespołem. Nie byłam jednak tą samą baleriną, którą znał Teatr. Kiedy podczas rekonwalescencji jeździłam do Nowego Jorku, odwiedziłam lekarza, który przeprowadził badania i stwierdził, że martwi się o wytrzymałość moich kości i niepokoi tym, że jeszcze nie mam okresu. Chociaż nie utrzymywałam stosunków seksualnych, postanowił, że trzeba sprawy przyspieszyć i przepisał mi pigułki antykoncepcyjne.

Nie był to najnaturalniejszy sposób osiągnięcia dojrzałości. Właściwie moje ciało zmuszono, by dorosło. No to dorosło. W ciągu kilku tygodni dostałam okres i przytyłam pięć kilo. Tam, gdzie były pączuszki, które ledwo wypełniały najmniejszy stanik, pojawiły się pełne i ponętne piersi. Były tak obce, że czułam ich niewygodny ciężar. Kiedy patrzyłam w lustro, zatykało mnie ze zdziwienia.

Kiedy na dobre wróciłam do Nowego Jorku, miałam zupełnie odmienione ciało. Miesiączkowałam, byłam cięższa i miałam spory biust. Moje ciało było ciałem kobiety, a jeszcze do niego nie przywykłam. Szybko zrozumiałam, że American Ballet Theatre też czekał na dziewczynkę, jaką byłam wcześniej.

Tańcząc w zespole, ciągle wymieniasz się kostiumami z innymi dziewczętami, niekiedy tańczycie w tym samym stroju jako trzy zmienniczki w obsadzie jednego baletu. Teatr nie ma ani czasu, ani pieniędzy, by indywidualnie dopasowywać kostiumy do ciała każdej z baletnic.

Kiedy po raz pierwszy wróciłam do Nowego Jorku, miałam wystąpić w *Giselle* i w *Jeziorku łabędzim*. Jednak kostiumy, które mi dano po innych tancerkach, o chłopięcych kształtach, były za ciasne w biuście. Krawcowe

musiały popuszczać stroje w szwach, trochę poluzować tu, trochę tam, by pasowało. Byłam zła i zakłopotana. Moja pewność siebie zaczynała topnieć.

Wciąż szukałam dobrego stanika, który podtrzymywałby mi piersi podczas występów, ale zbyt nie podkreślał biustu. Musiał być tak dobrany, abym mogła ruszać się i oddychać podczas tańca. W końcu wezwano mnie do dyrekcji, gdzie usłyszałam, że muszę schudnąć, chociaż nie użyli takiego słowa. Mówienie i tak szczupłym kobietom, że powinny być jeszcze szczuplejsze, mogłoby wywołać problemy prawne. Dlatego w balecie wszechobecne było grzeczniejsze określenie: „wysmukleć”.

– Musisz wysmukleć, Misty – usłyszałam. – Tylko trochę, byś nie straciła klasycznej linii.

Miałam sto pięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, ważyłam trochę ponad pięćdziesiąt kilogramów. Sugerowali, że powinienem zająć się mną dietetyk, ale balet za to nie zapłaci, więc byłam pod ścianą.

Utrzymywałam się z pensji w zespole – sześćset siedemdziesiąt dziewięć dolarów tygodniowo – w Nowym Jorku, jednym z najdroższych miast świata. A teraz jeszcze odczuwałam dodatkową presję, by zatrudnić fachowca od zrzucania wagi. Potrzebowałam siły i energii na wyczerpujące treningi. Nie mogłam przejść na ostrą dietę, przy której byłabym słaba i wyczerpana.

Tyle rzeczy pojawiało się w moim życiu z opóźnieniem – balet, dojrzałość ciała, prawo jazdy – a teraz zaczęłam odczuwać jeszcze coś, co młodzi ludzie zwykle przechodzą wcześniej, najczęściej jeszcze w szkole.

Bunt.

„Co oni sobie myślą? – mamrotałam pod nosem po długim i wyczerpującym dniu. – Jestem taka zdolna. Czemu mam być chuda jak szczapa?”

Miałam plan zapasowy: będę tańczyła lepiej niż ktokolwiek inny, będę tak doskonała technicznie i zwiewna, że wszyscy będą widzieli tylko mój talent, a nie piersi czy biodra.

Na próbach dawałam z siebie wszystko, i jeszcze więcej. Wracałam do

domu zmęczona jak pies, bolała mnie każda kosteczka. W głębi duszy wiedziałam jednak, że tym razem plan zapasowy nie zadziała. Z moim ciałem było coś nie tak. Nie odpowiadało klasycznym partiom, które tak kochałam, ani tak prestiżowemu zespołowi jak American Ballet Theatre. Ta świadomość bolała. I docierała do mnie zwykle wieczorem, kiedy byłam w domu sama, targana emocjami.



Wiele osób przypuszcza, że wśród baletnic powszechne są zaburzenia odżywiania. W zawodzie, w którym tak bardzo liczy się wygląd, gdzie kluczowe są budowa ciała i estetyka, tancerze dbają o wagę. Niekiedy ich wzorce żywieniowe nie są zdrowe. Młodzi ludzie, którzy dołączają do tak prestiżowego i wymagającego zespołu jak American Ballet Theatre, łatwo mogą poczuć się zepchnięci na margines, wyobcowani. W poszukiwaniu stabilności może ich kusić zmiana jednej z niewielu rzeczy, które mogą kontrolować: ciała.

Jednak wbrew rozpowszechnionej opinii kadra nie waży kandydatów na wstępie. Nie ma ostrzeżeń, by schudnąć, „bo inaczej...”. Mogę uczciwie powiedzieć, że w ciągu trzynastu lat, które spędziłam z Teatrem, spotkałam jedynie garstkę osób z takimi zaburzeniami odżywiania jak anoreksja. Wszyscy to widzieliśmy, choć nieczęsto o tym rozmawialiśmy. Moje doświadczenia z podobnymi schorzeniami nie wykraczają poza bolesną historię przedstawioną w telewizji Lifetime i we wspomnieniach Gelsey Kirkland – baletnicy, która przyznała się do walki z anoreksją i uzależnieniem od narkotyków.

Jak zwykle zwróciłam się z prośbą o wsparcie do Leyli, która zawsze była gotowa mnie wysłuchać. Po tym pierwszym spotkaniu „w sprawie nadwagi” byłam urażona i zagubiona. Płakałam i płakałam, a ona pocieszała mnie, że niezależnie od tego, jak się czuję, na pewno nie jestem gruba. Instykt młodej kobiety podpowiedział jej, że pocieszy mnie wyjście

do klubu. Będę mogła wytańczyć z siebie wszystkie smutki.

Poszliśmy do modnego nowego klubu „Bed”, gdzie wyciągnęliśmy się na luksusowych materacach. Ludzie podchodzili i odchodzili, przedstawiali się, zaczynali zdawkowe rozmowy. Między mną a Leylą usiadł jakiś młody człowiek i wypytywał, co robimy. Odpowiedziałam lekko jak zawsze: „Jestem baletnicą. – Dziwnie mi się przyjrzał. – Niemożliwe – rzucił. – Jesteś za duża na baletnicę. One są chude”.

Niżej już nie mogłam upaść.

Mam szczęście, że nigdy nie przyszło mi do głowy, by się głodzić lub wywoływać wymioty, by zwrócić zjedzony posiłek. Ale z perspektywy czasu widzę, że przez krótki czas cierpiałam na zaburzenie innego rodzaju. Zaczęłam „zajadać zmartwienia”.

Myśl, że jestem za gruba, paraliżowała mój umysł i bałam się, że każdy to dostrzeże. Mój obraz samej siebie stał się zdeformowany, jakbym oglądała się w krzywym lustrze.

Pochłaniałam ogromne ilości tuczącego jedzenia, ciastek i hot dogów, ale krępował mnie sam pomysł, by iść do restauracji i zamówić porządny posiłek.

„Jestem ogromna – wyobrażałam sobie. – Jak by to wyglądało, gdybym podeszła do lady i zamówiła dwa hamburgery i frytki?”

Kolejny raz sięgnęłam po plan zapasowy.

Niedaleko mnie, na Upper West Side, mieściła się firma Krispy Kreme, ale dostarczali pączki do domu tylko przy dużych zamówieniach. Dzwoniłam więc i zamawiałam dwa tuziny, czyli składałam zamówienie niby od firmy. A potem pochłaniałam lepkie ciastka za jednym posiedzeniem.

Obzarstwo wyzwalało całą gamę emocji. Najpierw czułam spokój, potem bunt – w stylu: co mi tam będą mówili, że mam stracić na wadze, napcham się. „Chcą mnie odchudzić – mówiłam do siebie, gryząc kolejnego pączka. – A ja będę jadła, co będę chciała!”. Ale następnego dnia rano czułam się strasznie, bolał mnie żołądek, ciało przepełniało poczucie winy. Miałam iść

do studia, gdzie lustra odbijają moją napęczniałą sylwetkę. Gapiłam się na siebie, nienawidząc tego, co widziałam. Przypominałam sobie, co wyprawiałam poprzedniego wieczoru, i czułam wstyd.

A potem wracałam do domu i wszystko się powtarzało. Ponieważ nadal tańczyłam i ćwiczyłam, nie przytyłam, ale i nie zeszczuplałam. Co kilka miesięcy któryś z szefów wzywał mnie: „Wierzymy w ciebie, Misty – mówił. – Chcemy rozwijać twój talent, ale nie masz tak klasycznej sylwetki jak wcześniej. Chcielibyśmy, abys wróciła do tamtych kształtów”.

Zacząłam zauważać, że łatwo wyrzeźbić mięśnie, więc muszę uważać, żeby nie rozrosły się nadmiernie. Dowiedziałam się, że mogę stosować ćwiczenia z monitorowaniem pracy serca, ale bez żadnego obciążenia. Stopniowo zaczęłam odzyskiwać równowagę. Nie poszło to błyskawicznie. Zajęło mi pięć lat, zanim zaczęłam rozumieć własne ciało, pojęłam, co mu służy, a co – nie. Uprawiałam pilates, by zyskać podstawową siłę. I dowiedziałam się jeszcze, że dieta, którą stosuję, prawdopodobnie w sześćdziesięciu–siedemdziesięciu procentach odpowiada za to, że zbytnio przybieram na wadze. Zacząłam rozumieć, że odgrywa większą rolę niż ćwiczenia i taniec. A zatem postanowiłam zmienić nawyki żywieniowe. Zacząłam unikać soli, białego cukru i mąki. Nie jem pustych kalorii, takich jak chipsy czy moje ukochane niegdyś pączki. Nie mogę jeść regularnie, bo mam zajęcia o różnych porach, ale nie piję alkoholu. Jakies cztery lata temu przestałam jeść wołowinę, wieprzowinę i drób. Kiedy przerzuciłam się na owoce morza, od razu zobaczyłam ogromną różnicę w wyglądzie. Nauczyłam się, jak dbać o ciało, które jest moim narzędziem, wierzyć mu, gdy wysyła mi sygnały, że jest w najlepszej formie i da z siebie wszystko podczas występu.

Jestem tancerką, a występy to mój żywioł. Kiedy nie mogę tańczyć, czuję się zagubiona. Musiałam więc znaleźć równowagę, która pozwoliłaby mi osiągnąć doskonałość, a zarazem nie zmuszała do przekraczania granic, których moje ciało nie udźwignie. Wiem, że posuwanie się coraz dalej i dalej – chociaż to bardzo kuszące – może spowodować, że wcale nie będę

mogła tańczyć.

Mam też bolesne wspomnienia wspierające i przypominające, że jestem czymś więcej niż tylko ciałem. Kiedy miałam szesnaście czy siedemnaście lat, pokłóciłam się z moim bystrym starszym bratem Chrisem, który pewnego dnia zostanie prawnikiem.

– Co ty w ogóle wiesz? – wykrzyczał mi w twarz. – Tancerze są tępi. Używają tylko ciała, nie mózgu!

Zabolało. Pamiętam, że czułam się tak dotknięta, iż z trudem zdobyłam się na odpowiedź. Wiedziałam, że nie jest jedynym, który tak myśli, że inni też nie rozumieją, ile trzeba z siebie dać, by zostać tancerzem. Trzeba kształtować tak wiele – mózg, emocje, ciało – by dać pokaz, który nie ujawni napięć, a pokaże publiczności tylko gwiazdny pył.

Słowa Chrisa pamiętam do dzisiaj. Czuję, jakbym za każdym razem starała się udowodnić – czy to na scenie, czy udzielając wywiadów ludziom, którzy nie wiedzą zbyt wiele o tańcu – jaka to intensywna, wielowymiarowa i wyjątkowa dziedzina sztuki. Ile zaangażowania wymaga, ile oddania i miłości.

Miałam biust i mięśnie, ale i tak byłam baletnicą. Zauważyłam, że inne tancerki też mają bardziej kobiece kształty. A American Ballet Theatre, widząc, jak ciężko pracuję, jak dobrze wypadam podczas występów, w końcu przestał nalegać, bym wysmukłała. Zaczęli patrzeć moimi oczami, zobaczyli, że krągłości są częścią mnie jako tancerki, a nie czymś, czego powinnam się pozbyć, by stać się tancerką.

Rozdział 9

Niekiedy trzeba wykorzystać chwilę, w której wszystkie światła są na ciebie zwrócone. Muzykalność ruchów, to, że widownia widzi tylko magię tańca, a nie trudności i przeszkody, które trzeba było pokonać, czyni z tancerza gwiazdę. Jednak czasami należy wtopić się w tło. W balecie werdykt zależy też od długości nóg, ruchów szyi i od tego, jak to współgra z innymi tancerzami. Zdarzało mi się patrzeć z widowni na tancerkę z wyjątkowo małą głową i myślałam sobie, że wygląda dziwnie i nie pasuje do innych.

W słynnym *danse des petits cygnes*, czyli tańcu łabędziełek w *Jeziorze łabędzim* Czajkowskiego, cztery baletnice – ptaki – tworzą łańcuch ze splecionych rąk, każda trzyma dłoń sąsiedniej. Później, równym tempem, przechodzą do szesnastu *pas de chat*, „kocięgo kroku”, wychylając się na bok i unosząc nad sceną, z ugiętymi nogami i szeroko rozstawionymi kolanami, utrzymując stopy tak wysoko, jak tylko potrafią.

To isticie akrobatyczne *pas*, wymagające od każdej tancerki wdzięku i zręczności, a zarazem idealnego dopasowania ruchów do pozostałych trzech, by wyglądały jak lustrzane odbicie, a nie cztery omylne istoty.

Jeśli kontrast między baletnicami jest zbyt widoczny, jeśli masz tułów dłuższy niż pozostałe łabędziełka, jeśli górujesz nad nimi wzrostem, cały taniec traci synchroniczność. Nie jest doskonały, a część magii umyka. Wszystko to rozumiałam. Na szczęście nie byłam znacząco wyższa ani niższa od innych członkiń zespołu, a moją budowę uważał za idealną do

baletu nie tylko George Balanchine (który nigdy mnie nie widział), lecz także Kevin McKenzie, dyrektor Teatru.

Byli jednak i tacy, którzy sądzili, że w balecie nie ma miejsca dla brązowego łabędzia. Szepty i pomruki narastały powoli. Pewnej soboty w studiu przy Manhattanie pod 890 numerem podczas pięciominutowej przerwy w próbach podszedł do mnie jakiś starszy mężczyzna. Tego dnia próby mogli oglądać przyjaciele i darczyńcy Teatru.

– Zdajesz sobie sprawę, że jesteś jedyną ciemnoskórą tancerką, prawda? – spytał otwarcie. – I możesz jako pierwsza od dziesięcioleci wyjść poza zespół.

Nie chciał być niemiły, ale z pewnością mnie zaskoczył. Nigdy nikt w Teatrze nie robił żadnych uwag na temat koloru mej skóry. Nieco zbiło mnie to z tropu.

Kilka tygodni później przenieśliśmy się do Metropolitan Opera na sezon wiosenny. Właśnie zaczęliśmy próby do *Jeziora łabędziego*, które miało być filmowane na potrzeby telewizji. Gorączkowo ćwiczyłam *pas de chat*, pragnąc idealnie dopasować się do innych łabędiątek podczas wieczoru inauguracyjnego. Podczas przerwy jadłam lunch w kafeterii, kiedy podeszła do mnie jedna z koleżanek. Wyglądała na zmieszana.

– Misty, właśnie usłyszałam rozmowę kadry – zaczęła. – Twoje imię pojawiło się w kontekście *Jeziora łabędziego*.

Poczułam zakłopotanie.

– Jak to? I co mówili?

Koleżanka powiedziała, że ktoś stwierdził, iż z ciemną karnacją odstaję od reszty zespołu, zwłaszcza w *Jeziorku łabędzim*. Ziemia usunęła mi się spod nóg. Nic nie rozumiałam. Martwiłam się, tym bardziej że zbliżał się termin nagrania baletu. Kiedy ogłoszono obsadę, okazało się, że nie tańczę w drugim akcie. „Białym” akcie.

W świecie tańca jest pewien typ określany jako „białe balety”. Jednym z nich jest *Jeziorko łabędzie*, podobnie jak *Bajadera* i *Giselle*. Drugie akty są pełne postaci z innego świata – zwierząt i duchów zmarłych – zwykle

ubranych na białą. Wszyscy muszą wyglądać tak samo – i zespół, i często nawet odtwórcy głównych ról. Zdziwiło mnie to, że ktoś chce mnie obsadzać, kierując się kolorem skóry, a nie talentem czy włożonym wysiłkiem. Bigoterię w najbardziej wyrazistej formie widziałam już, mieszkając z Robertem, słysząc obelgi, które wykrzykiwał pod adresem mojej siostrzyczki Lindsey, i wiedząc, co jego rodzina wygaduje o mojej. Ale to wyglądało na surrealistyczną, straszną aberrację.

W moim rodzinnym San Pedro mieszkali imigranci z Rosji, Japonii i Meksyku. Moi przyjaciele i sąsiedzi mieli różne korzenie. Całe lata spędziłam u ciepłej, żydowskiej rodziny, a Cindy zawsze sprawiała, że czułam się piękniejsza z powodu muśniętej słońcem karnacji i kędzierzawych włosów.

A tu nagle to, że jestem ciemna, okazało się problemem.

Raven Wilkinson, moja uwielbiana mentorka, była pierwszą czarną Amerykanką, która weszła w skład wielkiej grupy baletowej jako pełnoprawna członkini zespołu – w latach pięćdziesiątych dołączyła do Ballet Russe z Monte Carlo. Często przed występem musiała malować twarz na białą. Pół wieku później niekiedy sama musiałam tak robić.

Najpierw przyjmowałam to ze spokojem, jako element przedstawienia, i wcale się nie przejmowałam. Aby przypominać nieziemskie, podobne duchom istoty w białym balecie, wszystkie tancerki pokrywały twarz białym pudrem. Jednak do wielu występów, czy to jako ofiarna koza w *Sylwii*, czy wilida w *Giselle*, przygotowywałam się inaczej: na twarz i ciało kładłam stosowany przez jedną z koleżanek podkład w kolorze kości słoniowej, by moja skóra wyglądała na jaśniejszą. Inne tancerki żartowały sobie ze mnie.

– Misty, jesteś jedyną czarną dziewczyną, a zawsze tańczysz partię zwierzęcia, które musi być białe – chichotały. Zwykle śmiałam się razem z nimi. Dopiero po jednym z wielu występów, po kolejnym nałożeniu make-upu, zaczęłam uważać, że może to nie jest tak zabawne.



W 2007 roku, kiedy awansowałam na solistkę, w niedzielnym wydaniu „New York Timesa” pojawił się artykuł pod tytułem *Gdzie są czarne łabędzie?*. Mówił o nielicznych czarnych primabalerinach w amerykańskim balecie. O Tai Jimenez, która została pierwszą członkinią Dance Theater z Harlemu, skąd trafiła do jednego z najsłynniejszych zespołów, Boston Ballet. I o tym, jak American Ballet Theatre i New York City Ballet oświadczyły jej, że w ich szeregach nie ma dla niej miejsca.

Wspominano też o Raven Wilkinson, o tym, jak z wdziękiem stawiała czoło wyzwaniu, jakim była dla niej dyskryminacja. Zamieścili zdjęcie wspaniałej baletnicy Aeshy Ash, która tańczyła w zespole New York, ale odeszła, gdy usłyszała, że dalej już tam nie zajdzie. Była też mowa o Alicii Graf Mack, również odrzuconej przez American Ballet Theatre i New York City Ballet, która dołączyła do Alvin Ailey American Dance Theater. Byłam w zespole Teatru już sześć lat. Ten artykuł po raz pierwszy otwarcie poruszał temat samotności i przygnębienia, dręczących mnie w głębi duszy. Nigdy wcześniej nie spotkałam się z tak doskonałym opisem tego, czego sama doświadczałam: wielu ludzi nie chciało czarnych balerin, uważali, że nasza obecność sprawia, że balet traci autentyczność, romantyzm, szczerść.

Artykuł zasmucił mnie i rozzłościł. Był jednak w pewien sposób wspierający. Nie byłam sama. Przedemną doświadczyły tego inne tancerki, niekiedy w znacznie bardziej przykrych okolicznościach. Kiedy Raven Wilkinson chciała tańczyć na Południu, musiała zmierzyć się z Ku-Klux-Klanem, a w końcu opuściła zespół z powodu pogroźek. Nie mogła znaleźć pracy w kraju, więc wyjechała do Holandii i tańczyła z Het Nationale Ballet (Holenderskim Baletem Narodowym). Jej historia – i wszystkie inne – zachęciły mnie do jeszcze cięższej pracy: chciałam zostać solistką, chciałam zostać primabaleriną, chciałam zrealizować marzenia.



Artykuł pojawił się w niedzielę, poniedziałek miałam wolny, a we wtorek rano wróciłam do studia. Kiedy szłam na pierwszą próbę, zagadnęła mnie pewna zaprzyjaźniona kobieta z kadry.

– Czytałaś w „Timesie” ten głupi artykuł *Gdzie są czarne łabędzie?* – spytała tonem bardziej oskarżycielskim niż pełnym ciekawości. – O czym oni piszą? Cóż to za idiotyczna historia.

Zabrakło mi słów. Poczułam się odrzucona i osamotniona. Czy naprawdę nic nie pojęła? Jeśli moja przyjaciółka nie rozumiała, jak muszę walczyć, to kto zrozumie? Skoro ona, mimo że podobnie jak większość zespołu lubiła mnie, tak nonszalancko powiedziała to, co powiedziała, to jak ślepi musieli być inni tancerze, gdy chodziło o względy rasowe?

Łzy napłynęły mi do oczu. Szybko się odwróciłam, pobiegłam przed siebie korytarzem, aż znalazłam jakieś puste studio. Zamknęłam drzwi i rozszlochałam się tak, jakby mi pękało serce. Bo tak było.

Nikt niczego nie rozumiał. Oprócz innych niewypowiedzianie trudnych kwestii związanych z zawodem tancerki – presji, by wyglądać nienagannie mimo przejmującego bólu, konieczności zmuszania ciała do wysiłku na granicy cierpienia w poszukiwaniu doskonałości, krytyki ze strony nauczycieli tańca, dziennikarzy i przełożonych – musiałam też stawić czoło zniewagom, ironicznym uśmieszkom i brakowi wrażliwości ludzi takich jak ona, ludzi, z którymi dzieliłam scenę, a którzy nie mieli pojęcia, jaką drogę przebyłam. Nikt tego nie rozumiał. Nikogo to nie obchodziło. W Teatrze nie było innej czarnej tancerki, z którą mogłabym się zbliżyć. Moja przyjaciółka Leyla szybko opuściła zespół. Trzymałam się zatem z czarnymi chłopcami, którzy przewijali się przez zespół. Zawsze był jeden czy dwóch, zabłysnęli, po czym nieuchronnie odchodzili.

Danny, Jerry, Dante, Jamar. Każdy z nich pojawił się i zniknął, a ja trwałam.

I był Eric Underwood. Z nim najbardziej się zaprzyjaźniłam.

Eric wychował się w Waszyngtonie, w niezamożnej, lecz kochającej rodzinie, podobnej do mojej. Tak jak ja, został odkryty przypadkiem. A może było to przeznaczenie? Miał już czternaście lat, gdy w miejscowej szkole artystycznej trafił na przesłuchanie do spotu. Unikał chodzenia do szkół w okolicy, pełnych przemocy i na niskim poziomie. Nie wypadł zbyt dobrze, ale kiedy wychodził z przesłuchania, zauważył kilka dziewcząt czekających na kwalifikacje do grupy tanecznej i pomyślał, że też może spróbować. Udało mu się i taki był początek drogi, która doprowadziła go do Teatru Tańca w Harlemie i American Ballet Theatre. Teraz jest solistą w londyńskim Balecie Królewskim.

Trzymaliśmy się razem. Dorastaliśmy, słuchając tej samej muzyki: New Edition, Toni Braxton, Mariah Carey. Mieliśmy sekretny język, szeptaliśmy do siebie, używając języka, jakim rozmawialiśmy w domu z rodzeństwem. Byliśmy jak brat i siostra, łączyło nas uwielbienie dla muzyki rhythm and blues oraz hip-hopu. Mieliśmy też swoje skrywane przyjemności: w piątkowe wieczory chadzaliśmy do Red Lobster lub BBQ, gdzie do syta opychaliśmy się krewetkami, burgerami i żeberkami.

Ericowi nie musiałam niczego tłumaczyć ani wyjaśniać. Kiedy słyszeliśmy coś okrutnego, rasistowskiego, wystarczyło, że spojrzeliśmy na siebie i już było lżej, bo ktoś inny też wychwycił fałszywą nutę, coś, co nie grało. Tylko my zauważaliśmy dziwne sytuacje, wynikające z faktu, iż byliśmy jedynymi Afroamerykanami w śnieżnobiałym świecie.

Pewnego dnia Eric rozmawiał z Kevinem McKenzie o swojej fryzurze. Kiedy wrócił, klepnął mnie w ramię i szybko wyszliśmy na zewnątrz.

– Chce, bym zapuścił włosy.

Oboje wybuchnęliśmy śmiechem, chichocząc, dopóki łzy nie pociekły nam z oczu i nie rozboleły nas brzuchy.

Eric usiłował wyjaśnić Kevinowi, że nawet jeśli nie będzie podcinał włosów, to długie nie urosną. Raczej będą rosły na boki. Ryczeliśmy rozbawieni, bo wiedzieliśmy, że wtedy będzie miał na głowie olbrzymie

afro. Co było lepsze: krótka fryzura na wzór XVIII-wiecznych baletów czy afro, przywodzące na myśl Jackson 5 tańczących w „Soul Train” w latach siedemdziesiątych?

Potrafiliśmy dostrzec komizm rozmaitych sytuacji, choć brutalna rzeczywistość była taka, że nikt nas nie rozumiał. To męczyło. Jako czarni mieliśmy chodzić na palcach, nie zwracać uwagi na obelgi – niekiedy przypadkowe, niekiedy zamierzone. Jakbyśmy musieli tańczyć inny taniec, dbając o to, by otaczający nas biali nigdy nie czuli się winni ani zakłopotani. W otoczeniu tancerek, które raz były moimi przyjaciółkami, a raz rywalkami, czułam się samotna jak nigdy. Jednak stopniowo zaczęła się tworzyć wokół mnie grupa kobiet, którym mogłam się wyzalić i na których mogłam się oprzeć, kiedy dochodziłam do kresu wytrzymałości.

Za moją pierwszą mentorkę po dołączeniu do zespołu uważam Victorię Rowell, dawną tancerkę baletową, która została aktorką, ale nadal jest związana z American Ballet Theatre. Rowell dużo przeszła jako dziecko, wychowywała się w rodzinie zastępczej. Zanim przerzuciła się na aktorstwo i modeling, tańczyła w Studio Company przy Teatrze. Zagrała w wielu filmach i programach telewizyjnych, ale chyba najbardziej jest znana z roli Drusilli Barber w operze mydlanej *Żar młodości*.

Nasz Teatr wyjechał do Hollywood na kilka występów. Pewnego wieczoru, gdy zesłam ze sceny, zestresowana i wykończona, znalazłam na tablicy ogłoszeń karteczkę z moim nazwiskiem. „Proszę, zadzwoń do mnie” – i podpis: Victoria Rowell. Poniżej widniał numer telefonu. Oczywiście słyszałam o niej i byłam oszołomiona, że skontaktowała się ze mną.

Z Hollywood była zaledwie godzina drogi od mieszkania mamy, ale ja przebywałam w zupełnie innym świecie niż moja rodzina. Choć wiem, że bardzo się starali, to jednak ani mama, ani rodzeństwo nie byli w stanie pojąć, pod jaką żyję presją. Moje późno dojrzewające ciało właśnie rozkwitło, nadal walczyłam z wagą. Poddawałam się wyczerpującym ćwiczeniom, stale usiłując tłumić wątpliwości co do samej siebie, które tłoczyły mi się w głowie. Byłam też trochę skołowana. Tego chciałam:

tańczyć w American Ballet Theatre, być zawodową baletnicą, mieszkać w Nowym Jorku. Mało brakowało, a uciekłabym z domu, by to osiągnąć. A teraz miałam wszystko w zasięgu ręki, więc na co narzekać? Mama była taka dumna, bardziej wylewna niż kiedykolwiek. Nie chciałam jej zawieść.

Więc odpowiedziałam na prośbę Victorii. Kiedy zadzwoniłam, zaprosiła mnie do siebie i wysłała samochód, który zawiózł mnie do jej pięknego domu w Hollywood Hills. Jej dzieci chyba już spały, w każdym razie przegadałyśmy niemal całą noc.

Zobaczyłam piękną, czarnoskórą kobietę sukcesu, która nie tylko znakomicie sobie radziła, lecz wręcz błyszczała w pełnym niebezpieczeństwie świecie Hollywood. Myślałam: „Nareszcie jest ktoś, na kim mogę polegać”. Była pierwszą osobą, która wzięła pod swe skrzydła dorastającą Misty, ze wszystkimi dylematami wieku dojrzewania, ze wszystkimi jego wyzwaniem. W ciągu lat naszej znajomości rozmawiałyśmy wiele razy, często dzwoniłyśmy do siebie, czasem spotykałyśmy się na lunch czy na kolację. Do dziś uważam ją za anioła zesłanego w moje życie.

Inną moją mentorką została pewna Afroamerykanka, która zasiadała w radzie nadzorczej Teatru. Susan Fales-Hills, potomkini osadników, którzy przyплыnęli na „Mayflower”, jest spokrewniona również z czarnymi rodzinami królewskimi. Pochodzi z mieszanego związku śpiewaczki z Broadwayu Josephine Premice i Timothy’ego Falesa, wywodzącego się z rodziny z Nowej Anglii, sięgającej korzeniami Plymouth Rock. Jest bardzo znana, wie, co to opanowanie, ogląda i tradycje rodzinne wiążące się z taką pozycją. To typ kobiety zapraszanej na wszelkie bale dobroczynne. Mieszka z mężem bankierem i córką w eleganckiej Upper East Side. Mimo to emanuje światłem, którego po nikim nie odziedziczyła – wydobywa się z niej samej. Skończyła Harvard, pisała książki, przygotowywała teksty do programu Cosby Show. Jest bardzo spostrzegawcza. Zauważyła, że się waham i zastanawiam nad przyszłością w Teatrze. Pewnego dnia wzięła mnie na bok.

– Mówi o tobie wielu członków zarządu – słowom towarzyszył ciepły

uśmiech. – Uważają, że jesteś jedną z najbardziej obiecujących tancerek. Że masz przed sobą niesłychanie jasną przyszłość. Jestem tego samego zdania.

Susan została w końcu moją sponsorką, jedną z tych osób opiekujących się tancerzami zza sceny, dbających, by mieli wszystko, co im potrzebne, od wsparcia duchowego i rady, aż po towarzystwo na oficjalnych spotkaniach. To cudowny, trwały dar. Jednak najbardziej uradowały mnie jej słowa otuchy, fakt, że dostrzegła i poczuła mój ból, chciała mnie pocieszyć, przekazać nie tylko własne słowa, ale i opinię innych członków rady nadzorczej. Sprawiała, że uwierzyłam, iż mam do odegrania ważną rolę w Teatrze. Dała mi siłę, której tak potrzebowałam, by iść dalej, by czekać na moją chwilę chwały.



Mimo zażyłości z Erikiem oraz innymi czarnoskórymi tancerkami i tancerzami przewijającymi się przez American Ballet Theatre, mimo cudownych menterek Susan Fales-Hill i Victorii Rowell, nadal byłam sfrustrowana i samotna. Pracowałam osiem godzin dziennie, wymagania wobec własnego ciała przesunęłam poza granice wyczerpania, ale im ciężiej ćwiczyłam, tym bardziej czułam, że stoję w miejscu. Gorzka prawda brzmiała tak: uważałam, że nie akceptują mnie w pełni, bo jestem czarna, że mimo płynności ruchów i elegancji ani Kevin, ani inni nikt inny z kierownictwa baletu nie widzi dla mnie miejsca w partiach klasycznych.

Skończyło się mówienie o moim „Balanchine’owskim” ciele, uginałam się pod presją ze strony kadry, czułam, że nie ma nikogo, kto mógłby mną pokierować. Żadna z moich nauczycielek z domu – ani Cindy, ani Diana, ani Elizabeth – nigdy nie tańczyła w zespole na poziomie American Ballet Theatre. Już nie byłam grubą rybą w małym stawie – ja tonęłam. Zaczęłam myśleć o odejściu. Przez krótki czas rozważałam przejście do New York City Ballet, założonego przez George’a Balanchine’a.

Przypadkiem spotkałam jednego z tamtejszych tancerzy, który zaproponował, że porozmawia z dyrektorem zespołu, Peterem Martinsem, i zachęci go, by obejrzał mój występ. Bardzo się ucieszyłam. Samo to pokazuje, jak bardzo byłam zdesperowana i jak bardzo niechciana czułam się w Teatrze. New York City Ballet jako jedyny odrzucił moją aplikację na kursy letnie, kiedy w wieku piętnastu lat zdobyłam nagrodę Spotlight. Ten sam balet sponiewierał wielką Aeshę Ash, która w końcu stamtąd odeszła, bo nigdy nie dano jej roli poza zespołem, i dołączyła do baletu w San Francisco.

Gołym okiem było widać, że chwytam się brzytwy.

Latem 2004 roku pojawiła się jeszcze inna, znacznie bardziej zachęcająca możliwość, którą przez moment poważnie rozważałam.

Legendarnym współzałożycielem Teatru Tańca z Harlemu, pierwszego afroamerykańskiego zespołu prezentującego repertuar klasyczny, był Arthur Mitchell – pierwszy i jedyny przez piętnaście lat czarny tancerz New York City Ballet. Został pierwszym tancerzem, występował w *Śnie nocy letniej* i w *Agonie*, w którym specjalnie dla niego i primabaleriny Diany Adams sam George Balanchine ułożył choreografię do *pas de deux*.

Po zamordowaniu Martina Luthera Kinga juniora w 1968 roku Mitchell wrócił do domu, do Harlemu, pragnąc uczyć ukochanej sztuki miejscowe dzieci. Rok później w podziemiach kościoła otworzył Teatr Tańca z Harlemu.

Teatr Tańca z Harlemu zaproponował mi stypendium na kurs letni w roku, w którym zdobyłam nagrodę Spotlight, a kilka lat później, gdy już przeniosłam się do Nowego Jorku i tańczyłam w American Ballet Theatre, mój przyjaciel Eric Underwood powiedział mi, że Arthur chciałby się ze mną spotkać. Poszliśmy razem do manhattańskiego studia Teatru Tańca z Harlemu na zajęcia z zespołem. W balecie wspaniałe jest to, że porządek zajęć podstawowych jest wszędzie taki sam: przy drążku, na środku, wolne ruchy *adagio* i gwałtowne *allegro*. W Teatrze Tańca z Harlemu tańczyliśmy z Erikiem skomplikowane układy z repertuaru zawodowych

tancerzy. A potem miałam jeszcze lekcję z partnerowania.

Arthur, łagodny i majestatyczny, uważnie mnie obserwował. Zanotowałam później jego pochwały w pamiętniku. „Powiedział dużo dobrego o moim tańczeniu i swoim zespole – skrobałam beztrąsko. – Podkreślił, że afroamerykańskie baleriny są wyjątkowe. Mówił, żebym się nie poddawała. Mam wchodzić do sali z przekonaniem, że jestem najlepsza. Łopatki ściągnięte, podbródek wysoko. Ich nastawienie zmieni się całkowicie”. Zapamiętałam to na zawsze: „Wchodź zawsze z przekonaniem, że jesteś kimś szczególnym. Nie pozwól, by ktoś to zniszczył lub cię zniechęcił”.

Po kilku tygodniach znów poszłam na zajęcia do studia Teatru Tańca z Harlemu. Oczekiwania były równie wysokie, a od kobiet i mężczyzn, którzy osiągnęli szczyty, emanowała potężna siła. Kojąco działała świadomość, że jeśli czymś się wyróżniam, to umiejętnościami, a nie kolorem skóry. Po wszystkim Arthur zaprosił mnie na rozmowę. zaproponował mi kontrakt solistki. Chciał, bym została jego Giselle.

Opowiedział, jak pierwszy raz zobaczył mój taniec. „Wspominał, jak kilka lat temu był w szpitalu i zobaczył tę dziewczynkę w telewizji – zapisałam w dzienniku. – Siedziała tam, pełna ufności, roziskrzona – opowiadał. – TO BYŁA PRIMABALERINA”.

Jednak patrząc na mnie teraz, widział, że American Ballet Theatre podkopał moją wiarę w siebie, zdusił tę iskrę, która tak go wówczas zachwycała.

„Teatr mi to zabrał – zapisałam. – Muszę wszystko odzyskać. W teatrze muszę zawsze czuć tę pewność siebie”.

Wiedziałam, że Arthur ma rację. Zawsze wychodziłam na scenę pełna życia. Teraz dysponowałam doskonałą techniką, ale brakowało mi wewnętrznego ognia, który w ciągu czterech lat zaprowadził mnie z Klubu dla Chłopców i Dziewcząt do Metropolitan Opera.

Zapewnił mnie, że mogę go przywrócić, że taki ogień żarzy się w czarnoskórych.

– Ty to masz – dorzucił. – Tego nie można się nauczyć.

Pomyślałam, że Teatr Tańca z Harlemu może być rozwiązaniem, że o wiele łatwiej będzie mi w zespole, w którym wyróżniam się umiejętnościami, a nie odcieniem karnacji. No i w końcu zatańczę główną partię w ukochanych baletach klasycznych, w *Giselle*, w *Sylwii*, w *Kopciuszku*. Chciałam uciec z American Ballet Theatre wprost w ramiona Arthura. Czemu nie? Ogromnie go podziwiałam i cieszyły mnie jego krzepiące słowa. Teatr Tańca z Harlemu był zespołem owianym legendarną sławą, iskrzącym się talentami. I nie będę musiała dłużej walczyć. Będę tańczyć klasykę, Kitri, Klarę, Aurorę. Słodko brzmiały w moich uszach pochwały, które zastąpiły wyczuwalną aurę krytyki, wypowiedanej lub nie.

A potem pomyślałam o mamie.

Pojęłam, że to, co, dorastając, uznawałam za jej siłę – odwagę, która nie pozwoliła, by strach o wychowanie tyłu dzieci ją unieszczęśliwił – było niepowodzeniem, że Sylvia Dela Cerna zawsze uciekała, z moimi braćmi, siostrami i ze mną, szukając pomocy krewnych. A teraz miałam podążyć jej śladem. To mnie przeraziło. Ucieczka rzadko rozwiązywała którykolwiek z licznych dręczących nas problemów. Dawała chwilowy oddech, przynosiła krótkotrwałą ulgę. Ale potem stawaliśmy wobec prawdopodobnie dużo gorszej sytuacji, mieliśmy za dużo czasu, by roztrząsać to, co uczyniliśmy, dlaczego tak postąpiliśmy i zastanawiać się, czy kiedykolwiek się podniesiemy.

Kilka dni później zadzwoniłam do Arthura. Powiedziałam, że jestem bardzo wdzięczna, lecz nie mogę przyjąć jego propozycji.

W tym samym roku Teatr Tańca z Harlemu został zamknięty z powodu kłopotów finansowych. Zespół nie występował przez następne dziesięć lat.



W kolejnym wpisie w pamiętniku wracam do oferty złożonej przez

Mitchella i kończę z przekonaniem: „Muszę tam wrócić i pokazać im, że jestem lepsza”, mając na myśli Kevina McKenzie i resztę kadry artystycznej.

Rozważając zaproszenie Arthura, z całą siłą poczułam, jak bardzo pragnę odnieść sukces w American Ballet Theatre. Że nie mogę się poddać, nie mogę uciec, a jeśli będę musiała pracować dziesięć razy ciężiej niż inni, to tak zrobię, by móc sobie powiedzieć, że przynajmniej próbowałam. Zbyt dużo mnie kosztowało dotarcie do tego punktu, bym miała porzucić marzenia o tym, że zostanę primabaleriną w Teatrze. Zawsze chciałam wiedzieć, że nie ustąpiłam, niezależnie od tego, czy to się opłacało, czy nie.

Musiałam jednak zdusić wątpliwości, zagłuszyć ten głos w mojej głowie, który pojawiał się nocą. Mama zawsze się bała, że poświęciłam dzieciństwo, goniąc za ułudą. Niekiedy zastanawiałam się, czy nie ma racji.

Rozdział 10

Kiedy tak walczyłam, kiedy czułam się mało atrakcyjna i za gruba, sama i samotna, za progiem czekało ocalenie, które pomogło mi utrzymać się na powierzchni.

Nowy Jork.

Miałam naturalnie krąg bliskich, pełnych energii, odnoszących sukcesy zaprzyjaźnionych czarnych kobiet, takich jak Victoria Rowell, Susan Fales-Hill i Raven Wilkinson, które pomagały mi poradzić sobie z moją kobiecością, także fizyczną, i które przypominały mi, jak wspaniałe jest moje dziedzictwo etniczne, nawet jeśli nie wszyscy to dostrzegali.

Jednak kiedy wychodziłam na ulice Nowego Jorku, od razu poprawiał mi się nastrój, roztapiałam się w tłumie ludzi wyglądających podobnie do mnie, o takiej samej miedzianej karnacji i zgrabnym ciele.

Tam, z dala od sceny baletowej, podziwiano moje krągłości i nic nikogo nie obchodziło, czy schudnę. Kiedy przeprowadziłam się do Nowego Jorku, musiałam dopasować się do dwóch odmiennych rytmów: jeden królował w murach American Ballet Theatre, drugim rozbrzmiewały ulice miasta.

Trochę czasu zabrało mi przywyknienie do twardych obyczajów panujących na Manhattanie, do drzwi metra zamykających się błyskawicznie, jeszcze zanim zawieszysz wzrok na czymkolwiek – czy to reklamie kremu do stóp, mapie linii metra – byle tylko nie spojrzeć w oczy obdartemu nieznajomemu. Być może nie zwróciłabym niczyjej uwagi, lecz naiwne spojrzenie od razu by mnie zdradziło jako turystkę, jakbym miała

wypisane na czole „Dajcie mi kopa, jestem z Kalifornii”. Pamiętam podróż metrem podczas pierwszego kursu letniego w Teatrze. Było zatłoczone i niewiarygodnie duszne. Zapachy ciał, kadzideł i perfum tworzyły przyprawiającą o zawrót głowy mieszankę. Poczułam niepokój, spłaszczona wśród obcych, niekiedy czując cudze ręce tam, gdzie nie powinno ich być.

Tego pierwszego lata bezradnie stawałam na rogu ulicy, szukając przycisku, dzięki któremu światło zmieni się z czerwonego na zielone. Kiedy tak czekałam, mijały mnie tłumy przechodzące w niedozwolonym miejscu, przeskakujące między pędzącymi samochodami, zamiast czekać na światło. Jednak Nowy Jork, chropowaty, wymagający twardego charakteru, z gorączkowym rytmem życia, stał się dla mnie ratunkiem. Przez pierwsze miesiące w Teatrze, kiedy czułam się taka nieszczęśliwa, skrępowana i samotna, zawsze mogłam zawierzyć miastu. Ceniłam to, że choć pulsowało napięciem, było swojskie i niezmiennie.

Kiedy opuszczałam studio Teatru na Broadwayu, czułam się kimś innym. Miło było nie wyróżniać się, wtapiać się w otoczenie. I choć lubiłam i ceniłam koleżanki i kolegów, wspaniale było przebywać w otoczeniu ludzi, którzy nie byli związani z baletem, mieli odmienne doświadczenia i wiedli życie, którego rytmu nie wyznaczały prywatne lekcje i wiecznie czuwający rodzice, ludzi znajdujących sens i pełnię życia gdzie indziej.

To, że byłam baletnicą, zżerało moją osobowość, martwiłam się, czym będę – kim będę – jeśli mi się nie powiedzie.

Na najbardziej zatłoczonych ulicach Nowego Jorku mogłam założyć słuchawki i czuć się niezależna, wzmocniona – wolna. Musiałam jednak dostosowywać się do miliona rzeczy.

Byłam przyzwyczajona do gorącego klimatu południowej Kalifornii: ciepło i sucho w dzień, zimno i wietrznie nocą. Podczas pierwszych miesięcy letnich w Nowym Jorku upał i wilgoć oblepiały mnie jak prześcieradło, wysysając całą energię. Trudno mi było rozstać się z powolnym tempem życia w Kalifornii, miłością do morza, przestawić się na rytm Nowego Jorku. Kiedy było ciepło, w Kalifornii zawsze chodziłam

w klapkach. Na Nowy Jork odkryte buty się nie nadawały – śmierdzące kałuże czyhały na każdej ulicy. Przez całe miasto przechodziłam, tańcząc *petit allegro*, przeskakując nad cuchnącą wodą i szorując nogi po powrocie do domu.



W Nowym Jorku zatrzymywałam się w miejscach ostro kontrastujących z mieszkaniem, pokojami w motelu i osiedlami, które w Kalifornii nazywałam domem. Po wyprowadzce z luksusowego domu Isabel Brown zamieszkałam przy Upper West Side, ale już sama. Z przyjaciółmi nazywaliśmy to moje pierwsze samodzielne lokum „lochem”. Jedną z charakterystycznych cech Nowego Jorku, miasta absurdalnie drogiego, jest to, że płaci się więcej za mieszkanie z oknami i dopływem naturalnego światła, które to elementy niegdyś uważałam za podstawowe, niezależnie od tego, w jak zapyziałych norach mieszkałam. Nie zarabiałam zbyt dużo, więc dołączyłam do grona tych, którym do pokoju nigdy nie zagląda słońce.

Miałam dwa zakratowane okna wychodzące na ceglana ścianę, odległą o kilkanaście centymetrów. Łóżko na antresoli wisiało nad stołem w jadalni, a właściwie kupionym w Ikei dziecięcym biurkiem. Siedząc na antresoli, uderzało się głową o sufit. Wąska przestrzeń służąca za kuchnię mieściła maleńką lodówkę, odpowiednią raczej w pokoju hotelowym. Ale kochałam to miejsce, bo było moje.

Tak samo moje były karaluchy, niewiarygodnie duże. Kiedy dorastałam, zdarzało się, że w co gorszych mieszkaniach mieliśmy karaluchy; zawsze się ich bałam. Dziwiło mnie i przerażało, że można mieszkać w tak zamożnym i pożądanym otoczeniu i znosić szczury i robactwo w mieszkaniu. Ale na szczęście nie przebywałam w domu długo.

Na zewnątrz było zbyt wiele do zobaczenia – do przeżycia. Spacerowałam więcej niż przez całe dotychczasowe życie. A przebywając poza domem w dzień i w nocy, często musiałam dawać odpór gwizdom

i zaczepkom.

– Jak tam, siostrzyczko?

– Dasz mi swój numer?

Najpierw bardzo się denerwowałam: mieszkałam przecież sama i czułam się bezbronna, narażona na namolność obcych facetów. Szybko się jednak zorientowałam, że są nieszkodliwi i pogodni. Można było ich sprowokować pyszałkowatością i nadętą miną. Ale gdy się uśmiechnęłam, powiedziałam „cześć”, ograniczali się do niewinnego flirtu i życzyli udanego dnia. Po pewnym czasie ich zainteresowanie zaczęło mi nawet sprawiać przyjemność. Na ulicach Nowego Jorku nie byłam gruba. Byłam za to godna pożądania i atrakcyjna. Mój wygląd – ciemne włosy, brunatny odcień skóry, okrągłe kształty – doskonale pasował do mozaiki tego miasta. Wychodziło na to, że każdy uważa mnie za swoją: Afroamerykanie, Portorykańczycy, Dominikańczycy, a nawet Hindusi. Uwielbiałam widzieć i słyszeć na ulicy różnorodność mieszkających się odcieni, akcentów, kultur, które przy tym darzyły się sympatią. Mogłam się wyróżniać na tle wątlých, białych tancerek, gdy razem występowałyśmy, ale na ulicy to raczej one się wyróżniały i nie pasowały do otoczenia.

Z Leylą, moją współniczką w zbrodni, pojechałam do Harlemu. Jadłyśmy kurczaki *yassa*, marynowane w cytrynie i musztardzie danie z Senegalu. Od ulicznego sprzedawcy kupiłyśmy kadzidelka. Włóczyłyśmy się po ulicach, po których chodził Malcolm X, gdzie głosił kazania Adam Clayton Powell junior. Poszłyśmy do kina na *Płatne w całości*. Chociaż doceniałam teatralną muzykę *Jeziora łabędziego*, dorastałam wśród dźwięków funka, rocka i soulu. Kochałam hip-hop. *Płatne w całości* szło chyba tylko w peryferyjnych kinach, w centrum – nie.

Czułam się jak w domu, jadąc do Harlemu. Raz zdecydowałam się nawet na wizytę u fryzjera, który wplótł mi sztuczne włosy. Pyszniłam się grubymi warkoczami po powrocie do centrum, do American Ballet Theatre. Z mniejszym entuzjazmem odwiedzałam Brooklyn. „Po co opuszczać Manhattan?” – myślałam. Leyla musiała mnie tam ciągnąć na siłę. Sam

Brooklyn, nawet bez siostrzanych dzielnic Nowego Jorku, jest jednym z największych miast Stanów Zjednoczonych. Ma niepowtarzalny smak, który tworzą hinduskie restauracje sąsiadujące z żydowskimi sklepikami na Crown Heights i okazałe budynki z czerwonobrunatnego piaskowca stojące w Park Slope. Jednak Brooklyn nigdy nie zawładnął moim sercem tak jak Manhattan. Kiedy dorastałyśmy, Leyla zaczęła gustować w atmosferze luzackich ogródków piwnych, których było tam pełno. Ja wolałam dudniące dźwięki, którymi pulsował drugi brzeg rzeki.

W każdy wolny weekend odkrywałyśmy inny zakątek miasta. Buszowałyśmy po sklepach przy brukowanych ulicach SoHo albo szłyśmy do Central Park i łążyłyśmy tam godzinami. Często chadzałam tam sama w lecie, a nawet do późnej jesieni, słuchając muzyki i robiąc zapiski w dzienniku. Bardzo mi się podobało, że mogę stanąć w kolejce do budki TKTS i kupić tańsze bilety na prawie każde przedstawienie na Broadwayu, które chciałam zobaczyć. Czułam się wytworna i światowa, kiedy wędrowałam po galeriach sztuki i pełnych rzeźb ogrodach.

Uwielbiałam też artystyczną atmosferę ulicznych pchlich targów, rozkładających stoiska w lecie, zwłaszcza na Upper West Side. Mogłam godzinami krążyć po nich, przegryzając kebab lub kukurydzę w kolbach i sącząc lemoniadę. Gdy wyjeżdżaliśmy na występy z Teatrem, niezależnie jak ciekawe czy egzotyczne było miejsce, które nas gościło, nie mogłam się doczekać powrotu „do miasta”. Zawsze wtedy czułam, że Nowy Jork rusza się i rozwija beze mnie, a mnie to wszystko umyka, bo jestem gdzieś daleko.

Kiedy skończyłam dwadzieścia jeden lat, zaczęłam poznawać nieco inne oblicze Nowego Jorku. Mogłam się bawić w luksusowych, czynnych całą noc lokalach i od czasu do czasu wypić kieliszek wina. Co tydzień chodziłyśmy z Leylą na potańcówki, najchętniej do „Lotusa”.

„Lotus” był w samym sercu centrum handlu mięsem. Dzielnicą tą niegdyś słynęła jako miejsce spotkań transwestytów, prostytutek i skupisko rzeźni, a jej brukowane ulice nadal wydzielały zapach zgniłego

mięsa. Na początku XXI wieku okolica przekształciła się w najmodniejszy zakątek Manhattanu, a „Lotus” był najpopularniejszym lokalem: co wieczór klub odwiedzali celebryci, młodzi profesjonaliści i wyluzowane dzieciaki. Leyla i ja tańczyłyśmy tam do białego świtu. Nie było ani *jetés*, ani *arabesques*, żadnego zamartwiania się o technikę albo „linię”. Było wyłącznie nieskrępowane kręcenie biodrami. Spływałyśmy potem, nakręcane zabawą aż do zawrotu głowy, wśród młodych i wspaniałych mieszkańców Nowego Jorku.

Looking so crazy in love's

Get me looking, got me looking so crazy in love

– śpiewała Beyonce.

– Pan Diggs zaprasza do swojego stolika.

Taye Diggs, aktor, gwiazda *Drużby* i *Prywatnej praktyki*, siedział w części dla VIP-ów. Podeszłam. Okazało się, że zaprosił mnie, gdyż chciał, bym poznała jego kuzyna, Olu, który w Nowym Jorku odbywał letnią praktykę w jednej z firm prawniczych. Olu, o karmelowej skórze, uprzejmy i przystojny, będzie moim pierwszym chłopakiem. Powiedział, że przyglądał mi się przez cały wieczór. Później się dowiedziałam, że oświadczył Taye’owi i jego znajomym przy stoliku, iż któregoś dnia zostanie jego żoną. Musieliśmy blisko się nachylać ku sobie i mówić prosto do ucha, aby przekrzyczeć pulsującą muzykę. Od razu poczuliśmy, że pasujemy do siebie. Jego ojciec był czarny, matka była Żydówką – czyli tak jak ja pochodził z mieszanej rodziny. To był jego ostatni wieczór w mieście przed powrotem do Atlanty, gdzie studiował prawo w Emory. Miał jeszcze rok do końca.

Dałam mu numer telefonu i przez następne trzy miesiące, zanim znów przyjechał do Nowego Jorku, prawie codziennie rozmawialiśmy i esemesowaliśmy. Trwało to niemal rok – co kilka miesięcy przyjeżdżał, a w międzyczasie utrzymywaliśmy związek na odległość. W końcu przeprowadził się na Manhattan i zaczął praktykę prawniczą.

Olu nie jadał mięsa, tylko ryby. Ćwiczył i był w znakomitej kondycji, ale

nie miał obsesji na punkcie wagi i wyglądu. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, wyjawiał mi moje frustracje i lęki. Był bardzo delikatny i umiał mnie podtrzymać na duchu i poprowadzić. Przy nim wszystko wydawało się takie proste. „Zjedz dziś rybę zamiast wołowiny – radził. – Ćwicz na urządzeniach monitorujących pracę serca, daruj sobie próby wysiłkowe”. Pokazał mi, że muszę tylko zmienić pewne detale, by znaleźć się tam, gdzie chciałam być.

– American Ballet Theatre nadal jest tobą zachwycony – zapewniał mnie. – Wiązą z tobą nadzieje na przyszłość. Musisz tylko popracować nad tą drobnostką.

Wiedziałam, że i tak uważa, iż jestem piękna. Problem z wagą już mnie nie przytłaczał. Podziwiałam tolerancję i pewność Olu, cechy, których – z wyjątkiem występów – u siebie nie dostrzegałam. Uznał, że jego misją jest taka zmiana mojego zachowania, bym nauczyła się komunikować inaczej, niż tylko za pośrednictwem tańca. To właśnie dzięki Olu zrozumiałam, że nie muszę uciekać z ABT do Teatru Tańca z Harlemu. Głęboko wierzył, że mam talent, który pozwoli mi osiągnąć to, czego naprawdę pragnę: zostać solistką i primabaleriną tu, gdzie jestem. Musiałam się tylko nauczyć o to poprosić.

Bardzo się denerwowałam, że mam wystąpić we własnej sprawie. Nie chciałam robić innym kłopotu, narazić się na niezrozumienie czy odrzucenie. Miałam wrażenie, że za każdym razem, gdy zebrałam się na odwagę i powiedziałam coś głośno – czy to mieszkając z Cindy, czy kiedy dołączyłam do Studio Company – przy najmniejszych przejawach niechęci z powrotem milkłam. Jednak Olu powiedział, że należy do tego podchodzić inaczej, że nie powinnam uważać się nad sobą, lecz walczyć. Czarni mają takie porzekadło: musisz być dziesięć razy lepszy, żeby dostać to, co dostają inni. Wzięłam to sobie do serca. Musiałam być niezaprzeczalnie doskonała. Ale musiałam też zakomunikować Teatrowi, co jest moim celem.

Mój chłopak, jak to prawnik, uznał, że powinniśmy przećwiczyć moje

argumenty. Próbowaliśmy w jego małym mieszkaniu na Upper East Side. Dobrze zorganizował pracę: dał mi czas na zebranie myśli, na zrobienie notatek i wypunktowanie tematów, które chciałam poruszyć. Potem wszedł do pokoju i udawał, że jest Kevinem.

– Chcę się rozwijać – drżącym głosem odczytałam z kartki. – Chcę tańczyć klasykę. Jestem mocnym punktem zespołu i poradzę sobie z takimi partiami. I chcę dać z siebie wszystko. Bardzo cenię możliwości, jakie mi stworzyliście, chcę, byście mi zaufali, uwierzyli we mnie.

– Ale wspaniale ci idzie w baletach współczesnych – odpowiedział Olu jako Kevin. – Zabłysnęłaś w *Gongu*. Mamy nowoczesnych choreografów, którzy chcą tworzyć układy specjalnie dla ciebie. Czemu nie chcesz skupić się na tym?

– Wiem, że balet współczesny jest moją mocną stroną – powiedziałam już mocniejszym głosem – ale chcę zostać primabaleriną.

Na początku szło mi opornie. Z trudem znajdowałam słowa, starałam się wyrazić, o co mi chodzi, nie czytając z kartki. I nie chciałam zawieść Olu ani pokazać mu wprawiającej w zakłopotanie słabości.

Gdy patrzę w przeszłość, widzę, że przerażało mnie ujawnienie własnych emocji. Niewiele rzeczy wywoływało u mnie takie zapamiętanie jak balet i myślę, iż podświadomie bałam się, że mówienie o tym, ile balet dla mnie znaczy, jak bardzo jest mi potrzebny, może przerwać emocjonalną tamę i sprawić, że na światło dzienne wyjdą inne kwestie, które mogą sprawić mi ból. Wspomnienia z dzieciństwa, kiedy nie miałam swojego miejsca i ciągle przenosiłam się w nowe środowisko. Zażenowanie, że mama miała tylu facetów i mężów. Głęboko ukryta trauma po wymuszonym rozstaniu z Cindy.

Ale Olu wspierał mnie i miał dużo cierpliwości.

– Dasz radę – mówił kojąco. – Wybrali właśnie ciebie. Po prostu uświadom im, co potrafisz.

Jak to bywa z próbami, niezależnie od tego, czy poprzedzają spotkanie z dyrektorem artystycznym, czy występ w *Jeziorze łabędzim*, ćwiczenia

pomogły mi nabrać zaufania, odsunąć lży i napięcie, a zostawić to, czego potrzebuję, by odnieść sukces.

Zacząłam też zdawać sobie sprawę, że mimo mej niecierpliwości American Ballet Theatre naprawdę uznał, że mam talent. Sam fakt, że tu byłam, tańczyłam ze wspaniałym zespołem, był okazją jedną na milion. Kiedy szerzej na to patrzę, widzę, że przerażało mnie, iż może upłynąć dużo czasu, zanim pojawi się inna czarnoskóra tancerka, która zajdzie tak wysoko jak ja.

Stopniowo mgła przykrywająca moje poczucie pewności siebie zaczęła ustępować. Umówiłam się na spotkanie z Kevinem. Mogło upłynąć dużo czasu, zanimby do niego doszło. Jako jeden z szefów zespołu i jego dyrektor artystyczny był bardzo zajęty i miał mnóstwo spotkań. Poza tym kiedy zbliżała się premiera, nadzorował próby głównych ról i powtórek z udziałem całego zespołu. Niekiedy miałam z nim indywidualne próby, kiedy przygotowywałam którąś z pierwszoplanowych ról. Zwykle jednak był nieuchwytny, choć wszyscy wiedzieliśmy, że gdzieś jest i uważnie obserwuje każdy występ.

Poszłam do jego gabinetu. Nadszedł czas, żebym przemówiła.

– Wiem, że balet współczesny jest moją mocną stroną, ponieważ niewiele baletnic porusza się tak jak ja – zaczęłam. – Ale ćwiczyłam taniec klasyczny, bo to naprawdę chcę robić.

– Miło mi to słyszeć – odparł. – Masz talent, który pozwala ci robić i jedno, i drugie.

Na tym nasza rozmowa się zakończyła.

Wkrótce nadszedł nowy początek. A ja zaczęłam zyskiwać perspektywę.

Przez pierwsze miesiące w zespole byłam przytłoczona nie tyle dramatycznymi zmianami zachodzącymi w moim ciele czy negatywnymi komentarzami dotyczącymi koloru mej skóry, ile atmosferą rywalizacji, którą wyczuwałam wśród kolegów, koleżanek i przyjaciół.

Teraz zobaczyłam, że Kevin wyciągnął wyimaginowaną drabinę i co rusz dawał mi sposobność, bym pięła się w górę po nagrodę, którą tak bardzo

chciałam zdobyć.

Dyrektor artystyczny pełni złożoną funkcję. Łączy zdolności twórcze z pracą organizacyjną. Musi być otwarty, chwytając szanse rysujące się przed zespołem, a zarazem nie sprzeniewierzać się dotychczasowemu dorobkowi i wizerunkowi zespołu. Musi decydować, który z tancerzy rozślawi zespół i przyciągnie widownię, a jednocześnie przychodzić do studia na próby i dawać każdemu z tancerzy motywację, której potrzebują, by się rozwijać.

Kevin potrafił z miejsca zwolnić tancerza. Jednego dnia wychwalał rolę, a następnego ostro ją krytykował, by przygotować tancerzy na nadchodzący pokaz.

To prawda, że obserwowałam, jak się rozwijam, a wraz z tym zmieniała się nasza relacja. Początkowo widziałam w nim autorytet, wobec którego czułam ogromny respekt i któremu straszliwie pragnęłam się przypodobać. Potem stał się mentorem wskazującym drogę i wspierającym mnie. A obecnie, po dziesięciu latach, widzę w nim kolegę z pracy, z którym mogę porozmawiać jak dorosły z dorosłym, jak tancerka z tancerzem.

Kiedy ostatnio byłam na objeździe w Los Angeles, zrozumiałam, jak daleko zaszliśmy i jak bardzo dojrzałam w Teatrze. Po raz pierwszy poczułam, że możemy się wzajemnie cenić jako dorośli. W wieku dziesięciu lat nie miałam pojęcia, jak rozmawiać z dyrektorem, spotykałam się z nim jako nastolatka i skupiałam na tym, by się nie rozplakać. Wiara w siebie rosła we mnie powoli. Wiem, że Kevin podchodzi do mojej kariery emocjonalnie, podobnie jak do kariery każdego członka zespołu, co bardzo sobie cenię. Dlatego jest wybitny, a w American Ballet Theatre panuje rodzinna atmosfera. Zawsze chce dla nas jak najlepiej, chociaż jego praca polega też na tym, by krytykować nawet ulubionych tancerzy, a w najgorszym wypadku ich zwolnić.

Jeden z najbardziej przez nas cenionych rytuałów w Teatrze odbywa się tuż po opadnięciu kurtyny. Kevin ogląda wszystkie nasze występy z łoża, siedząc wśród baletmistrzów. Uważny obserwator zauważy, że jakies

dziesięć minut przed ukłonami wszyscy wymykają się, opuszczają wyściełane fotele i idą za kulisy, zanim hol Metropolitan Opera zapełni się naszymi dobroczyńcami. Kiedy cichną oklaski, dochodzi jedenasta i wszyscy jesteśmy wykończeni – najczęściej pragnę jedynie zmyć makijaż, iść do domu, zjeść coś i odpłynąć, zanim o ósmej rano budzik przerwie sen i zacznę się szykować na poranne zajęcia rozpoczynające się o dziesiątej. Kiedy kurtyna opada, Kevin już jest na scenie z notatkami. „To zrobiłaś źle podczas *cody*” – wskazuje palcem na odtwórczynię jednej z wiodących partii. „Na następnym występie musisz wejść odrobinę wcześniej” – krytykuje następną. Każdemu z nas ma tyle do powiedzenia, a czasu między przedstawieniami w napiętym sezonie jest tak mało, że nie może sobie pozwolić na lukrowane uprzejmości. Naturalnie Kevin nie zwraca uwagi na to, co robi każdy z wszystkich osiemdziesięciu członków zespołu przez cały występ podczas licznych scen zbiorowych, ale nie przestaje mnie zadziwiać umiejętność, jaką wykazuje on i inni członkowie kierownictwa artystycznego, potrafiący dostrzec najistotniejsze potknięcia i narzucić poprawki, które pozwolą nam zatańczyć najlepiej jak to możliwe. To niezwykle dla nas istotny zwyczaj kulturowany po każdym pokazie. Kiedy kończy się sezon, brak mi tego poczucia zjednoczenia i dążenia do doskonałości, tego czasu, gdy mogę skupić się na własnym występie. Świadomość, że niezależnie od tego, jak bardzo jest obciążony innymi obowiązkami dyrektora artystycznego, Kevin zawsze tam będzie, bardzo uspokaja.

Patrzę wstecz i dostrzegam, że na każdym kroku mej kariery zachęcał mnie, nie tracił wiary w mój talent i potencjał, niezależnie od różnych wzlotów i upadków.



Na przykład w 2002 roku, zaledwie kilka miesięcy po tym, jak skończyłam rehabilitację po urazie pleców i wróciłam do zespołu, Kevin

postanowił, że będę reprezentować American Ballet Theatre na jednym z najbardziej prestiżowych konkursów.

Fundacja księżnej Grace przyznaje stypendia i organizuje praktyki dla najbardziej utalentowanych młodych ludzi zajmujących się tańcem, twórczością filmową i teatralną. Kevin corocznie typował jednego młodego tancerza, by rywalizował o wyróżnienie. Wtedy wybrał mnie.

Nastąpiło to niespodziewanie szybko – po roku przerwy zostałam twarzą Teatru, co było jak bukiet, który odtwórczynie głównych ról otrzymują po spektaklu: dar, pozwalający mi zobaczyć, jak mocno Kevin i cały zespół nadal we mnie wierzą. Była to też szansa, by wskoczyć na przysłowiowego konia, a nie rozwodzić się na próżno nad czasem spędzonym poza baletem, bo ewidentnie wróciłam do gry.

Przez miesiąc ćwiczyłam z Kevinem, przygotowując się do konkursu. Miałam tańczyć słynną *Tarantellę* George'a Balanchine'a. Ten duet jest wspaniały, zabawny i zalotny. Balanchine przygotował ją dla Edwarda Villella, pierwszego tancerza baletu miejskiego Nowego Jorku.

Moim partnerem miał być stary przyjaciel, Craig Salstein. Był moim pierwszym partnerem podczas programu letniego w Teatrze, a potem razem przeszliśmy do Studio Company. Dołączył do głównego zespołu rok po mnie i zatańczyliśmy pierwsze w życiu wieśniacze *pas de deux* z pierwszego aktu *Giselle*, jeszcze jako członkowie zespołu.

Craig, który dorastał w Miami, dobrze znał Edwarda Villella, tancerza, dla którego Balanchine ułożył *Tarantellę* i który został dyrektorem artystycznym miejskiego baletu Miami. Przez większość czasu Craig pracował bezpośrednio z Edwardem. W końcu podobnie jak ja został solistą w American Ballet Theatre. *Tarantella*, podobnie jak jej twórca, była oszałamiająca i szybka. Przekraczała granice świata tańca klasycznego. Była pełna przeciwieństw, od wielkich *grand jetés* po szybkie kroczki na pointach. Ja miałam dużo *échappés*, szybko przechodziłam z zamkniętej pozycji piątej do otwartej drugiej, wykonywałam również dużo kroków, które nieoswojonej z baletem widowni mogły wydawać się komiczne.

Zaczynałam od *échappés, en pointe*, rozstawiając nogi, kierując je w przeciwne strony, w pozycji drugiej. Później miałam znowu *plié*, nadal *en pointe*, lekko przekrzywiając głowę na bok. Dawało to niezwykły i zabawny efekt, którego nigdy nie można by zobaczyć w stylizowanym, klasycznym balecie. Craig i ja mieliśmy tamburiny, którymi potrząsaliśmy i uderzaliśmy nimi o ręce i czubki stóp.

Przygotowałam też jedną z wariacji dziewcząt-kwiatów z *Don Kichota*. Tancerce trudno wybrać ulubiony balet. To trochę tak, jakby mówić, które dziecko kocha się bardziej. Można lepiej dogadywać się z synem lub z córką, ale i tak wypowiedzenie tego głośno przypomina zdradę lub obrazę. A mimo to muszę powiedzieć, że *Don Kichot* zawsze zajmował szczególne miejsce w moim sercu. To pierwszy duży balet, w jakim wystąpiłam, jeszcze w szkole Cindy. Wariacja z *Don Kichota* pozwoliła mi zaistnieć i zdobyć nagrodę Spotlight w Los Angeles. I oto znów pojawiał się w moim życiu – mam wytańczyć nagrodę księżnej Grace.

American Ballet Theatre nagrał oba moje występy, dałam z siebie wszystko. Taśmy wysłaliśmy sędziom z Fundacji księżnej Grace.

Nie wygrałam. Ale mimo to czułam się jak zwyciężczyni. Start w konkursie był kolejnym kamieniem milowym na mej drodze i pomógł mi umocnić wiarę Kevina we mnie.



Balet nigdy mnie nie opuszczał. Kiedy Misty dorastała i dojrzewała jako kobieta, to samo działo się z moim tańcem. Może wynikało to z pewności siebie, jaką zdobyłam, wiedząc, że mogę odnieść kontuzję i wyzdrowieć. Może zrozumiałam, że nieśmiała dziewczynka z San Pedro może rozwijać się samodzielnie w miejskim tyglu Nowego Jorku. A może pojęłam, że choć niekiedy pochylę się, gdy jakiś przypadkowy obserwator będzie szydził z mej karmelowej karnacji, lecz podniosę się, niezrażona, i pewnie pójdę dalej.

Niezależnie od powodów któregoś dnia obudziłam się i podjęłam jedną z najbardziej znaczących emocjonalnie decyzji w życiu. Chciałam się spotkać z ojcem.

Nigdy za nim nie tęskniłam. Od kiedy pamiętam, miałam Harolda, który pod każdym względem był dla mnie wspaniałym i kochającym tatusiem, mimo nieporozumień, które sprawiły, że rozstał się z moją mamą. Odczuwałam nawet pewien związek z Robertem, mimo goryczy, jaką czułam z powodu tego, jak traktował mamę, braci, a zwłaszcza moją ukochaną małą siostrzyczkę Lindsey. Narastała we mnie ciekawość, jaki jest człowiek, który naprawdę był moim ojcem, a teraz zdałam sobie sprawę, że jestem gotowa do działania.

Kiedy dorastaliśmy, słabo orientowaliśmy się w tym, dlaczego pewnego dnia mama spakowała się – wraz z Dougiem juniorem, Chrisem, Ericą oraz mną na przyczepkę – i wsiadła do autobusu do Kalifornii. Mama mówiła, że czuła się nieszczęśliwa, a ponieważ stale pakowała manatki i wyjeżdżaliśmy, nie było powodu, by rozważać, co ją do tego skłoniło za pierwszym razem ani czy kierowały nią pobudki inne od tych, które prowadziły do późniejszych rozstań.

A zatem mama nigdy nie rozmawiała z nami o ojcu, a my nigdy nie pytaliśmy. Nawet nie widziałam jego zdjęcia.

Przeczuwałam, że to nie była jego decyzja, by zniknąć z naszego życia. Jako dzieci raczej wyczuwaliśmy, że to mama nie chciała, byśmy się z nim kontaktowali. Więc się nie kontaktowaliśmy. Przecież my, Copelandowie, byliśmy samodzielnym plemieniem, z mamą w roli głównej. Z luźnych strzępów wnioskowaliśmy, że miała ciężkie dzieciństwo i trudne życie. Chcieliśmy zatem ją chronić.

Jednak gdy Doug junior skończył szkołę średnią, postanowił, że odszuka mężczyznę, którego imię nosi. Doug zawsze był niezależnym duchem. Poważnie interesował się swymi korzeniami, zarówno kulturowymi, jak i rodzinnymi. Mały chłopiec, który darł strzępek dzikiej bawełny, by przekonać się, co czuli nasi przodkowie, chciał spotkać się z człowiekiem,

bez którego nie byłoby go na świecie.

Miałam wtedy jakieś szesnaście lat, cieszyłam się, że znów jestem w domu, z mamą, w wygodnym mieszkaniu. Uwielbiałam naukę w centrum baletowym Lauridsen, zabawy z nowymi przyjaciółmi i cieszyłam się samodzielnymi wakacjami, najpierw w San Francisco, potem w Nowym Jorku. Myślałam głównie o balecie.

A tu nagle któregoś popołudnia Doug junior zakomunikował mi:

– Misty, odnalazłem naszego ojca.

– Ojca? – spytałam zmieszana. Harold mieszkał przecież zaledwie kilka kilometrów od nas. O czym on mówi?

– Właśnie! – ciągnął podekscytowany Doug. – W Wisconsin.

Wyśledziłem go, rozmawialiśmy przez telefon. Zbiorę trochę forsy i pojedę do niego.

Zrozumiałam.

– Och! – zareagowałam. – To wspaniale.

Byłam szczęśliwa, że Doug jest taki zadowolony. Ale mnie to nie interesowało. Mama oczywiście nic nie wiedziała o poszukiwaniach Douga. Ale kiedy już znalazł ojca, przestał zachowywać tajemnicę. Poza wszystkim był już dorosły. Więc choć niechętnie, ale musiała to zaakceptować. W końcu Doug junior naprawdę odwiedził ojca i wrócił z plikiem fotografii obrazujących, co nas ominęło. Senior i junior byli bardzo podobni, obaj umięśnieni, o miedzianej skórze. W młodości ojciec musiał mieć sportową sylwetkę i chyba po nim Doug junior i Chris odziedziczyli talent do bejsbolu i piłki nożnej. Doszłam do wniosku, że i ja mam budowę po ojcu, bardziej muskularną od gibkiej sylwetki mamy.

Doug zabawnie opowiadał o ojcu. Ale wszyscy byliśmy zbyt zajęci własnymi sprawami, by żałować nieobecności człowieka, którego prawie nie znaliśmy. Erica mieszkała z chłopakiem, z którym chodziła od szkoły, wspólnie wychowywali moją śliczną siostrzenicę Mariah. Chris był skupiony na nauce, szykował się do studiów prawniczych. A ja marzyłam o American Ballet Theatre.

Jednak po kilku latach w zespole zaczęłam częściej rozmyślać o ojcu. Jak mówił? Czy za nami tęsknił? Co sądzi o córce baletnicy? Podobne pytania zapełniały mój dziennik, zaczynały mnie nawiedzać podczas lekcji tańca i na ulicach Upper West Side.

Któregoś dnia podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam do Douga juniora.

– Chcę zobaczyć ojca – zakomunikowałam.

– W porządku. Zarezerwujmy bilety.

Dwudziestego sierpnia 2004 roku spotkałam się z ojcem. Poleciliśmy z Dougiem juniorem do Wisconsin na weekend, kiedy miałam wolne w Teatrze. Zostaliśmy tydzień. Poznałam też cioteczną babkę i kilkoro kuzynów. My, dzieciaki z plemienia Copelandów, wspaniale spędziliśmy czas z rozkrzyczaną rodziną Harolda, miałam cały tłum przyszywanych krewnych, od Cantine'ów, rodziców chrzestnych, po Babulkę, a nawet mamę Roberta, babcię Marie.

Jednak gdy pierwszy raz wdychałam zapach siostry dziadka, poczułam, że nic nie może się równać z poznaniem kogoś, w czyich żyłach płynie ta sama krew. Mama była adoptowana i właściwie wychowywała się sama. A więc dotarłam, najbliżej jak mogłam, do prawdziwych dziadków, do krewnych wywodzących się z tego samego pnia.

Ojciec okazał się kochany. Był niemal zawstydzony, gdy pierwszy raz mnie witał, a potem zamknął mnie w ramionach. Miał do opowiedzenia mnóstwo historii o dzieciństwie w Kansas City, o tym, jak to jest być dzieckiem Niemki i Afroamerykanina. Mówił, jaka piękna była mama, gdy się poznali, jak bardzo mu na niej zależało, jaki dumny się czuł z czwórki dzieci.

Wydawało mi się niepojęte, że był oddalony tylko o jedną rozmowę telefoniczną czy lot samolotem, a ja przez te wszystkie lata go nie widziałam. Niepojęte i smutne. Jednak ogromnie się cieszyłam, że uczyniłam wysiłek, by zaspokoić ciekawość, która doprowadziła mnie w objęcia ojca. „Mam jego usta – podniecona zapisałam w pamiętniku. – Szkoda, że nie mam jego pięknych, sarnich oczu. Tak świetnie bym

wyglądała. Domknęła się jakaś cząstka mnie. Jestem naprawdę szczęśliwa”. Po spotkaniu z ojcem ogarnęły mnie rozmaite emocje, ale nie było wśród nich złości na mamę. Kiedy sama stałam się kobietą i musiałam podejmować własne trudne decyzje, zrozumiałam ją lepiej. Wiedziałam, że mama często unikała kłopotów, konfrontacji z problemami. Rozumiałam też, że w odróżnieniu od reszty rodzeństwa jestem inna niż ona, podobnie jak Doug. Oboje byliśmy myślicielami, nie chcieliśmy uciekać. Chcieliśmy stawić czoło każdej sytuacji i wziąć sprawy we własne ręce, przyjrzeć się im i znaleźć rozwiązanie, pozwalające wszystko poprawić.

Myślałam o podróżach, które odbywałam: do Chin jako praktykantka z American Ballet Theatre, rejs z Leylą do Meksyku i na Jamajkę, wyprawa do Cape Cod ze Studio Company. I oddałabym każdą z nich, gdybym mogła ten czas spędzić z ojcem w Wisconsin.

To był radosny czas, ale tata mówił też o bolesnych sprawach. Od dawna ma przyjaciółkę, Debbie, z którą się związał, gdy mama go zostawiła. Jednak nie miał już więcej dzieci. Powiedział mojemu bratu, że wystarczyło mu dwóch synów i dwie córki. Wiedziałam, że zawsze nas kochał i chciał utrzymywać z nami kontakt. A odejście mamy i nasze zniknięcie bardzo mocno przeżył.

Byłam zaskoczona, gdy go zobaczyłam. W porównaniu ze zdjęciami wydawał się jakiś skurczony, włosy mu siwiały. Jego sarnie oczy błyszczały, ale prawie nie przypominał pełnego sił witalnych mężczyzny, którego widziałam na fotografiach. Doug junior był lustrzanym odbiciem tego, jak ojciec wyglądał kiedyś. Kiedyś, ale już nie teraz.

Choć dorastaliśmy bez niego, myślę, że jest tak samo dumny jak ja z tego, do czego doszliśmy. Nie mogę wyjść ze zdumienia, że nie tylko przeżyłam całe moje chaotyczne dzieciństwo i wyłoniłam się z niego jako zawodowa baletnica, ale też dziwię się, że wszyscy moi bracia i siostry także sobie poradzili. Do dzisiaj nie pojmuję, jak to się nam udało, wzięwszy pod uwagę sytuację, w jakiej byliśmy. Ja i rodzeństwo zabrani od

prawdziwego ojca, potem od Harolda, jedyne taty, jakiego naprawdę znaleźliśmy, trafiliśmy do mężczyzny, który rzucał obelgami. Potem mieszkaliśmy z krewnymi w bandyckiej dzielnicy, później z obcymi, aż wreszcie skończyliśmy w obskurnym motelu. Jak to możliwe, że żadne z nas nie wylądowało w więzieniu ani nie uzależniło się od narkotyków?

Poradziliśmy sobie. Chris dołączył do mnie w Nowym Jorku, niedawno zdał egzaminy prawnicze. Doug ożenił się z ukochaną jeszcze ze szkoły, przepiękną Raven, którą kocham jak siostrę. Jest lekarką, Doug zajmuje się ubezpieczeniami. Ciągłe mieszkają w Kalifornii i wychowują mego cudownego bratanka Oriona.

Chyba Erica pod wieloma względami miała trudniej niż reszta z nas, jako najstarsza, a właściwie zastępcza matka. Ale jej też się udało. Jest silna, pewna siebie i niezależna. Z ojcem Mariah, Jeffem, są razem od ponad dwudziestu lat – od czasu, gdy byli nastolatkami i podwozili mnie do Cindy na drugi koniec miasta. Jest jeszcze Lindsey, gwiazda szkolnej bieżni, która dostała stypendium na uniwersytecie stanowym Chico. Wyszła za wspaniałego młodego człowieka, byłam jej drużną. Cameron, nasz najmłodszy brat, jest do mnie najbardziej podobny, też ma zacięcie artystyczne. Nigdy specjalnie nie interesował się sportem, jak Chris czy Doug, lecz rewelacyjnie gra na pianinie. Gra, występuje, śpiewa i komponuje.

Niekiedy się denerwuję, myśląc o dzieciństwie, rozważając, do czego byśmy doszli, gdybyśmy wychowywali się w bardziej wspierającym domu. Musieliśmy stwardnieć, nauczyć się walczyć i wygrywać w najtrudniejszych starciach. Wkurzają mnie ludzie, którzy wiedzą idealne życie i nie doceniają tego, co mają. Występując z American Ballet Theatre, słyszałam czasem, jak koleżanki narzekają, że na wakacje ciągle jeżdżą z rodziną w to samo miejsce. Że wolałyby się opalać niż ćwiczyć w nieskończoność. Że w ABT jest o wiele gorzej niż w New York City. I wiele innych błahostek.

Myślę o tym, przez co musiałam przejść, z czym musiałam sobie

poradzić, by stanąć na scenie Metropolitan Opera. „Co one chrzanią?” – śmiałam się pod nosem. Zarabiam na życie, robiąc to, co kocham. Mam moją sztukę, poświęcam jej większość czasu, jeżdżę po całym świecie, o czym wiele osób może tylko pomarzyć. Kiedy skończy się nasza idylla w American Ballet Theatre, gdy nie będziemy mogli dłużej występować, gwarantuję, że każdy z tancerzy będzie żałował, iż kiedy mógł, nie doceniał w pełni każdej spędzonej tu sekundy. Pamiętając, co przeszłam, czego dokonało moje rodzeństwo, odczuwam jeszcze większą wdzięczność.



Dziesięć lat później nadal mam wrażenie, że walczę, by poznać ojca, by dokonać niemożliwego, odzyskać ten cały stracony czas. Nie poddajemy się. Tata i Debbie mieszkają w Wisconsin, często przyjeżdżają do Chicago, gdy występuje tam mój Teatr. A w każdą niedzielę o dziesiątej rano odzywa się telefon. To dzwoni tata.



Nie wiem, na ile spotkanie z ojcem, uścisk dłoni babci i odkrycie wcześniej nieznaney mi części samej siebie zapaliło we mnie jakąś iskrę. Wiem jednak, że po wyprawie do Wisconsin wróciłam do Nowego Jorku z nowymi siłami. Czułam się niewiarygodnie zmotywowana, podniecona tak samo jak wówczas, gdy pierwszy raz poszłam do studia Cindy, popatrzyłam na wyłożone lustrami ściany i poczułam niespodziewany dreszcz: nareszcie jestem w swoim świecie.

Kontrakt solowy nagle zaczął zajmować coraz więcej miejsca w mych myślach. Nie był już mrzonką, znajdował się w zasięgu ręki. Nie chciałam go tylko dla siebie. Wiedząc, że mogę przejść do historii, zostać pierwszą od dwudziestu lat czarną solistką American Ballet Theatre, czułam ogromne podekscytowanie, aż kręciło mi się w głowie. Powiedziałam, że od lat był to

mój cel – ale to jedno. Drugie, że teraz czułam, iż naprawdę mogę go osiągnąć. To oczekiwanie ogromnie podniosło mnie na duchu.

„Jeśli to otworzyłoby czarnym kobietom drzwi do baletu, to byłoby dla mnie spełnieniem marzeń, nie chciałabym już niczego więcej – zanotowałam w dzienniku. – Warto było przejść przez to wszystko. Po to robię to, co robię. Nie tylko dla własnej przyjemności i zarobku. Muszę o tym pamiętać każdego ranka, kiedy budzę się zmęczona, że mam myśleć o tym, co mogę zrobić, nie tylko dla siebie, ale i dla innych”. Byłam zdecydowana, by przez najbliższy rok skupić się na technice i występach.

W zespole spędzę sześć lat; choć niekiedy myślałam, że nie dostaję na czas tego, na co zasługuję, zrozumiałam, że niektórzy z członków zespołu nigdy nie zostaną solistami, nie otrzymają tego wyróżnienia, od którego tylko krok do tytułu primabaleriny czy pierwszego tancerza. A ja taką szansę dostałam.



Od American Ballet Theatre i od Nowego Jorku dostałam wiele darów. Tajemnicą pozostaje źródło jednego z nich.

Od kiedy skończyłam siedem lat, a nasza rodzina wyprowadziła się od Harolda do Roberta, prześladowały mnie potworne bóle głowy, uniemożliwiające mi występy i ćwiczenia. Po roku w Studio Company migreny zniknęły. To był inny stres. Ja byłam inna. Miałam kontrolę. Bóle głowy nigdy nie powróciły.

Rozdział 11

Oprócz Kevina pokierowali mną i oferowali wsparcie także inni artyści. Na przykład Isabel Brown. Nie była słodka. Wygłaszała zdecydowane opinie, a chwaliła tylko wtedy, kiedy człowiek naprawdę sobie na to zasłużył.

Kiedy pierwszy raz występowałam ze Studio Company w Nowym Jorku, była na widowni. Wieczorem, kiedy już wróciliśmy do jej domu na Upper West Side, przyszła do mojego pokoju z różami. Zastanawiałam się, czemu nie ofiarowała mi ich w teatrze, gdzie inni tancerze dostawali kwiaty od rodziców i przyjaciół.

Postawiła wazon na bocznym stoliku.

– Nie zamówiłam kwiatów, dopóki nie przekonałam się, że zatańczyłaś tak dobrze, iż na nie zasługujesz – oświadczyła, patrząc na mnie chłodno. To cała Isabel, ale i tak ją kocham. Cenię jej szczodrość – pozwoliła, bym u niej mieszkała – i jej uczciwość – jeśli Isabel Brown powiedziała, że mam talent, to tak jest na pewno. Isabel i jej córka Leslie, która uczyła mnie w American Ballet Theatre, uważnie przyglądały się moim występom i bardzo mnie chwaliły, dzięki czemu czułam się tak, jakbym należała do ich słynnej rodziny. Gdy dołączyłam do zespołu, Leslie oświadczyła podobno, że jestem jednym z największych młodych talentów w Teatrze. Aprobata ze strony dynastii Brownów jest porównywalna z opinią Pavarottiego, że ktoś ma znakomity głos, albo sióstr Williams, że dobrze gra z backhandu. Dodawał mi otuchy i zachęcał mnie także inny artysta,

który osiągnął szczyty w swojej dziedzinie, dalekiej od baletu. Prince.

Moja przyjaciółka Kaylen Ratto, którą poznałam w studiu baletowym Lauridsen i z którą ostatecznie założyłam firmę, pracowała dla firmy Career Transition for Dancers, pomagającej baletnicom, które już zakończyły karierę, wykorzystywać swe umiejętności i doświadczenie w innych miejscach. Pewnej soboty rankiem znalazłam w komórce SMS-a: „Czy mogę dać Prince’owi numer twojej komórki?”.

Prince?

Jeden z asystentów Prince’a zadzwonił do biura Kaylen z pytaniem, czy ktoś może pomóc w nawiązaniu kontaktu ze mną. Nie miałam pojęcia, czemu Prince chciałby ze mną rozmawiać, ale odpowiedziałam Kaylen, że oczywiście tak, niech da mu mój numer.

Zadzwonił tego samego dnia. Przez telefon jego uwodzicielski baryton nie przypominał falsetu, którego używał w największych przebojach, a który powodował, że kryształowe żyrandole drżały. Mimo to od razu można było rozpoznać, kto mówi. Brzmi to nierealnie, ale kiedy zadzwonił, nie poczułam się jakoś szczególnie. Najbardziej ciekawiło mnie, czego chce.

Właściwie to nawet nie byłam jego fanką. Boysbandy, raperzy i wykonawcy rhythm and bluesa bardziej mi odpowiadali, ale znałam Prince’a z radia i MTV. No i oczywiście widziałam *Purpurowy deszcz*. Powiedział miętko:

– Przygotowuję remake piosenki *Crimson and Clover* i bardzo chciałbym, byś wystąpiła w teledysku.

Od razu odpłynęłam, wyobrażając sobie, jak ja, baletnica, będę się poruszać w rytm jego muzyki. Było to dziwne, lecz bardzo pociągające.

– Byłoby wspaniale – odpowiedziałam.

Wysłałam e-maila do Olu, który akurat wyjechał, opisując mu propozycję. Zadzwoniłam również do mamy, którą wiadomość podekscytowała nawet bardziej niż mnie. Oboje uznali, że nie mogę przepuścić takiej szansy. Teatr akurat miał przerwę, więc właściwie mogłam robić, co chciałam. Ustaliłam z Prince’em datę spotkania i po

kilku dniach już byłam w drodze do Los Angeles. Leciałam pierwszą klasą. Chociaż miałam tam rodzinę, Prince wynajął mi pokój w Beverly Hills Hotel – niewyobrażalnie luksusowy apartament, o wiele za duży dla jednej osoby. Czekają tam na mnie kwiaty, szampan i odręcznie napisane powitanie. Asystent Prince’a woził mnie do studia, gdzie kręciliśmy teledysk, i z powrotem do hotelu. W pozostałym czasie miałam do dyspozycji limuzynę.

Następnego dnia przed rozpoczęciem zdjęć siedziałam w charakteryzatorni, kiedy wreszcie pojawił się tam Prince. Trzymał zdobioną laskę. Zachowywał się cicho i skromnie, zupełnie nie jak wielki gwiazdor. Grzecznie podszedł, przywitał się ze mną i uścisnął mi dłoń. Wyglądał na nieco zdenerwowanego. Sama miałam ułożyć choreografię, improwizować w rytm muzyki. Szanował to, że znałam się na balecie znacznie lepiej od niego. Na planie siedział spokojnie, przyglądał się, pozwalał mi tworzyć i szukać rozwiązań najlepszych w danej chwili.

Wieczorem limuzyna zabrała mnie do domu Prince’a na kolację. W samochodzie czekał pięknie opakowany prezent: piaskowego koloru strój, w którym występowałam w teledysku. Współpracownik Prince’a wprowadził mnie do środka. Musiałam czekać czterdzieści pięć minut w saloniku przy kuchni, rozmawiając z kucharzem i niecierpliwie wypatrując gospodarza. Rozglądałam się po pięknej rezydencji. Wszędzie były okna, sięgające od podłogi po sufit, a światło księżycy tworzyło oprawę dla purpurowego, bardzo sexy fortepianu.

W końcu usłyszałam stukot obcasów w holu. Prince zaprowadził mnie do jadalni, gdzie zjedliśmy wegetariański posiłek przygotowany przez szefa kuchni. Stół był niewiarygodnie długi. Prince siedział na szczycie, a ja obok niego. Od początku wykazywał wielkie zainteresowanie i podziw, chciał jak najwięcej dowiedzieć się o balecie i o mnie. Zasypał mnie lawiną pytań: skąd pochodzę, jaką muzykę lubię, co czuję podczas występów, jak mi się wiedzie w American Ballet Theatre.

Po kolacji limuzyna odwiozła mnie z powrotem do hotelu. Przez

następny rok nie widziałam Prince'a. Jednak często do mnie dzwonił. Kiedyś w Nowym Jorku zaprosił mnie na występ funk-rockowej grupy Graham Central Station. Też przysłał samochód. Też był nieśmiały. Siedzieliśmy przy olbrzymim, okrągłym stole. Tylko we dwoje. W pewnej chwili wszedł na scenę, by zagrać na gitarze. Grał po mistrzowsku, dziko i namiętnie, doprowadzając widownię do szaleństwa. Po raz pierwszy widziałam go od tej strony. Potem wieczór się skończył. Wróciłam do domu.

I tak to było z Prince'em. Znikał, a potem niespodziewanie znów pojawiał się w moim życiu. Tajemniczy i ekscytujący. Jakies pięć miesięcy później zadzwonił ponownie.

– Jadę w trasę koncertową do Europy. Chciałbym, żebyś wzięła udział w kilku przedstawieniach. Może nawet solo.

Kiedy Teatr miał przerwę, mogłam bez problemu pracować z Prince'em, ale jeśli chciałabym robić coś dodatkowego w sezonie, kiedy mieliśmy próby i występowałam, byłoby to o wiele trudniejsze. Musiałabym poprosić o urlop i pewnie obcięliby mi wynagrodzenie. Większość podobnych próśb spotykała się z odmową. W końcu udało mi się wszystko ustalić: objazd po Europie był zaplanowany na koniec lata, więc mogę jechać.

To była niesamowita okazja. Będę pracować z ikoną popkultury, pokażę balet zupełnie nowej publiczności. „To nie może być prawda” – pomyślałam. Ale udawałam opanowaną.

– Chyba będę mogła – odpowiedziałam spokojnie.

Kiedy przyleciałam na lotnisko Charles'a de Gaulle w Paryżu, Prince czekał na mnie w czarnej limuzynie. W drodze do hotelu mało rozmawialiśmy. Mieszkaliśmy w hotelu Bristol. Gdy czekałam na Prince'a przed jego pokojem, wpadłam na aktorkę Rachel McAdams. Kręciła właśnie film *O północy w Paryżu*.

Pierwszego wieczoru poszliśmy na koncert Eryki Badu. Występ był niezmiernie, a ona eteryczna, zmysłowa i w życiowej formie. Po występie razem z Eryką oglądałam występ Prince'a podczas jam session na

afterparty. Ta noc nie miała końca. Prince grał bez przerwy przez cztery godziny – tak kochał swoją sztukę. Mógł komponować i ćwiczyć cały dzień, a potem grać całą noc. Jako tancerka w pełni go rozumiałam.

Mieliśmy wystąpić w Paryżu, ale przedstawienie odwołano. Nie pamiętam czemu. Pamiętam tylko, że były dramatyczne doniesienia mediów, jakiś proces – wszystko, co towarzyszy podobnym sytuacjom. W każdym razie odbyliśmy tylko jeden pokaz, w Nicei.

Do Cannes dotarliśmy kilka dni później. Zespół muzyczny i obsługa mieszkali w hotelu Negresco, ale Prince był bardzo wybredny i nie czuł się tam wygodnie. Razem objechaliśmy całe miasto, aż wreszcie wylądowaliśmy w Grand Hyatt Hotel Martinez. Szaleństwem było szukanie miejsca w ostatniej chwili, no, ale przecież Prince to Prince. Dopiął swego.

Gdy nadszedł dzień występu, poszliśmy obejrzeć scenę i garderobę. Mieliśmy mieć wspólną garderobę, za co Prince bardzo przeproszał, a jak potem się dowiedziałam, zdarzało się to niesłychanie rzadko w przypadku gwiazdy jego formatu. Mnie to nie przeszkadzało. Siedzieliśmy, rozmawialiśmy i żartowaliśmy, nakładając makijaż. Kiedy Prince z zespołem pojawił się na scenie, a po nich inni biorący udział w przedstawieniu, nadeszła moja kolej. Wyszłam, nie bardzo wiedząc, co zrobię, bo nie odbyłam żadnej próby. Nie przejmowałam się jednak. Byłam na swoim terenie. Miałam wystąpić, kochałam to, znajdowałam się z dala od Teatru, więc nie musiałam się martwić, czy mój skok będzie doskonały, czy widownia skrytykuje *jeté en avant* i moją formę. Mogłam tańczyć swobodnie i pokazać nowicjuszom moją miłość – balet.

Tańczyłam minutę czy dwie, wysoko podnosząc nogi, niemal dotykając kolanem czoła, gwałtownie opuszczając wyprostowaną jak struna nogę, *grand battement* – kiedy widownia wybuchnęła entuzjastycznymi okrzykami i aplauzem.

„No – pomyślałam, czując, że nad nimi panuję – podobało im się!”.
A kiedy zaczęłam wirować, kątem oka dostrzegłam, że Prince właśnie

wchodzi na scenę. Oklaski były oczywiście dla niego. Uśmiechnęłam się pod nosem i powoli zeszedłam ze sceny. Stałam za kulisami, sycąc się tym wszystkim. Pierwszy raz patrzyłam na mego nowego, zadziwiającego przyjaciela jak na PRINCE'A, legendę muzyki. Sterczałam tam z rozdziawionymi ustami, oszołomiona zmianą, jaka w nim zaszła. Kipiał energią, a jednocześnie był opanowany. A jego fani byli mu oddani tak samo jak on im. O takim rodzaju mistrzostwa i porozumienia z publicznością marzyłam dla siebie.



Prince znowu zniknął mniej więcej na rok, po czym ponownie zadzwonił do mnie jesienią 2011 roku. Chciał, bym przyleciała do jego domu w Minnesota na sesję zdjęciową i rozmowy o dalszej współpracy. Zgodziłam się i jak wcześniej pojechałam, by spotkać się z nim, nie bardzo wiedząc, czego oczekuje.

Zakomunikował mi, że planuje objazd po Stanach, pierwszy od dłuższego czasu. Trasa ma się odbywać pod hasłem „Welcome to America”, a koncerty zaczną się w Madison Square Garden w Nowym Jorku. Czułam się zaszczycona, że chce mnie włączyć w to przedsięwzięcie, już od początku, kiedy dopiero planuje, dokąd pojedzie i co pokaże.

Zrobiliśmy wspólne zdjęcia, on z gitarą, a ja w kostiumie i na pointach, które nosiłam niemal dwa lata wcześniej w teledysku *Crimson and Clover*. Kręciłam piruety i pozowałam u jego boku, a on patrzył wprost w obiektyw. Kilka godzin później, gdy skończyliśmy sesję, poszłam do innego pokoju, by wspólnie z jego współpracownikami przejrzeć zrobione fotografie. Wybrałam te, na których najlepiej było widać moją linię baletnicy, ponieważ oni nie mieli wyczucia, jeśli chodziło o ten atrybut. Zgodzili się, że znam się na tym lepiej i wydrukowali ujęcia do zamieszczenia na plakatach i w programach sprzedawanych podczas przedstawień. Jednak zabawa już się skończyła. Żadnych improwizacji.

Tym razem Prince chciał choreografii i stałego układu.



Kiedy wróciłam do Nowego Jorku, American Ballet Theatre był w środku prób, przygotowując sezon *Dziadka do orzechów* w brooklyńskiej Akademii Muzycznej. Codzienne próby odbywaliśmy w teatrze w New Jersey, gdyż scena Akademii aż do naszej premiery była zajęta przez inny zespół.

Ćwiczyłam z Teatrem od dziesiątej rano do dziewiątej wieczorem. W czasie przerw przyjeżdżał choreograf, z którym pracowałam nad numerem zaplanowanym dla mnie podczas koncertu Prince'a. Miałam tańczyć do *The Beautiful Ones* z filmowego albumu *Purpurowy deszcz*. Próbowałam cały dzień i pół nocy z Teatrem, a potem limuzyna zawoziła mnie do Izod Center w New Jersey, gdzie ćwiczyłam z Prince'em do drugiej nad ranem. Teraz już szczegółowo określił, czego ode mnie oczekuje. Odpowiadało mi to. Pracowałam pod wielką presją, do czego przywykłam jako baletnica. Choć miałam frajdę, kiedy poprzednio robiłam na scenie, co chciałam, obecne dążenie do technicznej perfekcji i pełnej kontroli było znane i uspokajające. Byłam gotowa.

Prince robił tony notatek dla mnie i dla choreografa. Kazał mi w kółko słuchać *The Beautiful Ones*, dopóki nie nauczyłam się na pamięć słów i każdej nuty.

Baby, baby, baby.

What's it gonna be?

Niekiedy odbywaliśmy próby w jego apartamencie w hotelu Ritz-Carlton na Manhattanie. Pogłęśniał muzykę, kiedy tańczyłam na stole w jadalni, zastępującym fortepian, na którym będę wirować podczas koncertów. Praca z Prince'em – obserwowanie jego doskonałości, dbałości o szczegóły – i zaufanie, jakim mnie obdarzył, niezwykle wzmocniły moją wiarę w siebie. Wykonując układ będący jego wizją, ale wykonując go na swój sposób, bez

nieustannych wskazówek nauczycieli, czułam się niezależna, jakbym w końcu stała się w pełni profesjonalną tancerką.

Do tego czasu często czułam się jak uczennica, wiecznie spóźniona do baletu. Praca z Prince'em pomogła mi spełnić się jako artystce, odpowiedzialnej za każdy krok: od jego koncepcji po moje wykonanie, od narodzin po pełny rozkwit.



Przełom emocjonalny – poznałam Olu i zakochałam się w nim, polubiłam moje rozkwitłe ciało, spotkałam się z ojcem – towarzyszył przełomowi w technice tańca.

Pamiętam, jak pierwszy raz tańczyłam *Pas de deux* w choreografii George'a Balanchine'a do muzyki Czajkowskiego; było to w Met, z Jaredem Matthewsem, w maju 2009 roku. Ten występ okazał się prawdziwym punktem zwrotnym. Szybka praca stóp, charakterystyczna dla baletów Balanchine'a, zawsze była dla mnie wyzwaniem. Niestrudzenie ćwiczyłam, szło mi dobrze, co uważałam za wielkie osiągnięcie. Z każdym występem poprawiała się także moja technika.

Odkryłam, że doświadczałam przełomów i największe postępy czyniłam wtedy, kiedy proszono mnie o występ poza Teatrem. Chyba dlatego, że na zewnętrznych pokazach zawsze byłam główną tancerką i mogłam wykonywać duże partie, nie czując oczekiwań i presji ze strony kierownictwa American Ballet Theatre. Czasem ta presja istniała jedynie w mojej głowie. Zawsze się bałam, że jeśli tylko zrobię sobie dzień przerwy, to nie utrzymam złudnego poziomu doskonałości, do której my, tancerze, bezustannie dążymy, ale której nie możemy osiągnąć. A jeśli już mnie nie obsadzą w tej roli? Kiedy tańczyłam poza Teatrem, czułam, że mam mniej do stracenia. Nerwy i napięcie zastąpiła czysta, nieskrępowana radość. Kiedy tańczyłam z innymi zespołami lub innymi choreografami, doświadczałam eksplozji wiary w siebie i uderzenia adrenaliny. Czułam

taką samą wolność i prąd, tańcząc z Prince'em.

Był perfekcjonistą, jak ja, i chciał, by w moim występie znalazły się określone elementy. Jednak to ja znałam się na balecie, więc decyzja w sprawie choreografii, doskonalenia układu i ostatecznego kształtu występu zależała ode mnie.

Razem patrzyliśmy w lustro, wymyślając dla mnie pozycje, które najlepiej pasowały: mam tańczyć wokół niego, gdy będzie śpiewał *The Beautiful Ones* podczas tournée po Stanach. Nie będę uczestniczyć każdym koncercie. W Teatrze trwał sezon, graliśmy w brooklyńskiej Akademii Muzycznej. Dostałam zgodę na występowanie z Prince'em, kiedy miałam wolne, a on zaakceptował, że pojawiając się i znikając, zgodnie z planem zajęć w Teatrze, a kiedy tańczyłam w Akademii w Brooklynie, wycinał mój numer.

Byłam wykończona i rozradowana. Występowałam na całym świecie, od Metropolitan Opera po teatr Karola Marxa w Hawanie i Centrum Kultury w Hongkongu, ale pokazu w towarzystwie Prince'a nie mogłam się spodziewać.

Pierwszy koncert daliśmy w Madison Square Garden. Czułam nieco większe ciśnienie niż zwykle. Wśród publiczności były sławy, w powietrzu wręcz wibrowało napięcie. Podczas przedstawienia wślizgnęłam się pod scenę, gdzie Prince miał małą przebieralnię. Zanim do mnie dołączy, zaśpiewa jeszcze kilka piosenek. Gdy zszedł, oboje byliśmy spokojni. Potem padliśmy sobie w objęcia.

– Zróbmy to – powiedział. Potem wszedł na niewielką platformę, która wynurzyła się spod sceny. Podszedł do fortepianu i zaczął grać. Platforma miała opuścić się po mnie, bym zajęła miejsce u boku Prince'a. Ale nie zjeżdżała. Zaczęłam wpadać w panikę. „Och, nie! – myślałam. – To mój wielki dzień! Powinnam być na scenie!”. Wydawało mi się, że mijają minuty, ale po zaledwie kilku sekundach podest opadł. Z wdziękiem podeszłam do fortepianu i wskoczyłam na swoje miejsce. Niekończące się próby z Prince'em, podczas których upewniał się, że znam każde słowo,

każdy takt, każdy akord, sprawiły, że nie spóźniłam się ani o nutkę. Kipiałam energią. Zbliżał się moment mojej solówki.

Prince nagle przestał śpiewać.

– Panie i panowie, Misty Copeland!

Serce mi waliło. Nigdy tego nie robił podczas prób. Na koncertach zawsze patrzyłam na siebie jako na tancerkę z drugiego planu, kręcącą się gdzieś w tle. A teraz przedstawił mnie publiczności, jakbym była mu równa, jakbym była jego partnerką. Unosiłam się nad ziemią.

Szczerze mówiąc, nie sądzę, że naprawdę byłam w stanie pokazać, co potrafię jako baletnica. Kostium – Prince zawsze chciał, bym na koncertach nosiła ten sam, który lata wcześniej miałam na sobie w teledysku *Crimson and Clover* – był w rozmiarze cztery. Ja nosiłam chyba zero. Był zbyt ciężki i za długi do skoków i złożonych obrotów. Nawet scena była nie całkiem taka, jak należy, z podłogą nieprzystosowaną do tańca w pointach.

Przeważnie zmysłowo kroczyłam dookoła, wykonując jedno po drugim *piqué*, potem kilka *chaines*, aż kręciło mi się w głowie, bo kostium z długim trenem był za ciężki. Technicznie nie było to zbyt trudne. Najbardziej musiałam się starać, by nie stracić równowagi i nie poślizgnąć się, gdy wirowałam na fortepianie. Jednak i tak nigdy tego nie zapomnę. Występowałam w salach koncertowych, pozwalając posmakować baletu tym, którzy nigdy go nie widzieli. Razem z Prince'em przygotowaliśmy kilka innych występów w Madison Square Garden i w Forum w Los Angeles i za każdym razem było to przeżycie nieporównywalne z niczym innym.

Prince kochał balet i często przychodził na moje występy z American Ballet Theatre. Dał mi wiarę w siebie, jakiej nie czułam od czasu, gdy byłam młodą tancerką. Jedną z najcenniejszych stron naszej przyjaźni jest to, że uświadomił mi, ile znaczę dla Teatru. „Nie musisz być zawsze taka skromna – powtarzał jak pan Mitchell. – Jesteś królową, prawdziwą diwą w najlepszym znaczeniu tego słowa”. Na scenie czułam się kimś innym,

mając świadomość, że ktoś tak utalentowany jak on głęboko we mnie wierzy. Choć jego obecność w moim życiu była ulotna, zawsze będę mu za to wdzięczna.

Niewiarygodne, jak wspaniałomyślne było kierownictwo Teatru, pozwalając mi korzystać ze wszystkich sposobności, skoro mogli się sprzeciwić. No i oczywiście ogromnie wspierali moje poczynania w zespole, co także podtrzymywało mnie na duchu.

Zrozumiałam, że miałam to wsparcie od samego początku. Często wspominam owe przyprawiające o zawrót głowy letnie dni, kiedy zaczynałam tańczyć z American Ballet Theatre. Pamiętam, jak podeszła do mnie cudowna Elaine Kudo, która jako pierwsza tańczyła z Barysznikowem w choreografii Twyli Tharp w *Push Comes to Shove*. Widziała mój występ rok wcześniej. To był balet współczesny Kirka Petersona *Eyes That Gently Touch*, a ona chciała mi powiedzieć, jak bardzo podobał się jej mój taniec. Widziała to samo przedstawienie w wykonaniu dwóch innych zespołów, a moja rola górowała nad innymi. Byłam tak zaszczycona, że zabrakło mi słów.

Wspominam też Davida Richardsona, ówczesnego zastępcę dyrektora artystycznego, który kiedyś powiedział mi, że poprzedniego dnia moje nazwisko wymienił John Meehan.

– Niecierpliwie czekam na nadchodzący sezon – powiedział mu.

– Czemu? – zapytał David.

– Bo będą Misty Copeland i David Hallberg – odparł John, mając na myśli przedstawienia, w których miałam wystąpić z młodym, wyróżniającym się tancerzem, który w końcu został pierwszym tancerzem American Ballet Theatre. John powiedział Davidowi, że widzi we mnie wielki talent. Poczulałam się tak doceniona, że mogłabym wykonać *ballon* i nigdy nie opaść.

Rozdział 12

Przełom techniczny, pokazy z innymi zespołami i artystami takimi jak Prince, pochlebne słowa i poparcie ze strony Kevina McKenzie i innych pomogły mi uwierzyć, że mam talent, i wystąpić w swojej sprawie. Nie tylko w kwestii tańca, kultury i sztuki, ale i rasy.

Poznałam historie innych czarnych baletnic, które tańczyły przede mną, i to również pozwoliło mi znaleźć właściwe słowa.

Z Raven Wilkinson zetknęłam się, oglądając film dokumentalny o Ballet Russe. Wtedy pierwszy raz o niej usłyszałam, co mnie zezłościło i uszczęśliwiło zarazem. Byłam zła, że ani ja, młoda tancerka, ani ci, którzy oglądali mnie na scenie, nie wiedzieliśmy, że istnieje, a z drugiej strony przepełniała mnie radość, że ją odnalazłam.

Kiedy Ballet Russe objeżdżał Południe, Raven zetknęła się z pogrózkami ze strony Ku-Klux-Klanu. Chodziły głosy, że mogą ją zaatakować, więc musiała opuścić zespół i przeprowadzić się do Holandii, by znaleźć teatr, gdzie znów będzie mogła tańczyć. Płakałam, poznając jej dzieje. Wiedziałam już jednak, iż nie jestem pierwszą czarną baletnicą i mam to szczęście, że krocę znacznie mniej niebezpieczną ścieżką.

Wspominałam Raven tak często, że moja menedżerka, Gilda Squire, postanowiła dowiedzieć się więcej. Odkryła, że Raven ma się świetnie, mieszka zaledwie kilka przecznic ode mnie na Upper West Side. Odebrałam to jako znak, że powinniśmy się spotkać i wspierać wzajemnie.

Gilda skontaktowała się z nią i okazało się, że Raven od początku śledzi

moją karierę, zna wszystkie moje wywiady telewizyjne i liczne artykuły na mój temat. Byłam poruszona i zaskoczona.

Gilda przygotowała spotkanie z Raven i ze mną w Studio Museum w Harlemie. Wymyśliła je jako publiczną debatę między dwiema generacjami czarnych balerin. Kiedy pierwszy raz rozmawiałam z Raven, nawet nie znajdowałyśmy się w tym samym pomieszczeniu.

Uczestniczyłyśmy w nadawanym na żywo wywiadzie radiowym promującym spotkanie w Museum. Bardzo mnie wzruszył sam dźwięk jej głosu. Osobiście poznałyśmy się zaledwie kilka minut przed debatą w Harlemie. Wybuchnęłam płaczem i mocno ją przytuliłam. Była taka drobna, delikatna i piękna. Od tamtej pory utrzymujemy kontakt. Przychodzi na każde moje przedstawienie, często potem spotykamy się na kolacji. Jeszcze zanim ją poznałam, była moim światłem przewodnim, a teraz stale i bezinteresownie zachęca mnie, bym poszła dalej, niż kiedykolwiek jej się udało. Często podkreśla, że mam więcej możliwości i większy talent, w co trudno mi uwierzyć. Jest skromna, wesoła, opowiada zabawne i pikantne historie, których zna tyle, że nigdy się nie powtarza. Mówimy tym samym rzadkim językiem: językiem czarnych tancerek baletu klasycznego.

Uważam, że częścią mego zadania jako Afroamerykanki i baletnicy jest nagłośnienie historii Raven i naszych losów w świecie baletu. Nie chodzi tylko o Raven, lecz i o Aeshę Ash, Alicję Graf Mack, Lauren Anderson, Tai Jimenez i całą rzeszę innych czarnych łabędzi, które wzbogaciły świat baletu, lecz nigdy nie zyskały należnego im uznania. Czuję silny związek z każdą z nich. W tym środowisku nie jest nam lekko. By zrobić karierę w balecie, trzeba mieć dużo szczęścia (które miałam) lub dużo pieniędzy (których nie miałam). A do tego być doskonale wyszkoloną i mieć wsparcie emocjonalne. Kiedy pniiesz się po szczeblach kariery, rozglądasz się wokół i nagle zauważasz, że jesteś sama, nikt inny nie wygląda podobnie. Aesha, Tai, a zwłaszcza Raven sprawiły, że poczułam się mniej samotna.

W zespole baletowym często musisz rywalizować o rolę z przyjaciółmi,

z rówieśnikami. To niełatwe. Ale współzawodnictwo na nierównym polu jest jeszcze bardziej wyczerpujące psychicznie.

Pamiętam to okropne poczucie pustki, kiedy weszłam na salę ćwiczeń z nauczycielką, która – wiedziałam to – z góry założyła, kim jestem i na co mnie stać. To zawsze było widać. Musiałam przybrać pewny siebie wyraz twarzy, wiedząc, że choćbym nie wiem jak wspaniale zatańczyła, nie zostanę wybrana do danej roli. Ogromnie dużo mnie to kosztowało. Podobnie jak poczucie, że muszę bronić tego, kim jestem.

– Nie myślimy o tobie jako o czarnej – często słyszałam ten refren od koleżanek, gdy usiłowałam otworzyć się nieco przed nimi i uzmysłowić im, że jest mi trudniej otrzymać klasyczną rolę i rzadziej słyszę pochwały. Naturalnie starały się być miłe, a nawet mnie zrozumieć.

Zastanawiało mnie to: „Co wy sobie w ogóle myślicie o czarnych, skoro sądzicie, że stwierdzenie, iż NIE uważacie mnie za czarną, traktujecie jako komplement?”. Ale dalej tańczyłam, ćwiczyłam i występowałam. Stawałam się pod każdym względem silniejsza. Nawet nie umiem opisać, jakie to uczucie, gdy nagle spotykasz kogoś, kto skupia się na twoim talencie, a nie na opakowaniu, w jakim przychodzisz.

Trzy lata temu tańczyłam partię Kotki w duecie z Kotem w butach w *Śpiącej królownie*. Charakteryzatorka przymierzała się, by upudrować mi twarz na białe. Spojrzałam na nią:

– Czemu koty zawsze mają być białe? – rzuciłam wyzywająco. – Chcę być brązowym kotem.

I byłam.



W 2007 roku dwoje tancerzy miało reprezentować American Ballet Theatre na słynnym konkursie Erika Bruhna. Kevin McKenzie wyznaczył mnie. Dyrektorzy artystyczni czterech najsłynniejszych na świecie zespołów baletowych – American Ballet Theatre, Royal Ballet, Royal

Danish Ballet i National Ballet z Kanady – wybrali do konkursu swoich najlepszych młodych tancerzy.

Chyba zawsze Kevin wierzył, że jest we mnie coś szczególnego i dlatego przyznawał mi stypendia i kwalifikował na wszystkie warsztaty, na jakie mógł, począwszy od stypendium Coca-Coli po udział w konkursie księżnej Grace. A teraz to. Dawał mi szansę, bym mogła się wyróżnić i zadebiutować jako primabalerina.

Jared Matthews, kolega z zespołu, miał wraz ze mną reprezentować American Ballet Theatre – liczyliśmy na wygraną. Ulżyło mi, gdy dowiedziałam się, że będę tańczyć z Jaredem, moim przyjacielem i wielokrotnym partnerem w *pas de deux*.

Trzy dni przed kanadyjskim konkursem doznałam urazu podczas próby, gdy ćwiczyłam skoki. Przygotowywałam solo „skaczącej przyjaciółki Księcia” w *pas de trois* z *Jeziora łabędziego*, którą miałam zatańczyć zaraz po powrocie z zagranicy. Powiedziano mi, że to reakcja stresowa kości śródstopia. Byłam przerażona i przygnębiona, ale zdecydowana nie poddawać się. Kolejnego dnia zrobiłam sobie wolne, a następnie wróciłam do Teatru, by sprawdzić, czy jestem w stanie zatańczyć.

Kiedy otworzyłam drzwi garderoby, zobaczyłam na środku cudzą walizkę. Nikt mnie nie uprzedzał, że inna tancerka szykuje się, by mnie zastąpić, ale przekaz był wstrząsająco jasny. Musiałam się pozbierać. Za nic w świecie nie przepuszczę tej szansy. Tego wieczoru, mimo bólu i zdenerwowania, postanowiłam jechać do Kanady i wystartować w konkursie.

Zatańczyliśmy z Jaredem *Grand pas de deux* ze *Śpiącej królowny*, które tylekroć wykonywałam w Teatrze. Pokazaliśmy też kawałek współczesny, fragment z *Petite mort* według choreografii Jiříego Kyliana.

Tancerze z pozostałych trzech zespołów byli zaskakująco przyjacielscy. Chyba wszystkich łączyła świadomość, jakim zaszczytem było wyróżnienie nas przez dyrekcje teatrów, a także ciśnienie towarzyszące występowi na tak wielkiej scenie. Niepokoił mnie fragment ze *Śpiącej królowny*. Tak

często powtarzano mi w American Ballet Theatre, jaka jestem świetna w rolach współczesnych, że poczułam się onieśmielona, iż mam zatańczyć tę wielką klasyczną partię. Ale zatańczyłam najlepiej. Nie wygraliśmy jednak, choć zdobyłam większą nagrodę.

Kilka tygodni po powrocie Kevin poprosił mnie do siebie. W końcu postanowił uczynić mnie solistką. Oświadczył, że właśnie podczas konkursu Erika Bruhna ujrzał we mnie balerinę. Miałam zostać pierwszą od dwudziestu lat czarną solistką American Ballet Theatre. To był przełom.

Słuchając go, byłam zadziwiająco spokojna. Nie odbywało się to dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam, od kiedy skończyłam trzynaście lat. W marzeniach padałam na kolana, zalewałam się łzami, dziękując Kevinowi z całego serca. Kiedy marzenia stały się rzeczywistością – po długiej i ciężkiej walce, po tylu latach zwątpienia – w końcu uwierzyłam, że na to zasługuję.

Jednak przyznaję, iż wiedziałam wtedy – i teraz też wiem – że Kevin od początku mi pomagał, zachęcał, robił wszystko, bym się rozwijała, bym dojrzewała, bym osiągnęła szczyty. Dał tak niezwykłej baletnicy miejsce na środku sceny, pozwolił, bym stała się twarzą jednego z najznakomitszych na świecie zespołów tańca i za to zawsze będę mu wdzięczna.

Czekałam sześć długich lat. Teraz byłam gotowa, by pokazać światu nie tylko, że jestem utalentowaną tancerką, lecz i prawdziwą artystką.



W czerwcu 2011 roku dołączyłam do Denzela Washingtona, Jennifer Lopez, Kerry Washington, Cuby Goodinga juniora, Smokeya Robinsona, Magica Johnsona, Sugar Ray Leonarda i innych wybitnych adeptów Klubów dla Chłopców i Dziewcząt z całej Ameryki, by wziąć udział w reklamie społecznej na rzecz klubów.

My, tancerze, nie zawsze czerpiemy korzyści z ciężkiej pracy całego życia i wysiłku, jaki wkładamy w doskonalenie umiejętności i naszej sztuki. Jednak wsparcie takiej organizacji i otoczenie ludzi, którzy odnieśli sukces, a zaczynali jak ty, ludzi, na których patrzyłaś z podziwem, a teraz stoisz wśród nich, sprawia, że czujesz się świetnie. Wszystko odbywało się w bezpośredniej atmosferze, jakbyśmy znali się od dawna. Chyba dlatego, że wszyscy wywodziliśmy się z klubów, czuliśmy się tak ze sobą związani. Denzel opowiedział mi o sobie. Jako nastolatek w Nowym Jorku chwycił się każdej sposobności, by być na scenie lub w jej pobliżu, więc gdy Metropolitan Opera potrzebowała chłopaków do podciągania kurtyny, bez wahania się zgłosił. Doszedł do zaciągania kurtyny za Natalią Makarową i Michaiłem Barysznikowem w przedstawieniu American Ballet Theatre. Kerry była zainteresowana wspieraniem mnie i baletu, zachowywała się jak prawdziwa przyjaciółka.

W 2012 roku pojechałam do San Diego, gdzie zostałam uroczystie wprowadzona do galerii sław wychowanków Klubów dla Chłopców i Dziewcząt.

Liz i Dick Cantine'owie też tam byli, mama również. Cindy i Patrick także przyjechali. Wcześniej organizatorzy spytali, czy chcę zaprosić Cindy. Odpowiedziałam, że tak. Przez te wszystkie lata od czasu do czasu widywałam się z Bradleyami. Jednak uroczystość zorganizowana przez Kluby dla Chłopców i Dziewcząt po raz pierwszy od owej brzydkiej batalii o moją niezależność zgromadziła wszystkich pod jednym dachem – mamę, Cantine'ów i Bradleyów.

Przemawiając, podziękowałam Cindy za to, że wprowadziła mnie w świat baletu. Chyba nie zrobiłam tego nigdy wcześniej, choć w pełni na to zasługiwała.

Byłam ogromnie dumna, że byli wszyscy: mama, Liz i Dick, Patrick i Cindy, że pokonaliśmy tę ogromną traumę i mogliśmy cieszyć się tym, co było wcześniej i co przyszło później. Byłam taka szczęśliwa, że znów mogę stanąć na scenie Klubu dla Chłopców i Dziewcząt, gdzie pierwszy raz

dotknęłam drążka, i że oni wszyscy mogą się wraz ze mną cieszyć sukcesem!

Kiedy przemawiałam, przepełniało mnie szczęście. Patrzyłam na ich rozpromienione twarze i wcale się nie denerwowałam.

Rozdział 13

Kiedy byłam małą, żyłam w ciągłym strachu przed ocenianiem, zawsze bałam się, że kogoś zawiodę. Zależało mi na tym, by wszystkim sprawiać przyjemność. Upewniałam się, że nikt nie spóźni się na lekcje, kiedy byłam dyżurną. Kiedy trzeba było coś załatwić, pierwsza się zgłaszałam. Ścierałam tablicę, pomagałam braciom i siostram.

Kiedy rodzeństwo psioczyło na maminyh kochanków albo narzekało na nią, zawsze trzymałam język za zębami. Wolałam siedzieć na pustym korytarzu i słuchać muzyki niż spóźnić się do szkoły. A gdy mieszkałam z Cindy i chodziłam do publicznej szkoły, chowałam się pod kołdrą i do późna w nocy przy latarce uczyłam się do sprawdzianów. Wybrałam niezwykłą drogę. Zostałam baletnicą. A to oznaczało, że bezustannie będą mnie oceniać.

Każda próba w Teatrze, każdy występ w Met czy brooklyńskiej Akademii Muzyki mogły rozczarować kogoś, kto we mnie uwierzył – a niekiedy tylko mnie samą.

Miałam po swojej stronie mnóstwo osób, począwszy od mamy, która kochała mnie tak bardzo, że pozwoliła, bym zamieszkała z Bradleyami, po Kevina McKenzie, który spełnił moje marzenia o występach w American Ballet Theatre.

Ale w baletowym świecie było – i nadal jest – wielu, którzy ciągle szukali powodów, by mnie skrytykować, których pokrętne sądy dotyczące mego wyglądu, umiejętności i motywów raniły mnie i nadal ranią.

Niektórzy blogerzy twierdzili, że występując z Prince'em, sprzeniewierzam się baletowi. Inni potępiali mnie dlatego, że jakoby używałam argumentu „rasowego”. Jeszcze inni powoływali się na liczne artykuły o mnie, by dowodzić, że jestem jedynie żądną sławy amatorką.

Nie chciałam czytać tych pełnych jadu słów. A kiedy zwyciężała ciekawość, pragnęłam, by mnie tak nie raniły i nie złościły. Ale na próżno.

Paloma nigdy nie czyta recenzji, ale należy do nielicznych, którzy potrafią zupełnie się wyłączyć. Ja jestem aktywna na portalach społecznościowych, dzięki którym rozmawiam z fanami, niezależnie od tego, czy mają karnet w American Ballet Theatre, czy też oglądali tylko teledyski na tablecie. Są jednak i tacy, którzy po prostu nie chcą zobaczyć, jak tańczę – z powodu koloru mej skóry. Nieważne, co robię, nieważne, jak to robię – po prostu nie podobam się im.

Kusi mnie rozwiązanie przyjęte przez Palomę: nie muszę czytać komentarzy, które zaburzają moją sztukę i rozdzierają duszę. Paloma nie żyje w strachu, że ktoś odbierze jej radość z tego, co robi i kocha. Też tego nie chcę. Jak mam cokolwiek wyjaśniać ludziom, którzy nawet nigdy mnie nie spotkali, nie poznali, którzy patrzą złym wzrokiem i potem wydają sądy? Kiedy udzielam wywiadów, tańczę z Prince'em i wykorzystuję każdą nadarzącą się sposobność, by rozmawiać z młodymi ludźmi, robię to dlatego, że kocham balet, a nie po to, by czerpać z tego korzyści. Chcę zapoznać jak najwięcej osób z tą piękną formą sztuki, tak podnoszącą na duchu i sercu, bo wiem, ile radości i szczęścia przyniosła mnie samej.

Ciekawi mnie i to, jak ludzie rozmawiają o moich korzeniach. Większość czarnych ma przodków z Europy lub spośród rdzennych ludów Ameryki. Ci, którzy twierdzili, że nie nadaję się do baletu klasycznego, zawsze podkreślali, że jestem kolorowa. Jednak gdy skupia się na mnie uwaga mediów – bo pokonałam tyle przeciwności i odniosłam niezwykły sukces w tym wyjątkowym, zamkniętym środowisku – nagle najważniejsze staje się moje włoskie i niemieckie pochodzenie.

Postanowiłam, że sama się określe. Jestem czarna i moją tożsamością

nie można grać ani przypisać mi jej, bo komuś tak się podoba.

Wychowałam się w kulturze afroamerykańskiej, to ona ukształtowała moje ciało i mój światopogląd. Co prawda nie zawsze okazuję, jak bardzo ranią mnie uprzedzenia, które często tak wyraźnie dostrzegam, ale zajmuje się nimi agencja, która występuje w moim imieniu. Wiele razy słyszę, jak siedmioletnie dziewczynki, które uczę, powtarzają bigoteryjne sformułowania, zaśmiecające świat tańca. Są dziećmi, a już muszą radzić sobie z truciznami rozsiewanymi przez dorosłych. To poważna sprawa. Chociaż chcę, by każdego, kto widzi mnie na scenie, porywał i urzekał taniec, to gdy frunę nad parkietem, mam w sobie każdą małą brązową dziewczynkę z podciętymi skrzydłami i każdą, która dopiero szykuje się do lotu.

Kiedyś spytano mnie, czy jako tancerka kiedykolwiek uznałam, że byłam doskonała. Czasem tak mi się wydaje. Czuję doskonałą równowagę. Idealnie ląduję po każdym skoku. Ramiona płynnie falują, a silne ciało wygina się wdzięcznie. Tancerze mówią wtedy: „Weszłaś w to. Mocno stoisz na nogach”.

Ale rzadko tak bywa. Profesjonalna tancerka zawsze dąży do tego, by udoskonalić to, czego już dokonała, a kiedy coś nie gra – by to naprawić. Trenujemy ciało tak, by znalazło równowagę, gdy coś idzie nie tak, by radzić sobie z czymś, co spada na nas niespodziewanie – fałszywa nuta, zmiana rytmu, skręcona kostka, potknięcie czy upadek.

Przed każdą próbą, bez wyjątku, chodzę na zajęcia z baletu. Zawsze zaczynam od rozgrzewki przy drążku. Pracuję tak, jakbym znów znalazła się w Klubie dla Chłopców i Dziewcząt i pierwszy raz w życiu dotykała drążka. Niekiedy staję na jednej nodze i czuję, że jestem zmęczona i słaba. Przesuwam więc punkt ciężkości i szukam innego sposobu, by stać prosto i iść dalej.

Toczyłam też walkę w umyśle: blokowałam krytykę, przywoływałam wszystkie małe brązowe dziewczynki, które we mnie wierzyły. A teraz trzeba stać prosto. I iść dalej.



Byłam w Tokio, występowałam jako dziewczyna-kwiat w *Don Kichocie* i wtedy pierwszy raz usłyszałam o *Ognistym Ptaku*. To była jesień 2011 roku, Od czterech lat byłam solistką. *Ognisty Ptak* do muzyki Strawińskiego łączy najbardziej wirtuozerskie partie baletowe z brawurowymi solówkami, opowiadającymi historię czarów, mistycznych stworów i triumfu miłości nad złem.

Historia się rozwija, a carewicz Iwan gubi się i nagle trafia do zaczarowanego ogrodu, gdzie spotyka pięknego Ognistego Ptaka. Kiedy go uwalnia, Ptak znika, lecz zostawia magiczne pióra, których carewicz może użyć, by go przywołać, gdy znajdzie się w kłopotach.

Wędrujący carewicz spotyka trzynaście swawolnych księżniczek. Na wszystkie rzucił zaklęcie mag Kościej, który chce je zatrzymać dla siebie. Carewicz jest oczarowany jedną z tańczących dziewcząt. Gdy Iwan ściera się z magiem Kościejem, macha magicznymi piórami. Pojawia się Ptak i rzuca własne zaklęcie, zmuszając złego maga i wszystkich innych do wyczerpującego tańca. Ognisty Ptak prowadzi carewicza do jajka, kryjącego duszę Kościeja. Iwan rozbija je, a księżniczki i inne ofiary maga uwalniają się od mrocznej klątwy, która nimi zawładnęła. Magiczny ogród rozkwita w słońcu, a Ognisty Ptak jak anioł unosi się nad carewiczem i jego ukochaną.

To piękna klasyczna rola. Pewnego dnia Kevin odciągnął mnie na bok i wyjawiał, że zatańczę główną partię. To było niezwykle. Zwykle sporządza się listę obsadową, która wisi na tablicy w teatrze. Tancerze mogą tam przeczytać, jakie role będą do obsadzenia w nadchodzącym sezonie. Obok wisi spis nazwisk z kolejnością przedstawień, w których wystąpią poszczególni tancerze. Nazwisko na tej liście nie gwarantuje roli głównej. Można być przewidzianym jako dubler.

Trzy do czterech tygodni przed pierwszym występem na tej samej tablicy

pojawiają się terminy, w których każdy pojawi się na scenie. W końcu wiadomo, czy ma się główną rolę. Teatr przygotowuje też informację prasową z nazwiskami wiodących tancerzy i datami występów.

Kevin osobiście poinformował mnie, że będę ćwiczyła rolę Ognistego Ptaka. Był to najdogodniejszy dla mnie sposób poznania jego planów: będę musiała trenować także podczas wakacyjnej przerwy.

Założyłam, że mam być dublerką, ale i tak byłam przejęta, bo miałam uczyć się nowej choreografii według Aleksieja Ratmańskiego. Wpadłam w wir prób, by przygotować się na dzień, w którym być może wystąpię w głównej roli.

Aleksiej przygotował wspaniałą ekscentryczną choreografię, która stanowiła dla mnie wyzwanie. Kroki były bardziej współczesne niż klasyczne i trudno było je opisać za pomocą przyjętej terminologii. *Ognisty Ptak* miał mieć dwie solówki i *pas de deux*. Pierwsza solówka była niezwykle istotna, ponieważ miała stworzyć wyobrażenie mitycznego stwora, a Aleksiejowi bardzo zależało, by dokładnie odpowiadało ono jego wizji. Trzy grupy tancerzy miały odtańczyć sceny baletowe, a w każdej z nich Ognisty Ptak miał wyjątkowe wejście. Dla mnie Aleksiej przewidział błyskawiczne pojawienie się na scenie, w pełnym pędzie, i gwałtowne zatrzymanie, podczas gdy muzyka będzie grała dalej. Następnie chciał, by Ptak wykonał ekspresyjny układ, pokazujący jego siłę i dzikość. Skupiałam się na tym, patrząc w lustro podczas prób. W klasycznym balecie zwykle trzeba trzymać głowę w jednej linii z kręgosłupem, ale jako dzika istota unosiłam podbródek i wysuwałam go do przodu.

Pracę z Aleksiejem wyróżniało to, że inaczej niż wielu innych choreografów, którzy opisywali swoje pomysły, Aleksiej potrafił je pokazać – wychylone *piqué*, rwany piruet. Umiałam z miejsca naśladować wszelkie ruchy, co tu okazało się najważniejsze. Opanowywanie kroków w ten instynktowny sposób było ogromnie odświeżające. Wiele baletów klasycznych ułożono wieki temu i trudno było określić, czego oczekiwali ich

twórca, więc staraliśmy się odtwarzać jego przypuszczalne zamierzenia. Z nowoczesnymi rozwiązaniami Aleksieja było inaczej.

Jednak jego wizję trudno było wcielić w życie. Nie chciał tego. W *pas de deux* Ognistego Ptaka carewicz Iwan stara się usidlić stwora, a Ptak gorączkowo usiłuje się uwolnić. To walka, a nie romantyczne starcie. Choreografia Aleksieja w pełni to oddawała.

W tym samym czasie, kiedy ćwiczyłam układy do *Ognistego Ptaka*, chodziłam na warsztaty choreograficzne do Teatru Tańca z Harlemu. Po długiej przerwie zespół odrodził się, a w American Ballet Theatre trwała właśnie letnia przerwa. Na koniec warsztatów nie planowano żadnego występu. Była to po prostu kreacja artystyczna, piękna próba wyrażenia siebie. Ćwiczyłam z jeszcze jedną tancerką i dwoma tancerzami. Był to zaszczyt – usiłowanie znalezienia nowej tożsamości Teatru Tańca z Harlemu pod kierownictwem Virginii Johnson. Ciągle starałam się znaleźć spokój w otoczeniu tancerzy wyglądających tak jak ja, którzy wspierali mój talent, nie kwestionowali go.

Przed południem byliśmy bardzo zajęci ćwiczeniem choreografii i wspólnym improwizowaniem. Kiedy zrobiliśmy sobie pięciominutową przerwę, wykończona padłam na podłogę i sięgnęłam po telefon. Przeglądałam wpisy na Twitterze, prostując zmęczone nogi. I wtedy na to trafiłam. Link do komunikatu prasowego American Ballet Theatre z obsadą *Ognistego Ptaka*. W roli głównej w pierwszej obsadzie miała wystąpić gościnnie Natalia Osipowa. A ja – Misty Copeland – miałam być Ptakiem w drugiej obsadzie. Jako pierwsza w historii czarna tancerka występująca z tak znakomitym zespołem.

Łzy napłynęły mi do oczu. Na chwilę zaniemówiłam.

– Czy wszystko w porządku? – usłyszałam czyjś zatroskany głos. – Chodzi o kogoś z rodziny?

– Nie – odpowiedziałam. – Właśnie się dowiedziałam, że zatańczę w *Ognistym Ptaku* – i wybuchnęłam płaczem.

Podobnie wszyscy dookoła. Każdy starał się mnie dotknąć, objąć,

uspokoić. W zespole tanecznym jesteście jedną wielką rodziną. Moi najbliżsi przyjaciele to chłopcy i dziewczynki, kobiety i mężczyźni, z którymi tańczyłam w San Pedro, San Francisco i oczywiście w Nowym Jorku z American Ballet Theatre.

Moi rówieśnicy z Teatru później również gratulowali mi, uszczęśliwionym sukcesem, jednak wiem, że gdy dowiedzieli się, iż jestem w obsadzie, ich reakcja nie była podobna do tej, z jaką spotkałam się w Harlemie.

Chociaż oficjalnie nie należałam do harlemskiego zespołu, byliśmy rodziną, gdyż łączyły nas inne, znacznie głębsze więzy. Członkowie tego zespołu też byli czarni i inaczej niż pozostali docenili wagę tej decyzji – czuli to całą duszą. Znali – nie musiałam im niczego wyjaśniać – każdy kamyczek i zakręt na drodze, którą musiałam przebyć: dziesięć lat walczyłam o uznanie, udowadniałam, że mam talent i umiejętności pozwalające tańczyć w baletach klasycznych. W tej walce stali przy moim boku. I dlatego czuli taką samą dumę i uniesienie jak ja, ponieważ Afroamerykanka została obsadzona w głównej roli w klasycznym balecie.

Moje łzy były wyrazem ulgi i szczęścia. Byłam niezwykle podekscytowana. Czułam jednak i to, że ciężar, jaki spoczywał na moich barkach przez dziesięć lat, zaczyna się zmniejszać.

Nie byłam pewna, czy mogę ćwiczyć jeszcze bardziej intensywnie niż dotychczas. Każde zajęcia baletowe traktowałam jak próbę, każdą próbę jak występ. Byłam całkowicie zanurzona w roli, pół roku trenowałam siedem godzin dziennie przez pięć lub sześć dni w tygodniu.

Skupiałam się na występie, a historyczna decyzja American Ballet Theatre odbijała się coraz szerszym echem. Liczne osobistości afroamerykańskiej społeczności z kręgów telewizji, literatury i sztuki zamawiały bilety na premierę z moim udziałem. Moi mentorzy, Arthur Mitchell, Raven Wilkinson i Susan Fales-Hill, dzwonili z gratulacjami. Ciśnienie rosło, ale byłam tak oszołomiona pragnieniem, by wykorzystać szansę zatańczenia tak ważnej roli, że nie miałam czasu na nerwy.

Zanim otworzyliśmy sezon w Metropolitan Opera w Nowym Jorku,

zadebiutowaliśmy z *Ognistym Ptakiem* w objazdach. Pierwsze przedstawienie daliśmy w centrum sztuki Segerstrom w Orange County w Kalifornii. Wracałam do domu: przyszli mama, bracia i siostry. A potem Prince, jak zwykle cichy i bezpretensjonalny, zorganizował mi małą uroczystość, bym mogła cieszyć się tym osiągnięciem w gronie rodziny i przyjaciół. Blogi baletowe były pełne pochwał pod moim adresem, zachwycano się również Hermanem Cornejo, który zatańczył partię carewiczka Iwana. „Solówki Hermana były wspaniałe, wygląda świetnie – czytałam. – A Misty! Co za stopy! Co za nogi! Co za ramiona! Co za linia pleców! – niewiarygodne. Oboje dokonywali cudów, wszystko emanowało z nich samych, a nie z ruchów splełanych rąk i nóg. Byli fantastyczni i razem, i osobno, co w tym balecie liczy się szczególnie, zwłaszcza że w życiu prywatnym nie są parą. Może być tylko jeszcze lepiej, jestem pewna – czytałam dalej. – Niecierpliwie czekam na inne opinie o ich występie w Met”. Oceniano, że nie tylko opanowałam technikę, ale też byłam znakomita pod względem stylu. „Chociaż Ptak jest inny niż Odetta/Odylia, Misty ma nieziemską energię i taką płynność ruchów, że aż nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę w *Jeziorze*. Ten balet naprawdę pokazuje, że jest nie tylko wulkanem energii... Mam nadzieję, że wkrótce pokaże nam więcej!”.

W recenzji na blogu „L.A. Times” także mnie wychwalano. „Nowy sposób opowiadania tej historii przez Ratmańskiego, jego język ruchów w przód i w tył najpełniej uwidocznili się w drugiej obsadzie, z Misty Copeland i Hermanem Cornejo, parą hipnotyzującą. Cornejo po mistrzowsku utrzymuje napięcie i panuje nad własną energią, tym samym dając jeszcze większą siłę wyrazu zapamiętanej w sobie, zwierzęcej interpretacji Misty. Owacja na stojąco była jak najbardziej zasłużona”.



Zapoczątkowaliśmy lawinę, mnożyły się pozytywne recenzje,

doskonaliśmy występ. Zbliżała się premiera w Met. A moje ciało dawało znaki, że wymagam od niego za dużo. Pęknięcia wywołane stresem nasilają się powoli, delikatnie pełzając, dopóki nie osiągną natężenia, którego już nie można ignorować. Pierwszego poważnego urazu doznałam podczas początkowego roku w zespole, kiedy miałam pęknięcie kręgosłupa lędźwiowego. Od tamtej pory uważałam. Tym razem nie byłam tak ostrożna. Jakies sześć miesięcy przed premierą *Ptaka* w Met zaczęła mnie boleć lewa piszczel, a na tej nodze się obracałam. Nadwerżyłam ją podczas niekończących się prób, a w czasie objazdów przed pokazem w Nowym Jorku nie oszczędzałam jej. Podczas dwóch pokazów *Ptaka* w Orange County chwilami odczuwałam ból tak ostry, że aż nie mogłam oddychać. Ale starałam się o tym nie myśleć.

„Pracujesz tak ciężko, ćwiczysz całymi dniami – mówiłam sobie. – To jasne, że nogi cię bolą”. Przestałam trenować skoki na zajęciach z baletu, bo wiedziałam, że to tylko pogorszy sprawę. Zachowałam *grands jetés* i *petits allegros* na próby i sam występ.

Nikomui nie powiedziałam, że mnie boli. Obok partii w *Ognistym Ptaku* byłam też w drugiej obsadzie głównej roli Gamzatti w *Bajaderze*. Bałam się, że jeżeli napomknę, iż coś mi dolega, stracę jedną albo obie partie. Nie chciałam ryzykować: nie mogłam stracić tych ról.

Robiłam to dla wszystkich małych ciemnoskórych dziewczynek.

W tym samym czasie, gdy tak ciężko pracowałam, do granic wytrzymałości, i starałam się zepchnąć strach związany z moją słabnącą nogą gdzieś w głąb głowy, przechodziłam trudne chwile w kontaktach z nauczycielką przygotowującą mnie do roli w *Bajaderze*. Natalia Makarowa była legendą baletu, primabaleriną w balecie Kirowa – zanim uciekła z Rosji – a następnie gwiazdą w American Ballet Theatre. Miałam przejść procedurę, której zwykle nie stosowano w naszym teatrze: rywalizować o rolę z inną tancerką. Było jasne, że Kevin chce, bym to ja zatańczyła Gamzatti, ale powiedział mi, iż Natalia będzie mnie obserwować przez tydzień i raczej nie dostanę roli, bo ona skłania się ku

innej baletnicy. Procedura była męcząca i ciężka. Wiedziałam, że Natalia ma zastrzeżenia do mojej budowy – piersi, waga – i nie chce obsadzić mnie w balecie, który szykuje. Prawie cały czas byłam na granicy płaczu, ale powstrzymywałam łzy do chwili, aż znalazłam się sama w garderobie.

Wiedziałam, że muszę się skoncentrować, stać na pointach psychicznie i dosłownie. Nie ustawałam w wysiłkach.

Robiłam to dla małych ciemnoskórych dziewczynek.

Dostałam szansę zatańczenia Gamzatti w pokazie przed moją premierą *Ognistego Ptaka*. Jakimś sposobem mentalnie doszłam wtedy do takiego punktu, że byłam w stanie dokonywać takich cudów z ciałem, jakich nie potrafiłam zrobić na próbach. I umiałam pomijać niezadowolenie ze strony Natalii, jej krytykę, że jeszcze nie jestem gotowa.

A potem nadeszła chwila, gdy miałam stanąć na scenie Met jako Ognisty Ptak.

W dniu naszego nowojorskiego debiutu mieliśmy próbę kostiumową. Potem wyszłam przed główne wejście do Met, chciałam wpaść do fryzjera, bo po występie czekała nas wieczorna gala.

Po tylu godzinach w teatrze miło było poczuć na twarzy promienie słońca. Wdychałam Nowy Jork – taksówki sunące ulicą, mijające mnie tłumy turystów i miłośników sztuki. Moje miasto uspokajało, zawsze było gotowe mnie przyjąć, zamknąć w swym uścisku.

Obróciłam się i spojrzałam w górę. I zobaczyłam siebie, radosną twarz w żywych kolorach. Głowa odrzucona do tyłu, ciało wyrażające siłę i kobiecość – stałam na pointach na ośmiometrowym plakacie zdobiącym fronton Metropolitan Opera. Misty Copeland. Ognisty Ptak. Reklama wisiała tam od miesiąca, od początku sezonu. A jednak czułam się poruszona. Łzy napłynęły mi do oczu. Mieszkałam w Nowym Jorku już kilka lat, a jeszcze nigdy nie widziałam podobizny czarnej kobiety na fasadzie Met.



Kilka godzin później byłam w mym wspaniałym czerwono-złotym kostiumie w garderobie Metropolitan Opera. Ale już nie czułam, że dam radę. Byłam sparaliżowana bólem nie do opisanego, przeszywającym, silnym. „Jak mam tańczyć? – myślałam, patrząc w lustro. – Przecież nawet nie mogę chodzić”. Wiedziałam, że po dzisiejszym wieczorze nie zatańczę przez długi czas. Wiedziałam, że tyle osób mnie wspiera, rozumiejąc, jak walczyłam i ile dla mnie znaczy ta chwila, ale skończy się na tym jednym wieczorze. Nieważne, co stanie się na scenie: pamiętałam, że mam znacznie donioślejszy cel niż własne dokonania.

Nadszedł czas. Wstałam i poszłam na scenę.

Byłam tak daleko od San Pedro, od owej dziewiętnastoletniej dziewczyny, która pierwszy raz nieśmiało stanęła na scenie Met, oszołomiona i niepewna siebie. Teraz jako solistka miałam zatańczyć główną rolę w klasycznym balecie z jednym z najslawniejszych zespołów świata. W ciemności czekali ludzie, którzy mi pomagali, podtrzymywali na duchu, ale i ci, którzy nigdy nie widzieli baletu, a przyszli dla mnie. Drżała mi lewa goleń, ale nie aż tak jak serce. Nie zwracałam na to uwagi. O tym marzyłam przez lata. Nadszedł czas. Zatrzymałam się w kulisie, zanim pojawiłam się na scenie. Sławne żyrandole poszły w górę, orkiestra zaczęła grać, a światła spłynęły na scenę.

Przeistoczyłam się zupełnie. Przez następne pięćdziesiąt minut fruwałam i trzepotałam. Byłam Ognistym Ptakiem. Wykonywałam *jetés*, *piques* i *fouettes*. I nie czułam bólu. Treningi, ćwiczenia, wszelkie wsparcie skumulowały się w tym szczytowym momencie. „To *brisé*” – słyszałam szept Loli de Avila. „Jesteś dziecięciem Boga” – przypominałam sobie Cindy. „Misty, jesteś przeznaczona do występów na scenie” – tak mówiła mama po moim debiucie w piosence *Mr. Postman* u boku Chrisa, mego brata.

A teraz wszyscy byli tu ze mną. I wielu innych.

Robiłam to dla małych ciemnoskórych dziewczynek.

W czasie występu rozlegały się niekiedy tak głośne owacje, że prawie nie słyszałam muzyki. I nagle było po wszystkim. Zespół wynosił Ognistego Ptaka, by ten mógł odlecieć. Widownia wstała. Zewsząd dobiegały okrzyki „brawo!”. Nie widziałam łez, ale słyszałam je w głosach publiczności – łyzy radości i szczęścia, bo wszyscy byli ze mną na scenie.

Odebrałam kwiaty, pozwoliłam, by aplauz ucichł. Potem zeszałam ze sceny, nadal nie czując bólu, który dwa dni później, kiedy opadły emocje, powrócił z przerażającą siłą.



Po przedstawieniu na scenie odbyło się przyjęcie dla uczczenia dwudziestej rocznicy Kevina McKenzie na stanowisku dyrektora American Ballet Theatre. Przyszło wielu przyjaciół i mnóstwo życzliwych osób. Robiliśmy zdjęcia, a gratulacje napływały jeszcze przez wiele dni.

„Dokonałaś tego. Oficjalnie zostałaś baleriną! Sprawdziłaś się w tak skrajnych rolach jak Gamzatti i Ognisty Ptak. Jestem z ciebie taka dumna. Zaszłaś znacznie dalej niż ja, ale potrafię zobaczyć, że ktoś jest naprawdę wielki. Jesteś uosobieniem baleriny” – tak napisała uwielbiana przeze mnie Raven Wilkinson.

„W naszym życiu niewiele jest naprawdę znaczących momentów, a ostatni wieczór z pewnością był jednym z nich... Co za radość i duma oglądać Misty na scenie! Jakie szczęście dzielić z nią chwilę wspaniałego, historycznego triumfu” – to słowa Debry Lee, szefowej Black Entertainment Television.

„Było tak, jakbyś dzisiaj wieczorem każdemu z nas – małym i dużym dziewczynkom – wręczyła parę skrzydeł” – komentowała pisarka Veronica Chambers.

Chwalono mnie też za rolę Gamzatti. Moja nauczycielka baletu,

Makarowa, tak ostra wobec mnie podczas prób, nie znajdowała słów uznania. „Słyszając oklaski, gdy opada kurtyna w mej głowie, czuję pewność siebie i opanowanie – zanotowałam w dzienniku. – Kevin był zadowolony, Makarowa – w ekstazie. Powiedziała, że stanęłam na wysokości zadania i zrobiłam wszystko, o co prosiła. *Ognisty Ptak* był niebywałym sukcesem. Wieczór udał się wspaniale, przerósł moje oczekiwania”. Zalała mnie fala miłości i wsparcia ze strony czarnej społeczności, ale też i pracowników teatru, rówieśników i krytyków.

Joan Acocella z „The New Yorker” zamieściła cudowną recenzję:

„*Ognisty Ptak* ma być jak ptak, ale by nas wzruszyć, musi mieć w sobie coś z człowieka. Stało się tak dopiero drugiego wieczoru, gdy partię po Osipowej przejęła Misty Copeland, solistka American Ballet Theatre. Copeland jest jedyną w mieście afroamerykańską baletnicą, która zaszła tak wysoko. Powinni ją promować nie tylko ze względu na jej osiągnięcia artystyczne, ale i z powodów politycznych. Zasługuje na to”.

Pochwały na łamach tak uznanej gazety, stwierdzenie, że dowiodłam, iż zasłużyłam na swoją pozycję artystyczną, pokazałam, kim jestem, zachwyciły mnie. Byłam w siódmym niebie.

Podobnie poruszona byłam kilka dni po pokazie *Ognistego Ptaka*, podczas kolacji z przyjaciółmi i wielkimi świata baletu. Przy stole siedzieli Arthur Mitchell, była tancerka Lorraine Graves, choreograf Harlemu Robert Garland i mój przyjaciel Vernon, który pracuje z American Ballet Theatre.

Na tej kolacji Arthur, który wcześniej zadzwonił do mnie, by powiedzieć, jaki jest dumny z moich występów w *Bajaderze* i *Ognistym Ptaku*, oświadczył, że dotarłam do celu. Że jestem królową. Baleriną.

Mówił dalej o odkryciu ognia, jaki mam w sobie i który dotychczas tłumiliam, jakie mam zdolności, umiejętności, talent pozwalający wznieść się wyżej niż ktokolwiek tańczący obok mnie w teatrze.

– Jesteś piękna – podkreślał. – Masz linię, technikę, ciało. Masz klasę i jesteś bystra. Masz wszystko, czym może cieszyć się niewielu. Możesz

zatańczyć każdą partię, jakiej zapragniesz. Nie ma dla ciebie granic.

Siedziałam tam, pokorna i wdzięczna. Myślałam o tym, by zapamiętać tę szczególną chwilę, ten moment wielkiego szczęścia, a nie zamartwiać się, że mogą pojawić się jakieś przeszkody. Cieszyłam się, że moja ciężka praca opłacała się i spotykają mnie takie miłe dowody uznania.

Jednak trudno było upajać się tym wszystkim. W głowie ciągle gdzieś kołatała mi się myśl, że zbyt późno przyszedłam do baletu, że na zawsze zostanę uczennicą, nieśmiałą małą dziewczynką, starającą się wszystkim przypodobać.

Z tego właśnie powodu – mimo że dotarłam na szczyt, a ciepłe słowa i entuzjazm po moich występach w *Ognistym Ptaku* i *Bajaderze* sprawiły, iż byłam gotowa wykonać *ballon* – kilka negatywnych opinii tak łatwo spowodowało, iż uciekło ze mnie powietrze i byłam bliska załamania.

Po cudownej kolacji z Arthurem, Lorraine i tyloma innymi sławami wróciłam do domu, włączyłam komputer i na blogu przeczytałam recenzję krytykującą moją *Gamzatti*.

Co gorsza, padło tam stwierdzenie, że nie zasługuję na główne role i że American Ballet Theatre popełnia błąd, awansując mnie – pewnie tylko po to, by uniknąć zarzutów o rasizm. To było straszne. Siedziałam i nie mogłam uwierzyć, że choć tak ciężko pracowałam, a wcześniej wystąpiłam w tylu rolach, które spotkały się z wielkim uznaniem, wciąż muszę walczyć. Wiedziałam, że bloger napisał to, co prawdopodobnie myślała część publiczności. A potem poczułam złość. Wraz ze złością przyszła determinacja. Zdawałam sobie sprawę, że jeden gwiazdorski sezon to mało, ale w głębi duszy byłam pewna, że będę się nadal rozwijać, uczyć i korzystać z okazji, by wystąpić w innych klasycznych głównych rolach. Tak, jestem czarna. Ale zasługiwałam na awans, na to, by stanąć na środku sceny.

Na krótko pozwoliłam, by negatywnie nastawione wąskie umysły wyssały ze mnie miłość i wsparcie, które tak podniosły mnie na duchu. Jednak otrząsnęłam się z tego. Musiałam stawić czoło prawdzie: są tacy,

których nigdy i niczym nie przekonam. A jeśli kiedyś zostanę primabaleriną, ich niechęć tylko wzrośnie. Musiałam zawierzać dobrym chwilom i walczyć nadal. Nie zdawałam sobie sprawy, że będę musiała stoczyć bitwę na zupełnie innym polu.



„Od tego zaczynam”. Był piątek, 22 czerwca 2012 roku, kiedy zasiadłam do pisania dziennika. Pięć dni wcześniej wycofałam się z całego sezonu występów w Met. Ów wspaniały wieczór był jedynym, kiedy zatańczyłam Ognistego Ptaka w Nowym Jorku. Upłynął zaledwie tydzień, ale dla mnie – cała wieczność.

Kilka dni po przedstawieniu ból stał się tak silny, że musiałam dopuścić myśl, iż dzieje się coś naprawdę złego. Od pierwszego poważnego urazu sprzed dziesięciu lat doznałam kilku złamań będących skutkiem stresu. Łatwo im ulegałam, gdyż moje kolana – z przeprostami – były zbyt napięte. Oznaczało to, że gdy tańczyłam *en pointe*, przednia część goleni była bardziej obciążona niż normalnie.

Gdy trafiłam do centrum baletowego Lauridsen, Diane kazała mi w nieskończoność powtarzać podstawowe pozycje i ruchy baletowe, by mieć pewność, że opanuję je do perfekcji. Niekiedy nienawidziłam jej, uważając, że nie ma mowy, bym osiągnęła doskonałość, o jaką jej chodzi. W końcu zrozumiałam, że nakazując ciągłe powtórki, chroniła mnie. Byłam tak giętka, że łatwiej mogłam ulec urazowi, a ona pragnęła, bym wykonywała wszystkie ruchy poprawnie i nie zrobiła sobie krzywdy. W ciągu lat doznałam wielu obrażeń i za każdym razem wracałam do zdrowia. Teraz sytuacja była poważniejsza. Kość piszczelową miałam pękniętą w sześciu miejscach z powodu stresu. Czułam ból przez całe sześć miesięcy, kiedy przygotowywałam się do *Ognistego Ptaka* i *Bajadery*, nieświadomie powodując kolejne pęknięcia. Byłam zdruzgotana. Musiałam radzić sobie z taką presją psychologiczną i emocjonalną, walczyłam, by zachować wiarę

i pewność siebie wbrew tym wszystkim, którzy nie wierzyli w ciemnoskórą dziewczynę o mojej budowie ciała, nie chcieli jej. Wzloty blisko sąsiadowały z załamaniem.

Zacząłam sezon, patrząc na własną podobiznę na plakacie powiewającym na frontonie Met. Przez chwilę byłam twarzą American Ballet Theatre. Czarną twarzą. Podczas premierowych pokazów w Nowym Jorku na widowni zasiedli luminarze, legendy czarnego baletu, zasługujący na pochwały, które odbierałam w ich imieniu. Było wspaniale.

A teraz to.

Musiałam beczynn timer przeczekać cały sezon – sezon, który zaczęłam jako Ognisty Ptak i Gamzatti. Nie mogłam tego znieść. Poczułam, że straciłam wszystko, co naprawdę liczyło się w moim życiu. Lekarz powiedział, że potrzebna będzie poważna operacja. Kiedy szykowano obsadę do sezonu wiosennego, było tak, jakbym nie istniała. W jednej chwili jesteś gwiazdą, a potem zapadasz na zdrowiu. Ktoś inny zajmuje twoje miejsce na scenie, a ty znikasz tak zupełnie, że nawet własnego cienia nie możesz znaleźć.

Przelałam ból serca na papier. „Nie wiem, ile siły jeszcze muszę znaleźć i jak długo wytrzymać – napisałam w dzienniku. – Pracowałam nad wszystkim, szłam do przodu w tempie, które niekiedy trudno było utrzymać, a w końcu połamalam się. Jestem wdzięczna za to, co mam, ale mi smutno, bo to za mało. Boże, kiedy będzie łatwiej?”.



Oczywiście nigdy nie będzie łatwiej. W życiu, jak w balecie, trzeba znaleźć równowagę. Iść do przodu najdalej jak można, ale wiedzieć, kiedy się wycofać, jeśli człowiek znajdzie się na krawędzi urazu czy załamania. Chciałam uciec, ale dokąd? Jak mogłabym? Pragnęłam dawać nadzieję, ale i o wiele więcej. Chciałam zostać primabaleriną. Wiedziałam, że poddanie się po prostu nie leży w mojej naturze, nawet jeśli czasem czułam się jak głupia, bo nie traciłam wiary.

Rozdział 14

Operacja odbyła się 10 października 2012 roku. Siedem miesięcy później wróciłam na scenę.

W czasie rehabilitacji zaczęłam prywatne lekcje przy drążku, same ćwiczenia na podłodze, zdrowiejąc dzięki technice określanej jako *barre a terre*, wymyślonej przez Borisa Kniaseffa. Nie tańczyłam w sezonie wiosennym, zaprzyjaźniłam się z instruktorką Marjorie Liebert. Marjorie mnie uratowała. Pomagała mi zachować pogodę ducha i myśleć pozytywnie, kiedy dochodziłam do formy. W tych najtrudniejszych chwilach czułam się zagubiona, nie widziałam celu przed sobą. Przestałam cenić własne ciało. Kim byłam bez baletu? Podczas rehabilitacji Marjorie przekonała mnie, że warto dowiedzieć się jak najwięcej o urazach i wyciągnąć wnioski. Pomogło mi to zachować nadzieję, że powrócę na scenę w lepszej formie – chociaż wówczas nawet jeszcze nie mogłam chodzić.

Marjorie przychodziła do mnie do mieszkania, na Upper West Side na Manhattanie, a ja staczałam się z łóżka na podłogę. Dopiero co zdjęto mi gips i nie mogłam chodzić, więc robiłam ćwiczenia z drążkiem, leżąc na brzuchu, na plecach i na boku. Kazała mi skupiać się na tym, co mogłam kontrolować. Pracowałam nad *port de bras*, by doskonalić niuanse, które sprawiają, że balerina jest baleriną, drobne i delikatne ruchy ramion.

Miesiąc po operacji na nowo włożyłam pointy, aby rozruszać drobne mięśnie stopy, choć nie byłam jeszcze w stanie ustać na palcach.

Przypomniałam sobie pierwszy raz, kiedy włożyłam pointy: byłam taka przejęta, a Cindy sprawiła, że po zaledwie kilku miesiącach ćwiczeń baletowych potrafiłam stanąć *en pointe*. Przygnębiało mnie, że teraz nie potrafię uczynić tego, co tak szybko opanowałam wówczas, a to, że uraz zahamował moją karierę na tak późnym etapie, było dodatkowo frustrujące. Marjorie przypominała, że to tylko czasowa niezdolność do ćwiczeń. Mówiła, że mam jeszcze tyle do zatańczenia, żebym nie rezygnowała z marzeń, nie obniżała poprzeczki. Jej słowa działały jak balsam, motywowały mnie do doskonalenia i dopasowywania techniki, bym jeszcze skuteczniej mogła ćwiczyć me giętkie ciało, a w miarę możliwości – uniknąć poważnych urazów.

Tańczyłam od siedemnastu lat, lecz nie sądzę, bym kiedykolwiek aż tak skupiała się na mym ciele i umiejętnościach jak wtedy, gdy wracałam do zdrowia po ostatnim urazie. Od samego rana, kiedy otwierałam oczy, aż do wieczora, kiedy padałam na poduszkę, skupiałam się tylko na leczeniu i odzyskiwaniu sił. Co trzy tygodnie chirurg robił prześwietlenie. Raz w tygodniu miałam masaż i zabieg akupunktury, co miało pobudzić mięśnie. Brałam prywatne lekcje na gyrotonicu, urządzeniu pozwalającym wzmocnić nogi. Leżałam na plecach, a maszyny imitowały skoki bez obciążenia wagą ciała.

Pięć miesięcy po poważnej operacji goleni wróciłam na próby z zespołem. Dwa miesiące później byłam na scenie w *Don Kichocie*, tańcząc główną rolę Królowej Driad.

Skłamałabym, mówiąc, że nie było na to za wcześnie. Jeszcze nie stanęłam „na nogach”. Nawet nie byłam blisko. Dostałam krytyczne recenzje.

„Misty Copeland nie ma wybitnego skoku” – napisano. Bolało, zwłaszcza że skoki zawsze były moją mocną stroną. Jeszcze nie trenowałam skoków regularnie, a na przedstawieniu właściwie pierwszy raz zdecydowałam się na *grand jeté*. Zatańczyłam znacznie poniżej moich możliwości.

Chyba najtrudniejsze na drodze do zdrowia było to, że miałam wracać do

formy w świetle jupiterów, na oczach setek widzów, wiedząc, że nie daję z siebie wszystkiego i nie pokazuję, na co mnie stać, choć tańczyłam jak mogłam najlepiej – w danym momencie. Występowanie na scenie przed ludźmi, którzy albo nie wiedzieli o operacji, albo niewiele ich to obchodziło, było trudne. W dodatku wśród publiczności może znajdować się wielbiciel baletu, który pierwszy raz widzi, jak tańczę i wyrabia sobie opinię na mój temat, bazując na pokazie, w którym nie widać było pełni moich możliwości. Ale wzięłam na siebie to ryzyko, gdy postanowiłam znów stanąć na scenie.

Czułam presję, by wrócić, spróbować na nowo. Presję wewnętrzną, presję ze strony wielbicieli i American Ballet Theatre. Byłam w trudnym położeniu. Powinnam całkowicie wyzdrowieć, ale nie chciałam zbyt długo zostawać poza sceną, popaść w zapomnienie, stracić rolę, przepuścić sposobności.

Niektórzy zastanawiają się, po co w ogóle czytam recenzje, skoro wiem, że pewni autorzy będą usposobieni szczególnie krytycznie. Bywają brutalni, nastawieni subiektywnie i niewiarygodnie stronniczy. Mimo wysiłku fizycznego balet nie jest dyscypliną sportową. Nie ma jasnych kryteriów. *Jeté* nie jest tym samym co podanie piłki, a *plié* to nie bieg na bazę. Jeden krytyk napisze, że byłaś zachwycająca, a inny oceni to samo przedstawienie jako ciąg nedoróbek. Czasem widać, że jeden z tancerzy dostaje same pochwały, niezależnie od tego, jak wypada. Jednak wiem, że z krytycznych ocen – nawet tych pełnych żółci i niesprawiedliwie nieprzychylnych – też można się czegoś nauczyć. Uznałam, że będę poznawać cały wachlarz opinii, by na ich podstawie ulepszać rolę. Na przykład jeśli zobaczę, że dziesięć osób źle ocenia układ ramion, skupię się na tym, by poprawić *port de bras* i postawę. A jeśli Kevin mnie skrytykuje, to nie ma o czym dyskutować.

Kiedyś zacytowano opinię Kevina, że muszę udoskonalić pracę rąk, by dorównały pracy nóg i stóp. Było mi przykro, ale postanowiłam, że ruchy ramion staną się moim znakiem firmowym. Teraz sądzę, że górna część

ciała, *port de bras*, oddają mój kunszt jako znakomitej tancerki lepiej niż giętkie stopy, piękna linia, wdzięczne ruchy i płynne przejścia, które przychodzą mi w sposób naturalny.

Wierzę też, że trzy–cztery lata temu nareszcie osiągnęłam szczytową kondycję. Ponieważ późno zaczęłam zajmować się baletem w balecie, wytrzymałość przyszła później niż u innych tancerzy. Ale teraz, nawet gdy jestem wyczerpana, wiem, że wciąż mam siłę, by zachować właściwą pozycję nóg i stóp, podczas gdy wcześniej często traciłam siłę w dolnych partiach ciała. Zawsze powtarzam, że w doskonaleniu techniki baletowej nie można iść na skróty. Trzeba wciąż powtarzać i powtarzać, aby to, co chce się osiągnąć, stało się drugą naturą, aby stało się tak odruchowe jak chodzenie. Dopiero potem można zacząć biegać.

Nareszcie biegnę.

Łatwiej mi nie przejmować się krytykami, gdy wiem, że w widoczny sposób poprawiłam dany ruch czy krok, który chciałam dostroić. Teraz wiem też, że zrobiłam wszystko co mogłam, że po prostu nigdy nie zadowolę wszystkich. To mi wystarczy – będę dokładać wszelkich sił, by osiągnąć perfekcję, która jest prawie niemożliwa, a która zawsze pozostaje celem każdej baletnicy.



Gdy wycofałam się na sezon w występów z Met, a także w czasie rehabilitacji, mogłam wykorzystać liczne niezwiązane z teatrem zadziwiające sposobności, które pojawiły się na mej drodze. Miałam sesję zdjęciową do kalendarza promującego balet. Fotografował fantastyczny Gregg Delman. Z grupą sportowców i artystów wystąpiłam w reklamach dietetycznej wersji Dr Peppera. Nadal prowadziłam zajęcia dla początkujących tancerek i byłam ambasadorką Klubu dla Chłopców i Dziewcząt, mego matecznika.

Cała ta moja działalność poza baletem i teatrem często spotykała się

z niezrozumieniem. Także w świecie baletu jest wiele osób, którym nie podoba się, że często pojawiając się publicznie, ani to, że chcę przybliżyć balet szerszej grupie odbiorców, a zwłaszcza środowiskom biedniejszym. Przykładem może być bloger, który skrytykował moje występy z Prince'em, oraz negatywne komentarze dotyczące tego, że „daję ludziom podchodzić za blisko”. Jakby balet był tajnym stowarzyszeniem, obawiającym się zmian, choć zarazem żadnym uwagi. A ja pragnę, by każdy czuł, że jeśli chce, może stać się częścią mojego życia.

Moim celem jest dotarcie z baletem do publiczności, która inaczej by go nie poznała lub nie doceniła. Jasne, że nie każda początkująca tancerka będzie miała tyle szczęścia, by trafić pod skrzydła Liz Cantine, która nie tylko nauczy, ale i zauważy możliwości, czy do Cindy, która zajmuje się ubogim sąsiedztwem, a najbardziej ambitnym i utalentowanym oferuje darmową naukę. Ale to nie znaczy, że nie trzeba próbować. Niedawno przyczyniłam się do powstania przy American Ballet Theatre projektu „Plié”: partnerstwa między ABT a Klubami dla Chłopców i Dziewcząt z całej Ameryki. Jego ideą jest sformalizowanie procesu, dzięki któremu trafiłam do baletu: nauczyciele wyszkoleni w teatrze będą jeździć do klubów w całym kraju, wyszukując uzdolnione dzieci, które inaczej nigdy nie trafiłyby na scenę. Młode talenty będą się uczyć historii i teorii tańca, dostaną stypendia, dzięki którym rozwiną zdolności. Jako twarz programu będę uosabiać symbolikę stwierdzenia, że określenie „inny” też może być punktem wyjścia do kariery. Ja jestem „inna” i akceptuję to. Jestem świadoma siły, jaką to daje, i tego, jak bardzo pomaga w otwieraniu drzwi przed innymi, którzy pochodzą z zaniedbanych środowisk lub nie mają swego reprezentanta. To siła wykraczająca poza mnie i wszelkie moje osiągnięcia.

Nie chodzi mi tylko o prowadzenie i uczenie nowych tancerzy. Czuję, że istnieje ogromna nieodkryta rzesza potencjalnych miłośników baletu. Dzieci z biednych rodzin, dzieci ciemnoskóre, które nie mają okazji, by zetknąć się z tą dziedziną sztuki, mogą się wiele nauczyć z baletu. Badania

dowodzą, że tancerze odnoszą sukcesy także w innych dziedzinach, co zapewne ma związek z tym, iż muszą być opanowani i zdyscyplinowani – zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym – by zaistnieć w balecie. To cechy przydatne każdemu. Dzieci nie rozwiną ich w sobie, jeśli nie dostaną możliwości, by tańczyć. Będę niosła to przesłanie i będę szerzyła te nauki, nawet jeśli zdaję sobie sprawę, że nie zaowocują błyskawicznymi zmianami. Może tych zmian nie doczekam.

Powiedziałam wszystko, co chciałam, pora wrócić na scenę i pokazać potęgę baletu, który był i jest moją największą miłością.



Uwielbiam zdjęcie Ognistego Ptaka. Utrwalono na nim najszcześniejsze chwile w życiu baletnicy. Zachwyty występem, ekstazę i zatracenie w tańcu. To ulotne chwile. Dziela je godziny wyczerpujących ćwiczeń, dni, tygodnie, a nawet miesiące zniechęcenia, kiedy urazy czy inne problemy nie pozwalają tańczyć na najwyższym poziomie. Albo wcale nie pozwalają tańczyć. Kiedy dochodziłam do zdrowia po operacji goleni, miałam mnóstwo czasu na myślenie. Zastanawiałam się, czy będę – czy w ogóle powinnam – tańczyć. Może trzeba obrać inną drogę? Może dotarłam najdalej jak mogłam i od tej pory mam uczyć i inspirować zamiast tańczyć?

Jednak od kiedy powróciłam na scenę, dojrzała, niż myślałam, wiem, że moim zadaniem jest jedno i drugie. Nieważne, ile godzin poświęcę na ćwiczenia, nieważne, ile życia oddam baletowi – praca nigdy się nie kończy. Każda tancerka wie, że zawsze pojawia się ktoś młodszy i lepszy, czekający w kulisie, by zająć jej miejsce. Im jesteś starsza, tym mniejsze masz możliwości fizyczne. Z drugiej strony wiek i doświadczenie dają twej sztuce głębię i złożoność, więc przepełnia mnie ciekawość, co jeszcze osiągnę i odkryję. Trzeba tylko znaleźć równowagę.

Dalej przejmuję się – bardziej, niż powinnam – tym, co myśli o mnie świat baletu, czy kiedyś zostanę w pełni zaakceptowana, a mój talent

spełnionej artystki, zasługującej na szacunek – niegdyś okrzyknięto mnie cudownym dzieckiem – zyska uznanie. Czy zawsze pozostanę „czarną baleriną”, osobliwością, która tak do końca nie pasuje do świata baletu?

Miewam też chwile, kiedy widzę tych wszystkich, których życie zmieniło się pod wpływem mojej historii i moich dotychczasowych osiągnięć, którzy, śledząc moją drogę, zrozumieli, że można zacząć późno, wyglądać inaczej, być niepewnym siebie, a mimo to odnieść sukces. Boję się tylko, że upłynie następnych dwadzieścia lat, zanim kolejna czarna tancerka zajmie w elicie baletu pozycję podobną do mojej. Że jeśli nie zostanę primabaleriną, to ludzie uznają, że ich zawiodłam.

Nadal tego chcę. Chcę zostać primabaleriną w American Ballet Theatre, chcę być Nikiją w *Bajaderze*, Julią, do której wzdycha Romeo, Odettą i Odylią w *Jeziorze łabędzim*, Giselle. Niezależnie od tego, czy zostanę pierwszą afroamerykańską primabaleriną w elitarnym zespole, wiem, że już wywarłam wpływ na innych, głośno wypowiadając to, co myślę, i opowiadając moją własną historię.

Jest jeszcze jedno wyobrażenie Ognistego Ptaka, które bardzo mi się podoba: jak niczym Feniks z popiołów odradza się, triumfując, i ulatuje w niebo. Zaszłam bardzo daleko od chwili, gdy pobierałam pierwsze lekcje baletu, mając w plecaku strój gimnastyczny. Wiem, że skoro jestem tu, gdzie jestem, tańcząc od siedemnastu lat, w tym dziwnym, trudnym, elitarnym świecie, to już zapisałam się w historii i w balecie. Zawsze będę walczyć, tańczyć tak, jakby to miał być mój ostatni występ. I w każdą chwilę będę wkładać całą miłość, jaką czuję.

Podziękowania

Nigdy nie przypuszczałam, że spłynie na mnie taka łaska, bym mogła opowiedzieć o tym, co sprawiło, że jestem tym, kim jestem: o moich marzeniach, walce, nadziei, że zainspiruję innych, by nie rezygnowali z marzeń przekraczających granice wyobraźni.

Pragnę podziękować całej rodzinie za siłę, jaką zachowaliśmy. Erica, Doug, Chris, Lindsey i Cameron – zawsze wierzyliśmy w siebie, wierzyliśmy w naszą rodzinę i to pozwoliło nam stawiać czoło wyzwaniom i przeciwnościom. Dziękuję ci, mamo, że nie poddałaś się. Dziękuję, tato, że wkroczyłeś w moje życie i wychowałeś mnie jak własne dziecko. Cindy, Wolfie i Patricku – nie mogę powiedzieć nic więcej: czym byłoby moje życie, gdyby przeznaczenie nie postawiło was na mojej drodze? Dziękuję, że pozwoliliście mi z wami zamieszkać, że nie osądzaście, tylko obdarzyliście mnie szczerą miłością. Dziękuję, że wprowadziliście mnie w świat baletu! Zawsze będę wam wdzięczna. Dziękuję wam, Liz i Dicku, moim rodzicom chrzestnym. Nie tylko za to, że wyzwoliliście moją karierę, ale też za to, że staliście się częścią mego życia, wspieraliście, kierowaliście i kochaliście mnie.

Cóż powiedzieć o Klubie dla Chłopców i Dziewcząt z San Pedro? O klubach z całej Ameryki? Wszystko, czego chcecie dokonać, jest możliwe – i to działa! Zmieniacie ludzkie losy. Zapoczątkowaliście moją przyszłość – a cóż to za wspaniała przyszłość!

American Ballet Theatre zasługuje na podziękowania za nieustającą

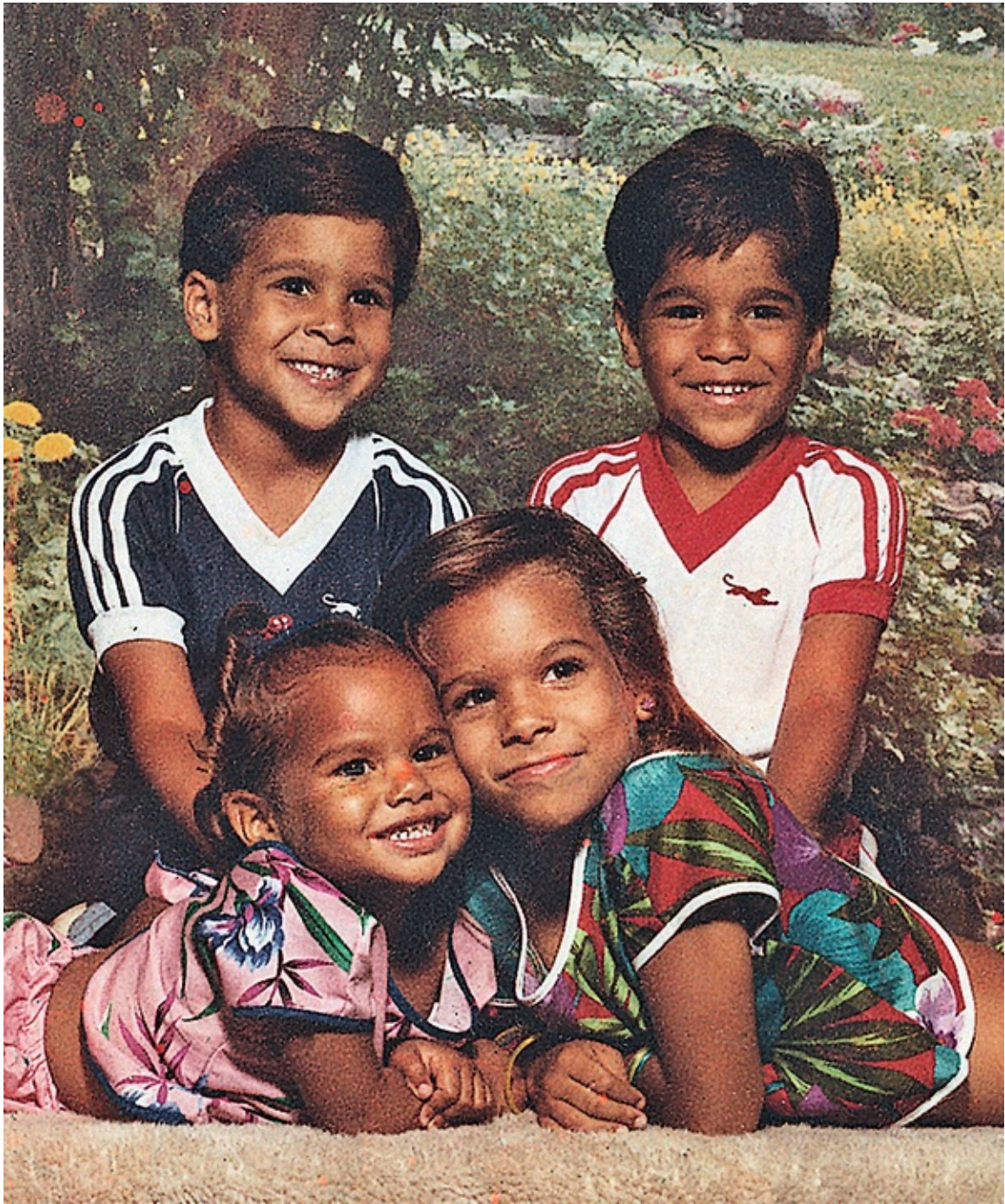
wiarę i wsparcie. Dumą napawa mnie to, że jestem waszym dzieckiem: od letnich kursów, przez Studio Company, po miejsce w głównym zespole! Dziękuję, że pomogliście stworzyć atmosferę, w której poczułam, iż mogę pokazać, jak uformować balerinę. Susan, moja druga matko, brakuje mi słów, by wyrazić całą wdzięczność dla ciebie. Twoje wskazówki zmieniły mój sposób myślenia i patrzenia na świat. Wysoko ustawiałaś poprzeczkę. Vicky! – jesteś jedną z pierwszych ciemnoskórych balerinek, które poznałam. Dziękuję, że poświęciłaś swój czas, by pokazać mi, że nie jestem sama, że służyłaś własnym przykładem, by pokazać mi, że nie powinnam stawiać granic marzeniom. Diane, ten krótki czas w centrum baletowym Lauridsen był niezwykle istotny dla mej kariery. Dziękuję, że nigdy nie stosowałaś wobec mnie taryfy ulgowej, że nie traktowałaś mnie inaczej niż innych uczniów i zachęcałaś, bym szła dalej – nawet dalej, niż sama myślałam, że iść mogę. Raven, dałaś mi drugi oddech, pokazałaś, że nie powinnam litować się nad sobą, lecz walczyć o to, co według mnie jest słuszne. Każdego dnia przypominałaś mi, że życie nie jest lekkie i dlatego powinnam walczyć jeszcze bardziej zagorzale. Twój upór jest godny podziwu. Zawsze będziesz dla mnie wzorem baleriny! Marjorie, nie muszę nic mówić, bo obie wiemy, o co chodzi. Mówimy tym samym językiem, a twoja mądrość nie ma granic. Podziwiam cię i szanuję, jestem wdzięczna za odkrywanie we mnie pokładów, których sama nie byłam świadoma: w duszy i w ciele.

Gildo, gdzież bym była bez ciebie? Vernon zapoczątkował cudowną współpracę, która sięgnęła niewyobrażalnych wyżyn. A jeszcze tyle przed nami! Dziękuję za nadzwyczajne wizje i za to, że wcielaliście je w życie. Wzniesliście balet na poziomy, których nie znałam i nie wierzyłam, że są możliwe.

Zespół Touchstone/Simon&Schuster, Megan Reid i Steven Troha: któż by pomyślał... Ale dokonaliście tego! To wszystko dzieje się naprawdę. Dziękuję za wspaniałą pracę i wiarę we mnie. Charisse, to było cudowne doświadczenie: siedziałyśmy u mnie w salonie i rozmawiałyśmy jak

przyjaciółki. To nie była tylko praca nad książką. To było dla mnie odkrywanie samej siebie, przeszłości i przyszłości. Ujęłaś to w słowa pełne życia.

Na koniec coś, co wcale nie jest najmniej istotne: O. Nasze relacje przerosły moje najśmielsze oczekiwania. Byłeś moim największym fanem, głosem rozsądku, zawsze gotowym do rozmów, gdy tego potrzebowałam. Dziękuję, że zawsze byłeś blisko i że pomogłeś mi uwierzyć, iż ciemnoskóre tancerki skorzystają na poznaniu mej historii i że zachęciłeś mnie, bym ją opowiedziała.



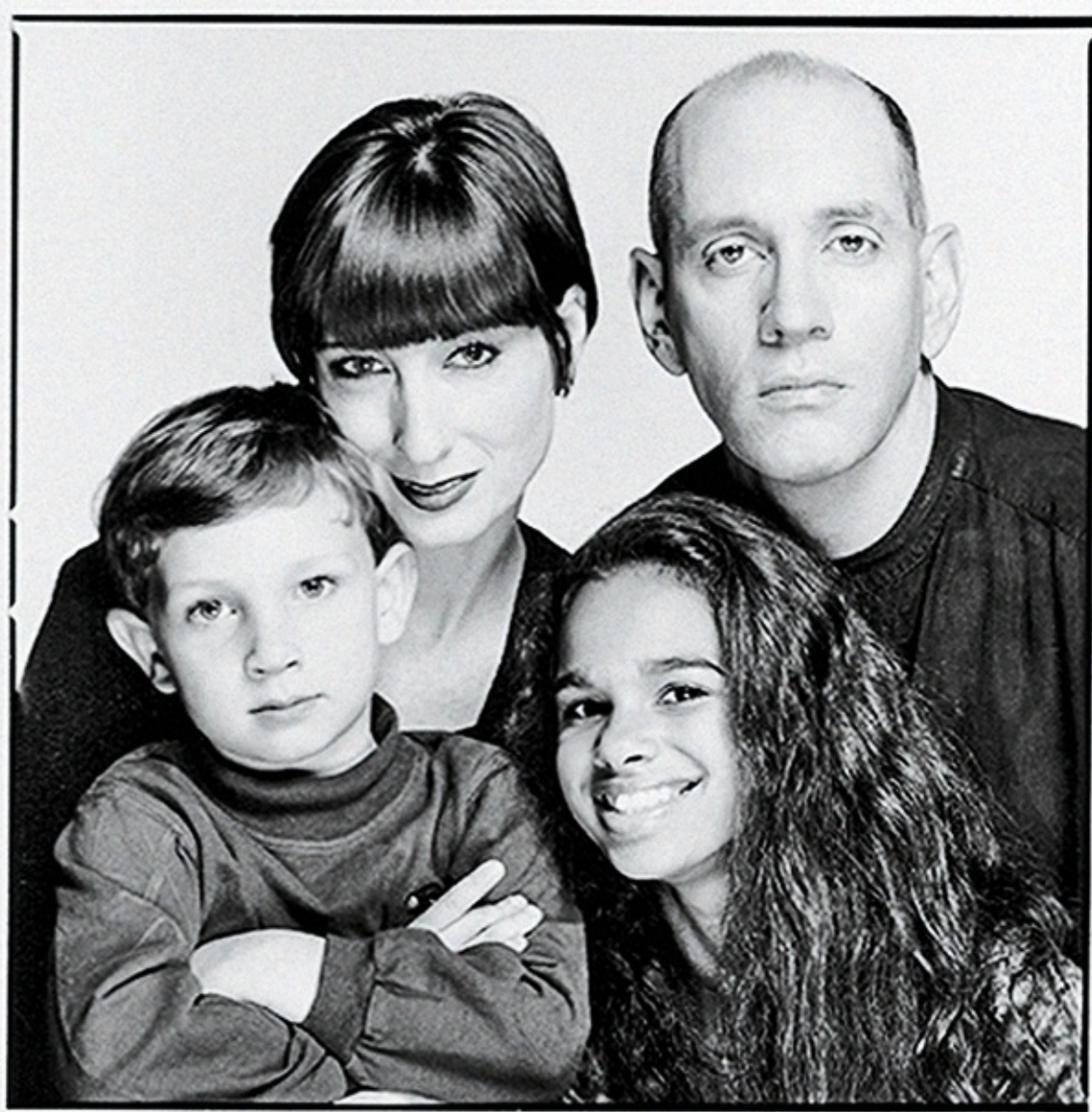
Copelandowie (od lewej): Doug junior, Chris, Erica i ja.



Po raz pierwszy stoję en pointe (na pointach).



Tańczę z Ashley Ellis w centrum baletowym Lauridsen. Byłyśmy jak siostry – w American Ballet Theatre nazywali ją „białą Misty”.



Bradleyowie i ja. Byłam dla nich częścią rodziny.



Pas de deux, zajęcia z nauki tańca z partnerem w studiu Cindy. Z tyłu ćwiczy Jason (drugi od lewej).



Lola bardzo mnie wspierała.



Z moim ojcem Dougiem w Chicago.



Moja rodzina. Od góry z lewej: Miranda i Tom (synowa i syn Cantine'ów). Drugi rząd od lewej: Lindsey, Jeff (mąż Eriki), ja, Aiden Cantine (wnuk Cantine'ów), Sofie Cantine (wnuczka Cantine'ów), Erica, Mariah, mama. W rządzie na dole: Liz i Chris.



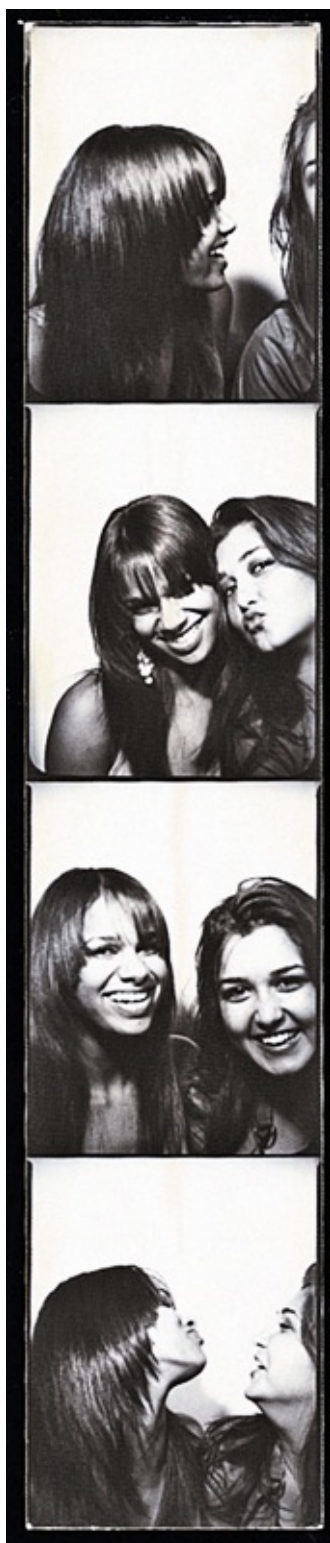
Tam, gdzie zaczynałam. Z grupką utalentowanych młodych tancerzy z Klubu dla Chłopców i Dziewcząt.



Z Raven Wilkinson, legendarną baleriną i moją mentorką.



Z Olu.



Bratnie dusze. Byłyśmy z Leylą nierozłączne.



Z Erikiem byliśmy jak rodzeństwo w American Ballet Theatre.



Jako Ognisty Ptak z Hermanem Cornejo.



Tańcząc z Prince'em.

Balerina Życie w tancu

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Podziękowania

Zdjęcia

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
LIFE IN MOTION. AN UNLIKELY BALLERINA

Zdjęcie na okładce
NYC Dance Project by Ken Browar and Deborah Ory

Konsultacja merytoryczna
Katarzyna Gardzina-Kubała

Redakcja
Anna Kędziorek

Korekta
Jadwiga Piller
Mirosława Kostrzyńska

Copyright © 2014 by Misty Copeland.
Published by arrangement with Folio Literary Management, LLC and GRAAL Literary
Agency

Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2015

Zdjęcia na wkładce: prywatne archiwum autorki (s. 1–6), Gene Schiavone (s. 7),
© Kevin Mazur/NPG Records 2010/Getty Images (s. 8)



www.wielkalitera.pl

Odwiedź
nas na 

Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

ISBN 978-83-8032-040-6



Plik mobi przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl